



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

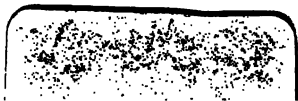
Prosimy również o:

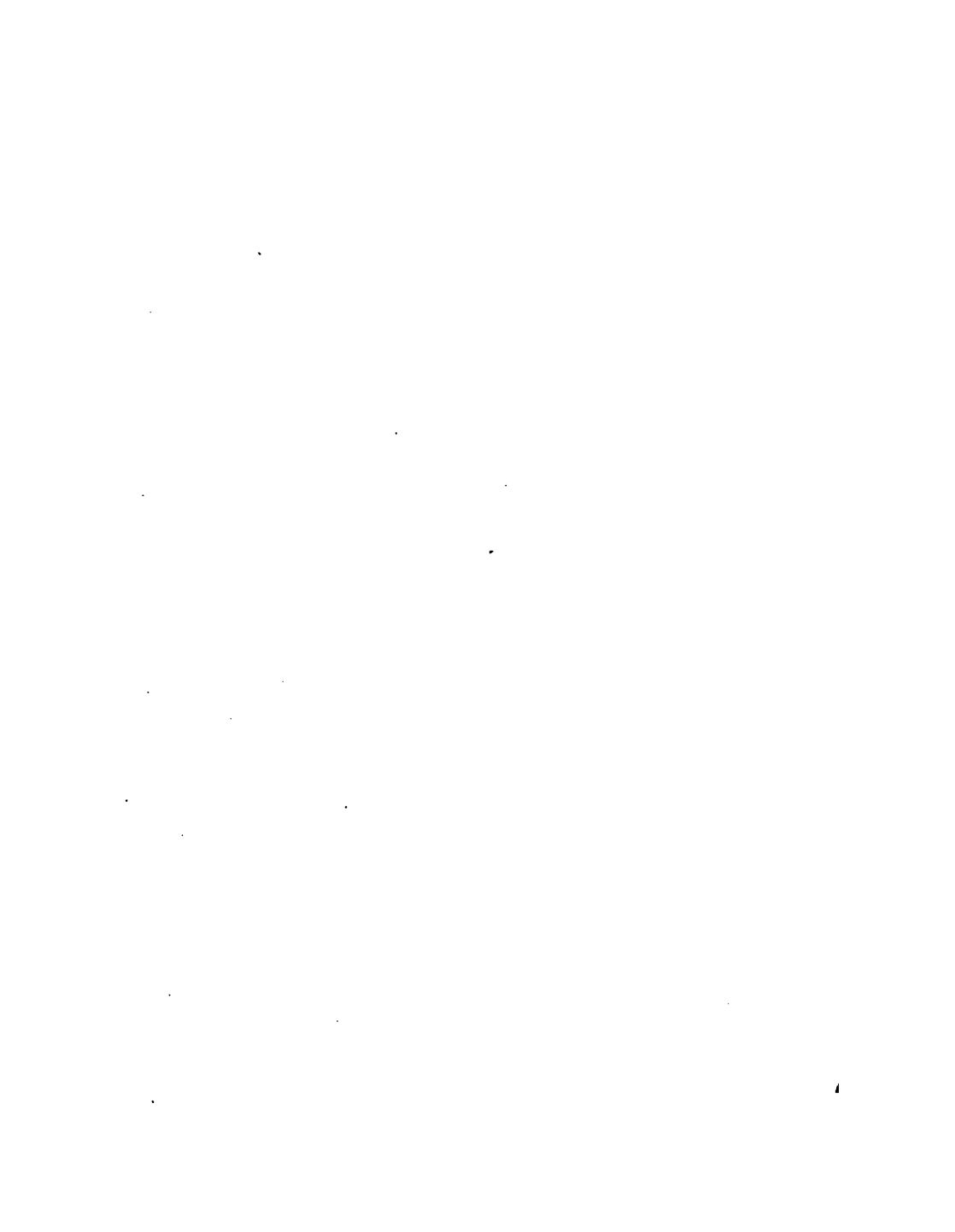
- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>







ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom sześćdziesiąty drugi.



SEKICE OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

**MISTRZ
TWARDOWSKI**

POWIEŚĆ
Z PODAŃ GMINNYCH

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.
//

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Autora.

Tom I.

L. W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 10.

1874.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glöcksberga.

12

PG 7158

K75M5

1874

**Nakładem Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.**

Mistrz Twardowski jest próbą obrobienia ludowego podania — dostąpił on honoru tłumaczenia na język rosyjski przez Pobiedonoscowa. — Nic o niej więcej powiedzieć nie możemy, oprócz że to próba sklejenia z kawałków potłuczonego zwierciadła, na której znać i rysy i klej i to czego zabrakło i co dosztukowano. Z Twardowskim nikt szczęśliwszym pono nie był. Ciężkie to zadanie.

Twardowskiego Polacy wzięli nieochybnie z europejskiej, zachodniej legendy, tak jak Sowizrzęta i Marcholta. Fantazja narodowa urobiła go na swój sposób, przechrzcila i przebrała w kontusz. Stracił charakter niemiecki, stał się zupełnie innym, ale czeka na poetę coby raz jeszcze w tyglu przesmarzył i uczynił zeń postać prawdziwie narodową i poetyczną. Gdybyśmy dziś z Twardowskiego mieli co do zrobienia, pojęlibyśmy go inaczej. Dla tego młodzieńczej próby z roku 1839 wolemy nie tykać wcale. *Sit ut est.*

Zachowały się w nim wszystkie szczątki legend o Twardowskim, powiązane jak można, ze zbyt wielkiem poszanowaniem litery... ich... Swobodniej by, wniknąwszy w tę legendę, postąpić z nią potrzeba. — Ale — po czasie to są uwagi — zatem niech idzie z Bogiem w świat, jak go tamta chwila nań wydała. — Odczytany po trzydziestu pięciu latach!!

J. I. Kraszewski.

Drezno 1874.



ROZDZIAŁ I.

**Jako ojciec Twardowskiego napadnięty był w drodze,
gdy do domu wracał, i co ztąd wyniknęło.**

Ciemną już nocą jechał szlachcic Twardowski, okolicą Podgórze, a było to w miesiącu sierpniu, i na burzę się zbierało. Koń jego spędzony długą drogą, nie był już posłuszny nagłym jeźdźca ostrogom, lecz naprzemian to po niebie spoglądał, to pod nogami gładszą ścieżkę wybierał. Nareszcie wjechali w zarośla gęste, któremi sunął się gościniec, poprzerzynany wybitemi przez deszcze wodomyjami; tu jeszcze straszniej zrobiło się szlachcicowi, jeszcze trudniej było iść koniowi, oddalone tylko błyskawice przemykające się po niebie czarnem, wskazywały niekiedy drogę, słabo ją i chwilowo tylko oświecając. Szlachcic wzdychał ciężko, bo dawno był już z domu, a w domu miał żonę młodą, żonę ukochaną, i lękał się zbójców, gdyż w trzosie wiózł dobry ładunek, spieniężony po stryju spadek. Koń wturując panu zżymał się, chrapał, nastawiał uszy i niekiedy się zatrzymywał, jakby się czego lękał, zwracając głowę ku zaroślom. Gdy jeździec nagli konia a koń się opiera, nagle przy świetle błyskawicy ukazały się w krzakach twarze kilku zbójców i dał się słyszeć głos przeraźliwy:

— Stój!

Zabłyśły w krzakach rusznice, i jeden poskoczył przeciw szlachcicowi, za nim drugi i trzeci się wysunął. Koń przestraszony w bok się rzucił, potem chciał naprzód ale nie mógł, bo go jeden ze zbójców chwycił silnie za udę.

Przeleknięty szlachcic rąco chwycił się do szabli, ale ratunek był nie prędki przeciw nastawionym ru-

sznicom opryszków, zawołał więc w sercu z rozpaczą:
— Ratuj kto żyw, choćby djabeł sam!

Gdy się tak oskoczony przez zbójców szablą im zastania, a koń na tył przypada rwąc się temu który go zatrzymywał, nim opryszki strzelić czas mieli, po nad nimi w górze dał się słyszeć głos jakiś, który ich tak pomieszał, że stanęli wryci zapomniawszy o podróży, i nie ciągnąc go już w las z sobą. On krzycheć zaczął, koń się wyrwał, a wtem nadbiegł z wielkim tententem drogą ogromny mężczyzna na czarnym koniu, prowadząc za sobą kilku jeszcze ludzi. Jak tylko go zoczyli, zbójcy odstąpili Twardowskiego, rzucili się nazad w zarośla, a on korzystając z niespodzianego ratunku, śpiesznie zaczął uciekać.

Tymczasem coraz się jeszcze zciemniało, chmurzyło, wiatr dął silniejszy, błyskawice przelatwały nad głowami szlachcica, który zimnym potem okryty, przerażony świeżym wypadkiem i myślą jaką miał w niebezpieczeństwie, mijał szybko zarośla, i wybiegłszy na pola dopiero żegnając się u Bożej Męki na gładkim gościńcu, koniowi zasapanemu sfolgował.

Zaledwie zwolnił kroku, zdało mu się że za sobą tentent słyszy, obejrzał się niespokojnie — czarny jego wybawca jechał za nim sam jeden.

W chwili kiedy szlachcic po za się spoglądał, błyskawica oświecała twarz jeźdźca bladą dziwnego wyrazu, zdało się Twardowskiemu, że podobną widział u Panny Marji w Krakowie, odmalowaną na obrazie św. Michała Archanioła u nóg zwycięzcy. Wpadłszy na tę myśl, chciał się przeżegnać, ale ręką ruszyć nie mógł, a drugi raz nie śmiał się nawet obejrzeć, i znowu konia popędził.

Tymczasem zbliżała się burza z ulewą, grzmot toczył się w chmurach, to poważny jak głos kaznodziei, to przeraźliwie trzaskający się jak gdyby niebo pękało, to nagle urywany i znów odbijający się w górach, odskakujący od ich boków, powtarzający się długo, umierający powolnie; błyskawice świeciły na niebie mijając jedna drugą, zlewając się, przerzynane sznur-

kami piorunów i ukazujące świat w dziwnym blasku, dziwnych kształtach. Deszcz ulewny trzepał w twarz podróżnego z wiatrem ciepłym i duszącym. Mimo huku grzmotów, szumu deszczu i wiatru, usłyszał wkrótce za sobą Twardowski te słowa czarnego towarzysza wymówione z uśmiechem:

— Dobry wieczór wam, tak-że to uciekacie ode mnie nie podziękowawszy nawet?

— Dobry wieczór, rzekł cicho szlachcic. Zaiste nie było czasu dziękować w lesie, a teraz trzeba szukać schronienia od burzy.

— O! do gospody daleko, odpowiedział czarny jeździec równając się z Twardowskim, a od zbójców jesteś teraz wasze bezpieczny. Zwolnij więc kroku, mamy coś z sobą do pomówienia.

Musiał Twardowski uczynić jak chciał wybawca, lecz gdy konia wstrzymywał, przejmował go mimowolnie strach, kto wie czy nie gorszy jeszcze od tego, którym był przejęty, gdy go zbójcy napadli.

— Wezwałeś mnie wasze i przybyłem, rzekł czarny po chwili.

— Ja? — spytał szlachcic — ja?

— Przypomnij tylko sobie, zawsze uśmiechając się mówił dalej towarzysz, alboż nie rzekł w sobie: Ratusz, choćby djabeł sam!?

— A któż ty jesteś?

— Ten kogoś wyzwał, odpowiedział spokojnie czarny, jestem djabeł.

Twardowski począł drżeć mocno, i ciągle chciał się zegnać, a ciągle ręki podnieść nie mógł, choć ją miał wolną, czuł w niej jakiś ciężar niezwykajny.

— No! cóż tak milczysz, rzekł djabeł, czyliś mi nie rad? Wszakże w czas przybyłem, a gdyby nie ja, przepadłbyś i ty i twój trzos dobrze nabity, a żona by płakała!

— Mówże co chcesz za to, a puść mnie wolno! wybąknął szlachcic ze strachem.

— Ja nie wiele wymagam, nie wiele! pieniędzy nie potrzebuję, duszy twojej broni pacierz żony i twoje jałmużny.

— A czegoż chcesz? czego? spytał ośmielony już Twardowski, mówże prędko.

— Na co się spieszyć! odpowiedział djabeł, noc długa jeszcze, a ja nie mam nic do roboty.

Westchnął podróżny, ale cóż było z djabełem robić, musiał go słuchać. Jechali ciągle, a siwy koń szlachcica drżał pod nim i zżymał się nieustannie.

— Wiesz co djabeł, rzekł w końcu Twardowski, weź sobie co chcesz, ale puszczaj mnie prędej.

— Na co się spieszyć, odpowiedział djabeł, twój koń zmęczony, gospoda daleko — będzie czasu, będzie jeszcze dosyć czasu.

— Ale cóż przecie chcesz odemnie?

— Właśnie o tem myślę, odpowiedział czarny jadąc ciągle obok Twardowskiego.

Szlachcicowi coraz ciężej robiło się na sercu, coraz większy brał go strach, i nic już nie zważał na wzrastającą burzę po nad głowami, na bijące pioruny — nie słyszał huku grzmotów, nie czuł ulewnego deszczu.

— Nie chcę cię bardzo odzierać, rzekł nareszcie szatan ze śmiechem, oto dasz mi to, co zastaniesz w domu, a o czem nie wiesz, czego się nie spodziewasz, na co nie rachujesz; tym sposobem nie poniesiesz żadnej straty, a mnie wynagrodzisz.

— Ale — cóż to być może?

— Czyż ja wiem! rzekł djabeł, to się później okaże, mnie lada co wystarczy, teraz tak mało zyskujęm.

— A więc dobrze, odpowiedział Twardowski po chwili namysłu, ośm dopiero miesięcy jak wyjechałem z domu, nie wiem coby tam przybyć mogło! Zgoda!

— Zgoda! powtórzył radośnie szatan, doprawdy zgoda? słowo?

— *Verbum.*

— *Verbum nobile, debet esse stabile,* dodał djabeł. Czekażże! To mówiąc zatrzymał konia, i szlachcicowi także stanąć kazał. Po nad ich głowy warczała burza, lał wzmagający się jeszcze deszcz, szatan wskazał szlachcicowi rozłożysty dąb stojący po nad drogą, i tam go zaprosił.

Tu nie wiedzieć jak zniknął koń, a szatan zostawszy pieszo, począł dobywać z kieszeni różnych manatków, naprzód kawałek świeczki z trupiej tłustości, potem długi list pergaminu, potem kałamarzyk z inkaustem i pióro.

Wszystko to działo się niezmiernie prędko, a szlachcic siedział na koniu i drżał patrząc na przygotowania. Djabł potarł świecę o nogę, i zapalił ją, siadł potem pod drzewem, i zaczął pisać szybko położywszy pergamin na kolanie, cyrograf. Trwało to tylko chwilę; wnet zerwał się i podał do przeczytania Twardowskiemu, który przy świetle bladym świeczki przebiegł oczyma formalnie sporządzony akt, i sięgnął po pióro do podpisu.

Ale wtem szatan ujął go za lewą ręką, i nim się miał czas opamiętać, ukłął w mały palec, umoczył we krwi piórko, i dopiero je podał. W milczeniu podpisał się szlachcic *manu propria*, wzdychając i ledwie ostatnie głoski kończył, ogarnęła go niespokojność jakaś jeszcze gorsza niż wprzód, nie spojrział już nawet na djabła, zawrócił, poparł konia i leciał bez pamięci. Lecz gdy tak bieży, a koń posłuszny choć zmęczony wyciąga się jak może, zdało mu się jakby wśród burzy i grzmotów słyszał kilka razy za sobą śmiech przeraźliwy, przerażający śmiech, jakiego usta ludzkie nigdy nie wydały.

Pytał się siebie co to być może? co to być może?

— Może sowa huczała, może puszczyk tak śpiewał, może wiaterek tak świstał.

Lecz w duszy wiedział, że nie tak huczy sowa, nie tak puszczyk śpiewa i nie tak wiaterek świszczuje; tęskny pędził dalej do domu.

ROZDZIAŁ II.

Co zastał w domu ojciec Twardowskiego.

Już zdala widać było domek szlachcica, już białł komin nad nim, i czerniało gniazdo bocianie, i szarzały stodoły i gumna, i połyskiwała sadzawka, po której pływały gęsi i kaczki. Twardowskiemu okropnie, smutno biło w piersiach serce, naglił konia, chciał skoczyć od razu w dziedziniec, modlił się i płakał, i niespokojny był jak tam w domu zastanie żonę... Ośm miesięcy kończyło się od jego wyjazdu.

Upatrywał i przyglądał się czyli czego nie zobaczy, coby go uprzedziło o żonie, o domu, jakiego znaku, jakiego człowieka, ale w oparkanionym dziedzińcu tak było spokojnie! ani żywej duszy do koła; musiał czekać przybycia, a zdawało mu się że koń wleczo się jakby ochromiał. Coraz bardziej chwytala go nieopisana niespokojność, pot lał się z czoła, czuł gorąco nieznośne i duszność w piersiach, choć skwar dniowy już był ustał, a słońce chyliło się do zachodu.

Zbliżył się do wrót, wrota na pole były otwarte, nikogo w dziedzińcu; puste były ławki na ganeczku, i pusta ławka pod lipą, gdzie zawsze siadała Hanna jego wieczorem. Coraz marszczyły mu się brwi, i serce ścisnęło, i oczy miały się do łez, a koń czując stajenkę domową, pod ganek pośpieszał.

Stanął wreszcie — nikt nie wyszedł. Czemuż nikt nie wyszedł na spotkanie? Szlachcic porzucił siwego, a sam wbiegł do sieni; wtem drzwi bokówki skrzypnęły, i z palcem na ustach wybiegła stara babka Magda.

— Cicho, panie, cicho! żona wasza połów leży! powiła wam szczęśliwie syna! Nie wbiegajcie tak nagle, mogłaby jej wielka radość zaszkodzić!

Gdy to mówiła Magda, szlachcic wspomniął od razu na djabła, zdało mu się że w uszach śmiech szyderski zatętnił, i porwał się za głowę.

— Syna urodziła! zawołał.

— Syna, odpowiedziała stara, nie ma jak kilka godzin com go przyjęła! Wyście tak sobie życzyli syna! Bardzo szczęśliwie urodziła! nic prawie nie cierpiała dobra pani! Poszlijcie na wotywę do Matki Boskiej.

Szlachcic stał osłupiały, nareszcie z ciężkiem westchnieniem uderzył się w głowę, i smutny wyszedł na ganek.

— Oznajmcie jej tam o mnie! rzekł do starej. Magda poszła kiwając głową, i nie pojmując do się stało szlachcicowi, że go dobra nowina tak mało cieszyła.

— Osobliwsza rzecz, myślała, cóż to w tem jest za tajemnica! Czegoż to on tak smutny? A co się miał weselić i Bogu dziękować, to się jeszcze krzywił, gdym mu o synu oznajmiła. Coś to jest w tem! Tak mrużąc weszła do bokówki, której drzwi i okna zabite były matami.

Szlachcic tymczasem zdjął sakwy podróżne z siwego, i oddał go parobkowi, który do nóg mu się kłaniając, syna i szczęśliwego powrotu wieszował. Smutny Twardowski nic nie odpowiedział.

Tymczasem stara Magda weszła i przysiadła u łóżka pani Hanny.

— Ż dobrą przyszłam nowiną, rzekła, mówił mi parobek z Olszowa, że naszego pana widział!

— Gdzie? zawołała porywając się Hanna, gdzie?

— O! o! tylko się tak nie radujcie, żeby to wam nie szkodziło, bądźcie spokojni! Parobek widział go wczoraj na drodze wracającego.

— Więc dziś będzie! może już jest! zawołała Hanna znowu — biegajcie Magdo, zobaczcie.

— Podobno, odpowiedziała stara, podobno powrócił! słyszałam tentent w podwórku!

— A idźcież go prowadźcie! powrócił mój drogi! powrócił! I zarumieniona siadła na łóżku. Magda wyszła i kiwnęła.

— Chodź panie, jużem was oznajmiła.

Wszedł pan Twardowski i drgnął na progu usłyszawszy krzyk nowonarodzonego dziecięcia, potem rzucił się do łóżka, na którym zarumieniona radością Hanna leżała, osłabiona, biała, oddychając ciężko i płacząc z ukontentowania. Odjazd męża, niespokojność o niego, długie oczekiwanie, myśli o niebezpieczeństwach podróży i cierpienia własne, uczyniły ją bladą, lecz żywy rumieniec wypłynął na twarz, kiedy się dowiedziała o mężu, gdy bez słów w niemym uścisku, znowu się spotkali oboje. W tej chwili zapomniał Twardowski o synu i o djable, i o całym świecie, ale kiedy Hanna podała mu dziecko, i słabym głosem prosiła aby je pobłogosławił; on smutny na nie spojrzął, i przypomniawszy sobie, że to dziecko nie jego już było! Dziwny był żonie ten smutek, który się przed jej okiem nie ukrył, ale nie śmiała pytać i mówić, położyła się tylko i westchnęła cicho.

W kilka dni Hanna nie żyła, ale żyło dziecko. P. Twardowski smutny pozostał z synem jedynakiem, a jego domek opustoszał, chwastem zarósł dziedziniec, zrujnowały się gumna, poszła w nic gospodarka, bo pan o nią nie dbał, i chodził ciągle opętany myślą, że syna djabłu zaprzedał.

ROZDZIAŁ III.

Jako Twardowski wyrósł i jako szedł do piekła cyrograf odbierać.

Dziecię trzeba było ochrzcić. Posłał ojciec po księdza do Proszowic i sprosił w kumy sąsiadów, ale djabeł nie spał. Kumy przyjechali, a księdza posłaniec zastał na marach.

Posłano po drugiego, drugi był śmiertelnie chory. Trzeci wybrał się w drogę, ale w drodze go konie ponosiły i potłukły.

Zniecierpliwiony ojciec widząc w tem djabełskie sztuki, sam pojechał po czwartego, ten wiedząc już o przypadkach trzech pierwszych, a lękając się dla siebie czego złego, zwłaszcza że chodziły o tem jakieś wieści dziwaczne, nie wiedzieć przez kogo rozsiane, za nic pojechać nie chciał.

Niezrażony tem szlachcic pojechał do Krakowa, i proboszczowi u św. Florjana całą rzecz wyjawiał. Ten pobożny staruszek, namyśliwszy się, dał mu relikwie i kazał przywieźć dziecę do Krakowa, zresztą żadnej rady ani pociechy.

Twardowski zawiesiwszy świętości na szyi dziecięcia, wybrał się z niem, w tegiej kolasie, czterma końmi zaprzęzonej. Rano wyjechawszy spodziewał się stanąć wieczorem w Krakowie, lecz wszczęła się ulewa, burza i wichur taki, że musiał stanąć w najbliższej gospodzie i czekać lepszej pory, do dalszej podróży z dziećciem.

Zaledwo koniom obrok zasypano, wyjaśniło się niebo, szlachcic znowu wyjechał i znowu zachmurzyło się, wiatr zadął, znowu się burza zaczęła, ale on utuliwszy dobrze syna na nic już nie zważając jechał da-

lej. Dwa razy kolasa przewróciła się w drodze, dwa razy konie unosiły i tylko krzyż pański ratował, nareszcie nabłądziwszy się i przebywszy tysiąc przeszkód, dostali się do Krakowa.

Nazajutrz rano mamka z dzieckiem idąc do kościoła, ledwie cudem siebie i niemowlę od kilku przypadków uratowała. Napadł ją był naprzód pies ogromny, zastępując jej drogę i warcząc, póki go nie przeżegnała, potem jeździec jakiś ciągle ją koniem ścigał i mało nie roztratował, pędziła kolasa, od której ledwie umknęli, a we drzwiach kościelnych pośliznęła się i padła. Szczęściem ojciec dziecko pochwycił i jakoś je ochrzczono.

Powrót do domu był już zupełnie spokojny, ale od tej pory wszystko Twardowskiemu nieszczęścić się zaczęło; djabeł płał mu figle nieustanne, nawodził wiatry, chmury, grady, burze, pioruny, ulewy, ogień i złodziei, pomorek na bydło, wilków na stado. Szlachcic wszystko wytrzymał bez skarg i uzaleń.

Dziecię tymczasem rośło i czem będzie rokowało za wcześniej; rozwijał się w niem dowcip nad wiek jego, a wszyscy mu się dziwowali w okolicy i zazdrościli ojcu. On jeden smutno poglądał na syna, brał go na kolana, całował i płakał. Dziecię miało już lat dziesięć, nie raz widziało łzy ojcowskie i jakby coś o sobie przeczuwało, poczęło się dopytywać. Ojciec biedny taką czuł potrzebę wylania się komukolwiek, że w końcu przygodę swoją i też przyczynę, małemu opowiedział. Chłopiec naówczas porwał się wesoło z kolan ojcowskich i zawołał:

— O! tatusiu, to ja na to dam radę! pójdę do piekła i odbiorę ten zapis!

Z tą myślą wzrósł chłopiec, i zdawał się tylko czekać starszych lat do jej dopełnienia, nieustannie o tem ojcu mówił, dodając mu ducha, modląc się do N. Panny, aby mu dopomogła. Oddał go ojciec do szkoły Wszystkich Świętych w Krakowie. Dziecię uczyło się pilnie i obiecywało wiele, a że myślało zawsze jakby djabłu odebrać to pismo ojcowskie, jęło się nabożeń-

stwa, prosząc nieustannie Boga, aby je wsparł. Dnie i nocy upływały na modlitwie, na rozmyślaniu i czytaniu świętych rzeczy. Tak doszedł chłopiec lat piętnastu i naówczas pomyślał sobie, że czas już było pójść do piekła.

A był wówczas dzwonnikiem u Wszystkich Świętych, pobożny staruszek; zwano go Dominaszkiem, bo był małego wzrostu i schylony latami, których liczby już nie pamiętał. Świątobliwy to był człowiek, a wszystkie baby i dziady i wielu szłuszných ludzi bardzo go poważało a nie raz i o radę prosiło. Mowiono że miał widzenia z obrazów, że robił cuda. To pewna że od innych był pobożniejszy.

Do niego postanowił chłopiec pójść po radę. Jednego tedy popołudnia, zastał go na smętarzu klęczącego na kamieniu u drzwi kościelnych i śpiewającego wianek różany. Siwa broda spływała mu na wyschłe, odkryte piersi, a łysa głowa schylona, zdawała się z daleka świecić promieniami. Nie śmiał mu chłopiec przerywać modlitwy, lecz gdy starzec wstał o kiju, skłonił mu się, pocałował go w rękę i poprosiwszy żeby usiadł, tak mówił.

— Mój ojcze, zewsząd słyszę o waszej świątobliwości i o zbawiennych waszych radach. Jestem w ciężkim razie, chcecie mi dopomóżyć.

— Czem-że ja wam dopomóżyć mogę? jakiej-że rady chcecie? spytał staruszek.

— Oto tak rzecz się ma, rzekł chłopiec. Mego ojca djabeł ratował raz w drodze i wymógł na nim za to zapis, że mu odda to, co w domu znajdzie, a o czem nie wie i czego się nie spodziewa. Właściem się ja wówczas urodziłem, i o mnie się to szatan targował. Długo on przeskadzał żeby mnie nie ochrzczono, lecz Bóg jakoś ojcu dopomógł, że w końcu proboszcz od Ś. Florjana mnie ochrzcił. Teraz chce mi się, ojcze, pójść do piekła i odebrać zapis ojcowski.

Świątobliwy staruszek, myślał długo i wzdychał głęboko, potem dał chłopcu taką naukę.

— Możesz tego dokazać, rzekł, ale trzeba się wprzód

spowiadać i komunikować na tę drogę, a idąc do piekła ni w czem nie zgrzeszyć. Weź z sobą kropidło i wodę święconą i relikwie święte, z tem bezpiecznie wejdiesz do piekła; chociaż nie bez trudności, bo cię szatan kusić będzie po drodze.

Gdy się wypowiedasz i przyjmiesz Przenajświętszy Sakrament, wyjdź za Kraków w pole, a tam ujrysz przed sobą mysz polną, która cię prowadzić będzie i do bram piekła zaprowadzi. Gdy będziesz ich blisko, a to łatwo rozpoznasz, zaczniesz śpiewać Wianek różany, albo psalm który i święconą wodą kropić: tak machając wokoło wejdiesz do środka i póty kropić będziesz a śpiewać, póki ci djabeł zapisu nie odda. Zresztą duch święty natchnie cię co będziesz miał czynić, pamiętaj tylko, żebyś w drodze nie zgrzeszył, boby zły duch miał moc nad tobą.

Wysłuchawszy tej rady chłopiec, podziękował za nią staruszkowi, nazajutrz zaraz poszedł do spowiedzi, przystąpił do komunii, wziął z sobą święconej wody i wyszedł za Kraków.

Tu ujrzał mysz polną przed sobą, właśnie jak mu staruszek zwiastował i poszedł za nią. Z oczyma wlepionemi w ziemię, szedł tak modląc się i unikając nawet spojrzeniem dać sobie do grzechu okazji. Przez cały czas nie jadł i oczu nawet nie podniósł, a gorąco się tylko modlił.

Ku wieczorowi pierwszego dnia posłyszał za sobą głos, który nań wołał:

— Chłopczyku! Chłopczyku! a dokąd to idziecie?

Mimowolnie odwrócił się i ujrzał cudne dziewczę same jedne w polu szerokiem, które biegło ku niemu. Była to prosta wieśniaczka, ale bardzo młoda, bardzo piękna. Nigdy żadna z tych pań, co w złoconych kolasach jeździły po Krakowie, nie wydała mu się tak hożą, tak wdzięczną i miłą. I wołała na niego takim głosem, takim głosem, że zdało się chłopcu jakby mu się coś koło serca odrywało. Prędko jednak domyślił się że go to szatan tak kusi, oczy zamknął, modlić się zaczął i nic na pytanie nie odpowiedział.

— Chłopczyku! chłopczyku! wołała, czyś ty głuchy, czyś ty ślepy? poczekaj! poczekaj, ja zbłądziłam, pójdziem razem.

A chłopiec nic nie odpowiedział, tylko goręcej się jeszcze modlił.

Nareszcie uczuł że się ku niemu zbliżała i śmiejąc się targąta go za fałdy i mówiła:

— Chłopczyku, czemuż ty mi nie odpowiadasz? aj! piękny chłopczyku, już się zmierzcha, ja się boję iść sama, pójdziem razem! nieprawdaż?

— Ja się modłę i idę do piekła, odpowiedział chłopiec, jeśli chcesz to idź za mną.

Dziewczyna odskoczyła i rozśmiała się.

— Szalony! żartujesz! Zobaczę i ja gdzie to te piekło. I szła za nim ciągle, szydząc z niego, to znów prosząc go, aby się zatrzymał; on na wszystko był głuchy. Słońce już było zaszło, a jeszcze nie widać było żadnej gospody na drodze, dziewczyna śpiewała idąc za nim piosneczki wieśniacze, on patrzył na mysz i szedł i modlił się. Ciemniało, ona szła za nim jeszcze, ale coraz dalej, nareszcie próbując rozmowy wszystkimi sposoby i nie mogąc jej zawiązać, łajac go zaczęła.

— A hultaju ty hultaju! wołała, pięknież to tak, dobrze nie chcesz poratować, słówka nie powiedzieć do biednej dziewczyny. Piękny jesteś a dziki i nie ludzki. Zmiłuj się, poczekaj, widzisz że się zciemnia, siądźmy i odpocznijmy.

— Ślubowałem Bogu nie odpoczywać, rzekł chłopiec. Dziewczyna mu się śmiała.

— Do licha nie dalekoż ty zajdziesz!

— Bóg mi sił doda! rzekł chłopiec znowu.

Zbliżali się do wielkiego lasu, a na kraju jego stała gospoda wygodna, dymiło się jej z komina, czuć było smażeninę z kuchni i widać dużo ludzi, a przed chłopcem była puszcza i noc. Dziewczyna zatrzymała się u drzwi gospody i kusila go jeszcze.

— Chodź, przenocujem razem, a jutro pójdziem dalej w drogę.

Chłopiec milcząc szedł dalej i okiem na gospodę nie rzucił i chwili się nie zatrzymał. Dziewczyna jęła go łajać i śmiać się znowu.

— A cóż to za żak głupi, wołała, nawet się do mnie nie obrócił, nawet nie zagadał do mnie! o! brzydniku, brzydniku, nie daleko ty zajdziesz, zabiją cię zbójcy, zabiją cię w lesie. — A potem szepotała mu jeszcze:

— Ej, chodź przenocujemy razem, a potem pójdziem w drogę! Chłopiec minął gospodę, szedł dalej. Gdy się zupełnie zciemniło, czarna mysz świeciła oczyma i pokazywała drogę, weszli w las głuchy i szli długo, bardzo długo. Ciemno było i straszno, a chłopiec się modlił i modlił do N. Panny. Wśród lasu napadł na jakichś ludzi, którzy odzierali podróżnego przybitego a ci zaczęli na niego wołać ujrzawszy go.

— Hej! chłopaku, chodź no do nas, a pomóż nam nieść pieniądze do jaskini, to ci ich damy za to pełną czapkę i pójdiesz sobie jutro zdrów w dalszą drogę. Stój, nie idź dalej, bo do ciebie strzelim.

Chłopiec jakby nic nie słyszał, szedł spokojnie i minął ich. Uczynił był ślub nic nie jeść, a głód i pragnienie mocno mu dokuczały; po drodze zaś to tam to tam nawijały mu się z jedzeniem pogubione sakwy, spotykał podróżnych którzy go prosili na obiad, na przekaszkę. Wisały owoce na drzewach i spuszczały się z gałęzmi ku niemu. Nic go przecie nie skorciło.

Nie wiem którego tam dnia, zaczęła się dawać czuć siarka i smoła i ziemia gorąca była pod nogami, wszedł chłopiec w las znowu, gęsty i czarny. Szeroki wiódł środkiem gościniec i bity trakt a ludny. Jechały nim kolasy wielkie i wozy kmiece, szli piesi różnego stanu i wieku, mnóstwo ludu jak mrowia. Chłopiec to tylko uważał po nich, że wszyscy prawie mieli oczy zamknięte, jakby śpiący lub umarli; on jeden między nimi na żywego wyglądał. Tu już mysz z przed niego znikła, a on się domyślił, że był na drodze do wrót piekielnych.

ROZDZIAŁ IV.

Jako Twardowski zaszedł do piekła, i co tam widział.

Tem goręcej modlił się chłopiec, im bardziej czuł że się zbliżał do piekła. Nie oglądał się nawet na otaczające go postacie, których coraz liczba się zwiększała. Był to jednak ciekawy widok, gdyż do piekielnego gościńca szerokiego i przestronnego, mnóstwem ubocznych ścieżek; ciżba ludu dążyła.

Jedni tam jechali poszóstno w kolasach złożonych, które zamiast koni ciągnęły grzechy ich, pod postacią ohydnych poczwar, ubranych w bogate rzędy, na których zamiast pereł i kamieni drogich świeciły łzy ludzi kropkami, pot ludzki i krew ludzka.

Drugich ciągnął do piekła brzuch nienapchany, w którym widać było przejezione wioski i zamki i sioła i strawione kupy złota, spożytą spokojność rodziny, pochłonięte wszystkie cnoty.

Inni szli pijani i zdawało im się że przed nimi wiozą kufę wybornego kanaru, na którą zmrzużone, czerwone oczki, zwracali miłośnie.

Szedł tam i chudy jakiś djalektyk z Teolgji Scholastycznej woluminem pod pachą, podpierający się Arystotelesem, zaprzężony za kark do ogromnego pióra, które go ciągnęło.

Przed innymi toczyły się dukaty po gościńcu, a oni usiłując je złapać, już już je doganiając co chwila, suli z zaiskrzonym wzrokiem, roztwartą dłonią, dyszącą piersią do piekła.

Innych wabiąc wiodła czarnooka dziewczyna i coraz dalej za sobą prowadziła. Gdy się odwracali, nie widać już było za nimi ich domu spokojnego, ich życia swobodnego, ich przeszłości złotej, wahali się, lecz za skinieniem, uśmiechem dziewczyny, biegli do ot-

chłani znowu. Jeśli poczęli ustawać spotniali, znużeni, naówczas ona, ukazywała im jakby od niechcienia, z pod białej szaty kryjącej utoczone ciało białe, to kolaną, to pierś lubieżną, to nogę, to ramiona łabędzie — oni znowu nabierali sił, zawrzała w nich krew, zakipsiał mózg, zatrzęsło się serce, i szli dalej a dalej.

Byli tacy co patrząc w niebo szli do piekła.

Byli tacy, których wiedli za rękę własne dzieci, wychowańce i studzy.

Byli inni co tylko ogony swych pań i poduszki swych panów dźwigając z niemi do piekła dążyli.

Szli i złodzieje, kradnąc po drodze, co się nawinęło, kradnąc nawet grzechy cudze z kieszeni podróżnych, radzi że im się nigdzie Piłat i szubienica nie nawijała na oczy.

Szły śpiewając i podskakując kobiety jakieś z rozczochranym włosom, z swawolną pieśnią w ustach, swawolniejszym uśmiechem jeszcze, a najswawolniejszym wejrzeniem, którem rzucały jak wędą na przechodniów.

Był tam opasły opat z przymrużonem okiem, drzemiący spokojnie w krześle, które z nim nieśli do piekła niewidzialni studzy. Za nim dźwigała misę potężną jakiegoś przysmaku, tłusta gosposia; a dzbanek kantor z klechą oburącz.

Szli tam i wielcy panowie dumnie przeciskając się przez motłoch, gniotąc nogami jakichś biednych, którzy z drogi wracali, a przed nimi nieśli szatani buławy i infuły i laski i senatorskie krzesła i tytuły cudzoziemskie.

Były tam dziwnie dobrane pary, wiodące się to za ręce pobrawszy, to za kark to za poły.

Jednego burmistrza wiodła jejmość za nos porwawszy prosto w otchłanie piekielne.

Jednego młodzika, podżyła już niewiasta niosła przydeptanego w trzewiku.

Jednego staruszka, prowadziła dziewczyna za ostatek siwych włosów zajawszy w pośrodku głowy.

Innych szatani chwyтали za oczy, za nos, za nogi,

za uszy, za ręce i tak ciągnęli niemiłosiernie.

O! zaiste, ciekawy, jedyny, był widok piekielnego gościńca, lecz chłopiec tak był swoją modlitwą zajęty, że nic a nic nie widział. Nareszcie stanął razem z otaczającym go tłumem u wrót piekielnych, których zewnątrz nikt nie strzegł, owszem wystrojony odzwierny, przyjmował niskim ukłonem i drzwi na rozcież otwierał. Ten gdy ujrzał młodego chłopca z kropidłem w rękę, śpiewającego pieśń nabożną, czystym głosem dziecinnym, zaparł drzwi prędko i nasrożył się. Nie widział tego nawet Twardowski, pokropił wodą święconą, drzwi się otworzyły, on wszedł.

Uderzyły go natychmiast jęki wydobywające się z otchłani piekielnej, które zagłuszyły na chwilę jego śpiew lękliwy, lecz taka była moc tych słów, które wymawiał chłopiec, że przed niemi ucichła wrzawa piekielna, wszystko zamilkło i poczet czarnych djabłów przestraszonych, wybiegł naprzeciw.

Chłopiec tymczasem śpiewał i kropił na wszystkie strony.

— Czego tu chcesz duszo czysta? zapytał jeden. Czego tu chcesz? czego tu chcesz? powtórzyli chórem inni; a wszyscy odskakiwali i kurczyli się na każde ruszenie kropidła.

— Chcę i szukam cyrografu, danego na moją duszę przez ojca, odpowiedział Twardowski i śpiewał dalej i kropił znowu. Djabli znikli, on szedł w głąb, aż do najciemniejszej jaskini, w której siedział sam Lucyfer, wódz i głowa zepchniętych z nieba aniołów.

Gdy i tu kropidłem począł wywijać jak szablą chłopiec, a szatani opatrzyli iż go z żadnej strony pochwycić nie mogli, gdyż był czysty i niczem od spowiedzi niepokalany, poczęli z nim wchodzić w układy. Powiedzieli mu z początku iż cyrograf zginał i traktowano go w zamian pieniędzmi.

Potem dawano mu kobietę, jaką by sobie na świecie wybrał.

Potem godność jakiejby zażądał.

Potem władzę jakiejby sobie życzył.

Potem powiedziano mu, że djabeł, który od jego ojca wziął cyrograf na jego duszę, nie znajdował się w piekle, lecz podróżował po świecie i przy sobie nosił papiery. Na to wszystko odpowiadał chłopiec kropidłem, którego djabli niezmiernie się lękając, musieli wreszcie postać po tego, który cyrograf miał.

Przyprowadzono go po chwili, ale się zaparł, że jako żywo nie miał i nie brał żadnego zapisu.

Znowu chłopiec użyć musiał kropidła, znowu djabli przyrzekli mu oddać cyrograf, przynieśli kufer ogromny i kazali mu szukać. Co tam się w nim znajdowało trudno wyliczyć; były tam papiery zrzucone bez porządku, z różnych lat, języków, krajów — istne archiwum szatańskie, w którym dopiero pomodliwszy się do Ś. Antoniego, patrona rzeczy zgubionych, wynalazł chłopiec zapis na swoją duszę.

Widząc djabli że nic nie nada, musieli mu go oddać, lecz w oczach chłopca przysięgł djabeł, który ojca jego skusił na cyrograf, że duszę jego i bez tego zapisu weźmie. Tej przysięgi nie słuchając chłopiec, kropiąc znowu i śpiewając *Te Deum*, zawrócił się, aby wyjść z piekła.

Lecz trudniejsze to było, niż wejście do niego. Zamykały się przed nim wrota, znikały mu drogi z pod nóg, waliła się ziemia, trzęsło się sklepienie, napadały go straszdyła, wabiły go łakocie, jadła, napoje, dziewczęta i chłopcy, znajomi ludzie wyciągając ręce ku niemu, wzywali go do rozmowy, weszli jacyś panowie szlachta otaczali go kołem, aby przytrzymać; — lecz Twardowski uwiesić się nie dał, bo modląc się żarliwie widział pod skórą tych wszystkich mar utajoną zdradę i przez ścianę słyszał męki potępieńców. Trafił narreszcie na swoją drogę i wyszedłszy za wrota, które mu jedną nogę przyskrzypnęły nieco, tak że potem trochę na nią nakulewał, na świat znowu powrócił. Tu padłszy na kolana Bogu dziękował, a potem pędem puścił się przed siebie.

Ale na tej drodze, tak wprzód tłumnej, nic już teraz nie widział, a ściskając w rękę cyrograf, na

oślepiebiegł. O kilkoro staj zaczęła go znowu prowadzić mysz, i wywiodła go aż do domku ojcowskiego pod Proszowice.

Wszedł i padł ze znużenia na progu chłopiec, a gdy go otrzeźwili, opowiedział ojcu podróż swoją, ukazał cyrograf wydarty djabłu, którego spalono, zaraz na poświęconym ogniu, aby z węgla jeszcze nie mógł go dobyć szatan. Tak ojciec Twardowskiego, na stare swoje lata spokój odzyskał; lecz wkrótce potem gdy do szkoły wrócił chłopiec, przyszedł parobek, oznajmując mu o śmierci ojca, który nie długo przeżył odzyskanie syna.

Opłakawszy go Twardowski, a zasmakowawszy w nauce, pozostał jeszcze nadal w szkole, której Senior, zamilowanie jego i pilność do serca wzięwszy, przyjął go pod swoją opiekę.

ROZDZIAŁ V.

Jako się stał uczonym i sławnym Twardowski.

Lecz nie darmo zaklął się był szatan na Twardowskiego, odtąd bowiem usiłując go podejść i duszę jego pochwyć, nie odstępował go krokiem, niewidzialny czuwał nad nim i szukał w duszy jego szpary, którąby w nią mógł dech swój zaraźliwy wpuścić. Czysta jednak była jeszcze dusza młodzieńca, i czystsza od rówieśniczych; zajęty nauką, którą obrał za gwiazdę i nadzieję życia, on na resztę świata jakby nie patrzył, nie czuł wszystkich zgubnych ponęt rokoszy, i nie widział dróg do grzechu. Jeszcze nie była wybiła jego godzina. Bo każdy człowiek, choćby najrozumniejszy, choćby najzimniejszy, ma w życiu jedną godzinę szafu, w której jak roślina wybujata puszcza niepotrzebne odrośle.

Młodzieniec zatapiał się w naukach. Szatan uczuł że nie potrafi niczem innem go zgubić, chyba jedną nauką, postanowił więc dopomagać mu tak do niej, aby Twardowski prędko wyczerpawszy wszystko, więcej zażądał, aniżeli mu dać mogli ziemscy nauczyciele.

Skutkiem tej niewidzialnej pomocy szatańskiej, Twardowski jednym rzutem oka, jednym sięgnięciem umysłu, zbadywał i odgadywał najzawilsze naukowe trudności; coraz nowych ksiąg, nowej nauki żądał, i począł wprędce nauczycieli swych i mistrzów owego czasu przechodzić. Dziwiły te postępy młodzieńca wszystkich, krzywili się na nie jedni, wynosili je pod niebiosa drudzy, najmniej uczeni sławili go, za przykład półmędrkom zaufanym w sobie stawiając, uczeni z przekąsem o nim gadali, potrzęsając głową.

Nie było bowiem wprędce gałęzi nauk, w którejby

mistrzom nie sprostał; wziąć mu się tylko było do czego chciał, a ta władza powszechnego pojęcia i zrozumienia wszystkiego, posługiwała mu tak wiernie, iż ucząc się, już księgi poprawiał o nauce traktujące, i w połowie drogi będąc, drugiej się już połowy domyślał, całą zaś przebiegłszy, przepowiadał jej dalsze postępy, jakimi ją miały przyszłe ubogacić wieki. Tak biegly lata oddane naukom, Twardowski z kolei Teolog, Matematyk, Filozof, Fizyk, Medyk, Poeta — łączył w sobie znajomość nauk rzadko razem chodzących w tak wysokim stopniu, iż w każdej zdawał się być najdoskonalszym, póki o innej ust nie otworzył. A tak jeszcze był młody!

Lecz tej jego nauce towarzyszyło szczególniejsze uczucie. Nie tak jak inni, którzy liźnawszy nieco, już mniemają że stoją u kresu, i arcymistrzami się sądzą; Twardowski sprawą szatana, zawsze pożywając łaknął, ucząc się pragnął więcej nauki, czuł że mu wiele jeszcze zostawało do zbadania, a nie mogąc już więcej nauczyć się i wyścignąć wieki umysłem, gdy się oparł o ówczesne słupy Herkulesowe, zwiastujące mu koniec świata, czuł przynajmniej jeszcze niedoskonałość swoją, czuł jak wiele jest jeszcze rzeczy zakrytych przed ludźmi, które powoli odśłaniać się będą, aż do skończenia rodzaju ludzkiego; czuł że ludzie, niezmordowani pracownicy, nieustannie waląc i odbudowując gmach prawdy, długo jeszcze nad nim wysilać się będą.

A wieluż to jemu współczesnych, sądzili się u szczytu, i nie domyślali się postępu w wiekach przyszłych.

Ten proroczy duch w Twardowskim, całe był różny od ducha jego czasów i zadziwiający w młodzieńcu, który ledwie na pozór skosztowawszy nauki, już nie-wiedzieć dla czego wywijał nią z pogardą, z jaką dziecię napierając się żelaznej, drewnianą szablą wywija. Uważano że najmilszem jego zatrudnieniem, było szyderskie zbijanie przyjętych wówczas zasad, że z roskoszą wyśmiewał zarozumiałych, upokarzał dumnych trochę nauki. Jego wszystkie twierdzenia miały minę komentarzy nieustannych, nad słowy Salomona: *Vanitas*

vanitatum. Kiedy mówił o nauce i dochodząc jej krańców, opierał się na granicy ówczesnych wiadomości, czynił to nie z radością ucznia, sięgającego pożądanego celu, lecz z westchnieniem starca, któremu nieprzełamana zapora, w dalszą drogę puścić się broni.

Mając upodobanie w zbijaniu fałszów, które prawdami mniemano i upokarzaniu półmędrków, Twardowski szukał też najczęściej prawdy i światła, tam gdzie po nie nikt jeszcze nie chodził, na naukowych śmieciach; śmiał się z systematów i systematycznych nauki przekreśleń, wskazywał jakby od niechcienia inną drogę dla niej, inny tryb jej wykładowi. Tak wielkie różnienie się w opinii od wszystkich otaczających go mistrzów, tak wielkie zuchwałstwo ucznia i żaka w obliczu poważnych medrków, i ksiąg poważniejszych jeszcze wiekiem i uświęceniem opinij — nie były zrozumiane od wszystkich, ani należyście ocenione. Na to rachował nieco szatan, żeby posiawszy w duszy zrażonej jedno ziarno niechęci, wlawszy w nią jedną kroplę rozpacz, zatruc ją i zamącić całe życie.

Często do zbrodni nie trzeba innej pobudki nad zniechęcenie jakieś od wszystkiego, a miejsce namiętności czynnej, zastąpić może rozpacz.

Twardowski z ucznia po stopniach uczonych, wyszedł na mistrza, lecz nauki jego zamiast zaspakając, drażniły tylko uczniów, tak jak igraszka jakaś, obiecując zawsze coś więcej, im więcej odkrywały. I tak był to mistrz niebezpieczny, co zamiast głodnych karmić, czynił ich tylko zajadlej jeszcze łaknącymi pokarmu. Szatan wszystko to widział, wszystkiem kierował i cieszył się nadzieją posiadzenia duszy młodego mędrca prędzej czy później. Dotąd jednak choć nauka i wiarę w duszy jego zachwiała, nie był jeszcze szatan pewnym jej pozyskania, i siadła tylko za siadłami stawiał.

W duszy mistrza nie było już tej ufności, tej wiary, z jaką szedł do piekieł, ta wycieczka jego zdawała mu się jakby snem niepojętym, w którego rzeczywistość wierzył codzień mniej, coraz słabiej. Co chwila zu-

chwalsze wily mu się myśli, i skołataną niemi głowę podnosząc z postania, Twardowski dziwił się im zkąd przychodziły, pojmując jednak, że się wyrodzić musiały i jakby przeczuwając trwożliwe ich przyjście. Wiązał je bowiem szatan jak wenecki łącuszek niedostrzeżonemi ogniwami, jedno z drugimi rodziły się kolejno, naturalnie, chociaż z ich słabego początku, nikt by się wzrostu i końca nie potrafił domyśleć.

Szerzył się tymczasem odgłos sławy Twardowskiego; najślawniejsi ówczesni teologowie, filozofowie, astrologowie, medycy, na przemiany biegli go badać i jak dziwowisko oglądać; nie raz wyzywali go na dysputy, które się zawsze zwycięstwem młodego mistrza kończyły, i późniejszym wrogom odejmowały śmiałość do walki.

A tak pozyskawszy sławę powszechną u ludzi, obudzwszy zazdrość, Twardowski stał się za wysokim dla tłumu, niebezpiecznym dla mędrków, i od wszystkich opuszczony, bez przyjaciół, sam jeden pozostał. Nauka zastępowała mu miejsce przyjaciół, krewnych, wszystkiego, a tem silniej się jej chwycił i szpony w nią zapuszczał, im mniej miał się do czego przywiązać na świecie, im więcej świat się od niego usuwał.

Opustoszał ojcowski domek, opuszczony na ręce płatne; lecz Twardowski nie dbał o to, życie jego nie wiele potrzebowało, nauki są może najmniej kosztowną namiętnością, najłatwiejszą do nasycenia ubogim, którzy się im ciałem i duszą zaprzędają.

Tak biegły Twardowskiemu owe lata młodości, bez uczuć, bez wspomnień rozkoszy, które po nich jak wół balsamiczna, po zwiędłym kwiecie na długo zostają. Sam jeden wśród wszystkich obcował tylko z światem umarłych, z księgami, które wkrótce wyczerpywać się zaczęły; znalazł w nich nieznośne powtarzania rzeczy wiadomych, natłok wyrazów bez myśli, i przymuszony był nasycać się własnymi, to jest palić się sam, żeby w sobie ogień życia umysłowego utrzymać.

Niepojęta dała mu się czuć czczość wkrótce dręcząc go nieustannie. Była ona dziełem szatana, który spro-

wadziwszy ją, czyhał teraz wiedząc, że mu ta chwila stanowcza, odda duszę mistrza. Jakoż dręczony żądzą niewypowiedzianą czegoś niepojętego, czego nigdzie na świecie znaleźć nie mógł Twardowski — obracał oczy na wszystkie strony, i jak umierający woła ratunku, tak on wołał dla duszy wycieńczonej pokarmu. Napróżno chwycił co spotkał, wszystko było próżne, wyschłe. Szatan czekał, a doczekawszy się pory, przybrał na się postać uczonego Doktora, i poszedł kusić Twardowskiego.

ROZDZIAŁ VI.

Jako Twardowski dysputuje z szatanem.

Była noc, a Twardowski siedział w zimnej izbie na poddaszu, przez której okna księżyc wpadał, siedział schylony nad stosem ksiąg, których nie czytał, po których tylko oko jego błądziło z niejaką rozpaczą. W koło niego rozsypane były zwykle mędrca owych czasów przybory, mumja, krokodyl wypchany, poczwary w spirytusach, zwierciadła, osobliwości różne przyrody dalekich krajów, narzędzia i maszyny, malujące swoją rozmaitością, nieładem i opuszczeniem zatrudnienia mieszkańca tej izdebki, jego myśli i tę nawet czczość, która go dreczyła nieustannie. Widać było że wszystko był porzucił, wszystko zbadał do ostatka, i nie wiedział co dalej począć.

Chwila w której się to działo była jedną z przesileni naukowej rozpacz, jedną z tych, w których Twardowski najmocniej czuł żądzę pokarmu umysłowego, nie umiając jej nasycić, i palenie się mózgu w samym sobie bez podsytu. Tę to chwilę wybrał szatan aby go kusić, i zaiste wybrał ją dobrze.

Szatan miał tyle rozumu, że się nie w swojej urzędowej postaci, nie tak okropnie jak go pospolicie malują, objawił Twardowskiemu; wszedł do niego jako średniego wieku mąż poważny, w długiej ciemnej sukni, podobnej księży świeckich odzieniu, z łańcuchem na szyi, w wysokiej futrzanej czapce, z kijem wysokim w rękę, ze zwitkiem pergaminu pod pachą, krótka broda zakrecała mu się do góry, oczy czarne iskrzyły, nos miał orli z rozdartem nozdrzem, które technieniem gorącym zionęło, usta zaciśnięte jakby z nałogu szyderstwa. Czoło jego było pofałdowane, głowa nieco łysa,

ręce kościste lecz silne, uszy tylko nieco hyperbolicznej wielkości. Wszedł krokiem cichym i niepewnym, lecz jakkolwiek stąpał cicho po kamiennej posadzce pracowni, usłyszał szelest Twardowski, porwał się, obrócił, i już oczy przechodnia w siebie wlepione spotkał.

Wiecie że tak waż patrzy na ptaka, aby go oczarować i połknąć potem.

Nie omylił się Twardowski, gdy wnosząc zaraz ze stroju, poznał w nim jakiegoś uczonego, i skrzywił się sądząc, że jak pospolicie przychodził mu zarzucić jaką trudność, podchwycić go w czem, wypróbować lub o radę prosić.

W tem mniemaniu od razu chciał go z niczem odprawić, gdy szatan wiedząc że nie ma człowieka, którego by ze strony miłości własnej pochlebstwem złagodzić nie można zręcznie, zaczął długą oracją wynosząc jego sławę, poddmuchując ogień jego próżności, podniecając w nim i tak już bujającą dumę człowieka, któremu dotąd nikt nie sprostał.

Nad podziw dobry był skutek szatańskiego przemówienia, które się zamknęło utyskiwaniem nad smutną i posępną twarzą mędrca - mędrca, mówił szatan, którego godzin był nigdy smutku nie znać.

Twardowski na te słowa wsunął ręce w szerokie rękawy sukni, i siadając wygodniej w krześle, jał swoje żale rozwodzić, poznawszy do razu, że przychodzić go zrozumie. Bo jest w toku mowy, w głosie, spojrzeniu coś objawiającego rozum i pojęcie wyższe, a baczny człowiek rzadko się na tych znakach omyli, szukając komuby wylał swoją duszę.

— Pytasz mnie, szlachetny panie, czemuś smutny, ja się ciebie spytam, jak można być wesołym? Ciżba tylko, motłoch, gawiedź wesołą być umie, bo ciżba składa się ze zwierząt nieco doskonalszych od pospolitego zwierzęcia, a ich dusza służy tylko za pierwszego niewolnika ciała. Lecz nam, cośmy wyżej zajrzeli, chce się więcej, i drzemy się jak owe Giganty pod niebiosami, walim góry na góry, Ossę na Peljon, żeby wlaźszy na nie, upaść z nich potem na ziemię, w błoto.

Pytasz mnie czegom smutny? Ja mimo tej sławy mojej, o której mi mówisz, nie czuję się godnym imienia mędrca, wiele rzeczy nie pojmuję, mało mogę, wiele pragnę. A w rzeczach nauki trudno się określić w życzeniach, jak cynicy, aby nie pragnąć tylko możnych rzeczy, i zaspokoić się wodą i chlebem. Owszem, choć dręczy niespokojna chęć, miło jest i potrzeba żądać więcej niż świat ten dać może. Kto na jego mądrości poprzestał, bardzo jeszcze głupi.

Szatan uśmiechał się nieznacznie, bo bardzo był rad początkowi rozmowy, i już stał na drodze, którą pragnął powieść Twardowskiego.

— Pali was, odpowiedział, szlachetna żądza nauki, która dręczyła nie jednego starożytnego mędrca, której Arystoteles, to wielkie światło dawnych wieków padł ofiarą, rzucając się w Euryp, z owemi słowy do morza: — Obejmij ty mnie, kiedy ja ciebie objąć nie mogę. Była to rozpacz spalonego żądzą wiadomości człowieka, lecz rozpacz nierozsądna. Ażaliż nie lepiej próbować wszystkiego wprzód, i szukać jeszcze światła i pokarmu aż do ostatku życia? Wszak życie tak krótkie!

— Światła! pokarmu! wykrzyknął mistrz. A gdzież ich szukać? w księgach? Ja czytałem co tylko czytać było można, doświadczałem co było można doświadczyć, myślałem nad wszystkim co myśl objąć może. I wszystkiego się przebrało, a wiele rzeczy zostało dla mnie zagadką. Więc jakże sobą gardzić muszę, jak sobą się brzydzić, gdy tego nawet co mnie otacza pojąć nie umiem!

— Lecz kto pojąć nie może, wszakże może jeszcze w pewien sposób doświadczyć świata, używając go, rzekł szatan.

— Rzeczwierzecia! odpowiedział Twardowski.

— Jak kiedy, jak komu! zwierzecia albo mędrca! Świat może nie jest czteku do pojęcia, lecz do użycia dany. Gdy jedni usiłują go zrozumieć, drudzy tymczasem używają i w końcu lepiej wychodzą z nasyceniem, niż tamci z rozpaczą.

— Byłżebym ja na złej drodze? odpowiedział du-

maie Twardewski, uderzając się dłonią w głowę. Kiedy
cauję w sobie żądkę niepoohamowaną wiedzy, i szukam
jak Archimedes punktu oporu, na którymby myśl moja
spocząwszy świat podniosła; — byłoby to próżniam,
ciem, śmiesznem? byłoby to nie moja sprawa, na eo
się kuszę z wewnętrznego popędu?

Szatan odpowiedział — nie; — nie chcąc mistrza
gniewać, a widząc że czas jeszcze na naukę użycia
świata nie przyszedł, bo Twardowski mogąc nie chciał,
a zażądać miał dopiero świata gdy go już mieć nie
mógł, zażądać dopiero z całą rozpaczą niemocy, z całą
gwałtownością więźnia wrywającego się z kępujących
go więzów.

— Nie — tego nie mówię, rzekł szatan, lecz w rze-
ozy nauki, czyliżście już tak dalece wszystko przeszli?!

W tak obróconej odpowiedzi Twardowski ujrzał jak-
by wyzwanie i zaprzeczenie, uśmiechnął się i milczał.
Nie śmieszany tą pogardą szatan, uśmiechając się także
powtórzył wyzwanie.

— Sprobómy się więc! rzekł mistrz.

— Sprobómy! odpowiedział szatan.

— Noc widać, księżyc świeci, idźmy za miasto.

— Chodźmy za miasto!

Wetali i poszli obydwa gotując się do dysputy.

ROZDZIAŁ VII.

Jako Twardowski rozmyślał, i o prawdziwym przyjacielu jego Macku.

Nikt nie wie jak tam się odbyła owa dysputa Twardowskiego z szatanem, bo nikt jej nie podsłuchał, a domyślać się trudno. Trwała ona późno w noc, aż nad ranek szatan zwyciężył. Mistrz tak był zdziwiony nauką diabła, że gdy już nazad wracali, spytał swego współzawodnika:

— Zkądże ci to przyszło? gdzieś się tego wszystkiego wyuczył?

— Tę mądrość dał mi djabeł, odpowiedział uczony nieznajomy, w zamian za duszę, tę władzę, której ci dałem dowody, od niego ją mam.

To powiedziałwszy i nie dając się dłużej wypytywać, skinął ręką i zniknął w ciemnej uliczce, zostawiając Twardowskiego samemu sobie. Dobrze to wszystko było wyrachowane; mistrza upokorzenie i wiadomość rzucona mu zaraz w oczy, gdzie zbywającej a tak pożądanej mądrości dostać i kupić można, miały go podniecić i doprowadzić do zaprzędania się djabłu. Inaczej pewnie piekielny posłaniec nicby nie był wskórał u mędrca. Znikł tajemnie, aby rzucone nasienie miało czas wzrosnąć i wybujać w samotności.

Myśl ta, iż szatan może dać nadludzką mądrość, zastrzegła w mózgu Twardowskiego, chciwego nauki i sławy; męczył się z nią długo i dumał jak zacząć sobie, a codzień rano wstawał z pomiętego łoża, bardziej dręczony niespokojną żądzą połączenia się z djabełem, uczynienia z nim przymierza. Żał mu jednak było duszy nieśmiertelnej, a choć pobożność jego dawno strawił ogień palący duszę, kiedy jednak jak przez

mgłę przypomniał, iż tak drogo niegdyś wyswobodzenie swoje okupił, wędrując wśród tysiąca niebezpieczeństw do piekieł po cyrograf, wahał się z oddaniem diabłu znowu, i przyznaniem mu niejako zwycięstwa i wyższości nad sobą.

Od czasu jednak owej nocnej dysputy z szatanem, wszyscy w nim wielką odmianę postrzegli. Nie cenił już tak wysoko jak przedtem swojej mądrości, brzydził się sam sobą, a z powierzchowności jego bardziej niż kiedykolwiek widać było walkę wewnętrzną i smutek gryzący go po cichu. On, co wprzód z pogardą odrzucał precz od siebie magiczne księgi, teraz począł ich szukać, i powoli oswajając się z szatanem, oglądał się ażali nie spotka człowieka, coby mu drogę do niego pokazał, chociaż niepewien był jeszcze, czy warto ofiarą duszy i wieczności okupić mądrość, która możeby go nie nasyciła znowu, i tylko jak niezdrowy napój goretszem nabawiła pragnieniem.

W tych chwilach walki z samym sobą przychodziła mu nieraz z żalem pamięć młodości spokojnej, kiedy jeszcze mniej uczony i mniej sławny miał wiarę i nadzieję w duszy.

Z uczuciem wspominał sobie ławy szkolne, na których przepędził tyle słodkich godzin, ucząc się tajemnic wiary umysłem i sercem, i marmurowe posadzki kościoła P. Marji, na których klęcząc z takim uniesieniem śpiewał pieśni nabożne. Przypominał sobie także te chwile zapału religijnego, w których sam pieśni układał, ulubione później od ludu, pieśni które prędko w całym już Krakowie brzmiały, ale nie brzmiały w sercu jego, i nie obudzały w niem tego uczucia, które je zrodziło. Dziś poglądał okiem mędrca zimnego na to dzieło młodości, okiem mędrca, którego pożegnała wiara, którego zapał wygasnął, nadzieje powiędły. A jednak porównywając dzisiejszego siebie z dawnym sobą, żałował przeszłego szczęścia. Za późno już i niepodobna wracać do niego było, — tamto szczęście było jak mleko matczynej piersi, niesmaczne i niedostateczne dla wieku, do którego przyszedł, chociaż owych

czasów żałował. W życiu i w podróży rzadko kto powraca inaczej jak myślą nazad, aby znów innemi tylko kroki też samą przebieść drogę. I żał domu i żał młodości, a jednak spieszym naprzód!

W tym czasie ulubionym celem przechadzek Twardowskiego stało się dzikie wśród skał ustronie za Wisłą, w Podgórzu na Krzemionkach. Tam on dni całe, a czasem i noce przepędzał sam jeden, tam za nim wlekli się często chciwi nauki uczniowie, których zdziaczały nauczyciel pod gołym niebem chłostał biczem swego niedowiarstwa, i zrażał bardziej od nauki niż do niej zachęcał, pokazując ją jak przepaść czarną mającą pochłonać nieostrożnych, co się w nią puszczają. To miejsce dzikie i smutne zgadzało się z jego smutną duszą i dzikiemi myślami, w około otoczony zarosłami i skałami, obrał sobie miejsce w jednym wydrążeniu i zagłębieniu wzgórze, które pospólstwo widząc go tam najczęściej przesiadującego, nazwało potem szkołą lub katedrą Twardowskiego.

Wkrótce zbrzydziwszy sobie nauczycielstwo, rzucił je mistrz, gdyż miał tyle sumienia, że nauki zarządzonej niedowiarstwem, które go dręczyło, udzielać drugim nie chciał. Nie wielu uczniów z ciekawości lub osobistego przywiązania chodziło tylko za nim, lecz wkrótce i ci, nic z niego na korzyść swą wybadać nie mogąc, opuścili go.

Jeden był tylko co przy nim pozostał, jeden chłopiec który Twardowskiemu służył, którego on gdzieś z ulicy z rąk umarłej pod kościołem żebraczki wziął przez litość na wychowanie. Ten, że nie miał na świecie nikogo prócz swego mistrza, został z nim, wierny jemu, i albo za nim z dała w przechadzkach jego samotnych się błąkał, albo jak pies drzwi jego pracowni opuszczonej pilnował.

Zwał się on Maciek Sierotka; mały, chudy, blade, tę odrobinę życia, którą był winien mistrzowi, jego usługom oddawał, jedyną jego myślą było jemu służyć, nim żył tylko, bez niego nie pojmował życia. Nie mając się do kogo przywiązać, o kim i o czem myśleć,

myślał tylko o mistrzu i jego tylko kochał. Powoli to uczucie stało się w Maćku takim nalogiem, takim zaparciem się siebie, jakim się staje w zwierzęciu, w wiernym psie lub kozie starej wdowy. Maciek wcielił się w mistrza i przyrósł do niego, na jawie myślał o nim, we śnie o nim marzył, a jeśli co robił, to dla niego. Jego życie było tylko dodatkiem do cudzego żywota, a biedny chłopiec nie umiał sobie i dla siebie nic począć, wszystko tylko mistrzowi, dla mistrza, w którym żył. Dziwne to przywiązanie było pośmiewiskiem u ludu i gadką powszechną, a że wcześniej jeszcze nim Twardowski czarnoksięstwu się oddał, już go o nie posądzano, ludzie gadali, że go czarami do siebie przykuł.

Maciek był kilkonastoletni, nauki nie znał jeszcze żadnej, nie domyślał się jej nawet. Dla niego całą naukę i mądrość świata składały pieśni nabożne, najmedrsi wydawali mu się księża, co tak pięknie po kościolach chwałę Bożą nucili. Mistrz zaś zdawał mu się czemś tak wyższem nad wszystkich, że o jego mądrości myśląc, Maćkowi w głowie się aż kręciło. Nigdy też Maciek nie wdawał się w dochodzenie czynności jego i pojęcie myśli, gdyż czuł że to było nad siły; starał się tylko jak pies służyć mu wiernie, cicho, posłusznie, spokojnie, nigdy w niczem nie być zawadą. Kiedy był chory, chorobę starannie ukrywał w sobie, kiedy był głodny, wolał ukraść kawalek chleba, niż mistrza o niego poprosić, a kiedy podarte suknie łachmanami z niego spadały, latał póki mógł, potem oblekał na się pierwszy kubrak odarty, który gdzie w kącie nadybał, i tak żył znowu spokojny.

Twardowski zdawał się na niego i jego przywiązanie i usługi prawie nie zważać, a jeśli zwrócił na niego uwagę, to chyba wówczas gdy niezręczny sługa mimowolnie mu się czem naprzykrzył. Wówczas wypędzał go za drzwi, a chłopiec kładł się pod progiem, żeby być na pierwsze zawołanie mistrza, opuścić go bowiem nigdy mu nawet na myśl nie przyszło.

W czasie coraz częstszych wycieczek Twardowskiego

na Krzemionki, niespokojny uczeń nie wiedział z początku co począć z sobą. Chciał on z razu towarzyszyć mistrzowi, lecz bał się izby opuścić, której nikt nie strzegł, a zamknąć nie było czem. Wahał się więc, wybiegał i powracał, aż nareście rozważywszy wszystko pozostał przy drzwiach, jak wierny pies strzegąc skarbów swego pana. Kiedy mu bardzo głód dokuczał, schodził na rynek, kradł bułkę i co najprędzej wracał znówu leżeć u progu, odprowadzając przychodzących jednostajnymi słowy:

— Nie ma mistrza, za Wisłą.

Lecz coraz a coraz liczba ciekawych przychodniów się zmniejszała, zdawało się, że wszyscy zapomnieli o Twardowskim. On zaś coraz częściej i dłużej przesiedywał na Krzemionkach, dokąd przeciw zwyczajowi swemu ani księgi nawet z sobą nie brał. Chodził tylko sam z myślami swemi. To trwało kilka miesięcy, a Maciek zawsze wierny leżał u progu komory na chłodzie, mrząc głodem, odarty, i gdyby się kto nad nim litował, on uśmiechając się głupowato mówił:

— Oóż mi to szkodzi? mnie tu dobrze!

ROZDZIAŁ VIII.

Jako Twardowski postanowił zaprzedać się djabłu, i co się działo w jego duszy i jaką z djabłem ugodę uczynił.

Twardowski siedział w swojej szkole na Krzemionkach, zadumany, myślący. Nadchodziła noc już to trzecia czy czwarta jak wyszedł z Krakowa i samotny po Podgórzu błądził. Słońce było zaszło, gwiazdy słabo jeszcze przez jasny błękit nieba świeciły, i księżyc czerwony z za drzew się pokazywał. Była jesień, pogodny wieczór, ale wichur opętany porywał kupy liścia, szamotał się z niemi i kręcił w kółko po drogach, po dolinach. Tam i sam widać było tumany piasku kręcące się także jak pijacy powracający z gospody, i słychać było szum i szelest, a jednak niebo było pogodne, błyszczące, powietrze czyste i chłodne. W duszy mistrza było właśnie jak na dworze, pogodniej i jaśniej niż wprzód, ale wiatry miotały w niej myślami i kręciły. Świeciły tam słabo gwiazdy nadziei i księżyc żądry czerwony wznosić się poczynał, na niebo osierocone ze słońca wiary. Wybaczcie mi to porównanie przesadzone, taki był wówczas język poezji.

Twardowski był już postanowił nieodmiennie wewzwać djabła, widzieć tej jeszcze nocy, i po próbie jego sił, oddać mu duszę w zamian za naukę i mądrość wielką i sławę. Dziwna myśl ostatecznie go do tego kroku popchnęła. Przypomniał że już raz był w rękę szatana, że tylko przypadkiem i dziwnem szczęściem cyrograf na swoją duszę wydarł piekłu. Jak gracz przegrane w kości pieniądze odzyskawszy, po chwili je znowu rzuca, mówiąc że już były raz przegrane, tak i on duszę swoją poświęcił, powiedziawszy sobie, że gdyby nie traf, i tak byłaby w rękach szatańskich. Takim

argumentem pokonawszy odzywający się w sobie żal po nieśmiertelnej duszy, czekał już tylko nocy Twardowski. Wszystko było przygotowane i woła i czarnoksięskie narzędzia; czekał tylko północy, aby się udać na rozstajne drogi.

Lecz chwila pożądana, stanowcza, nie przychodziła; włókł się czas powoli, jakby mu namyslenia i rozważenia zostawiał godzinę, a Twardowski odpychał umyślnie przeciwne myśli. Mimowolnie jednak cisnęły się one tłumnie, przychodził żal czystej młodości, zaglądał przestraszony, a choć ich mistrz odganiał, cisnęły się znowu i znowu i siadały na piersiach, na głowie, dręczyć i ciężyc. Próżno z okiem wlepionem w zachmurzające się niebo, Twardowski śledził, upatrywał zbliżenia się północy — północy, jakby umyślnie, była jeszcze daleko. Tyle jeszcze czasu mając do stanowczej godziny, mistrz począł, już się nie odganiając myślom, dumać głęboko, postawił im czoło, otworzył duszę z odwagą rospaczy i rzekł w sobie:

— Nic mnie od tego kroku nie odwiedzie — postanowiłem, wykonam. Jeśli w ręku szatana jest ostatek nauki, której próżno okruchy po ziemi zbieram, jeśli on ma wiadomość wszystkiego i władzę nadludzką, jeśli mnie niemi obdarzyć może — ja mu oddam duszę! oddam mu siebie.

Naówczas w duszy mistrza powstało wspomnienie młodości, w białej niewinności szacie, z zielonym wieńcem na głowie, z wiarą w sercu, nadzieją na czołe, miłością w piersiach, i rzekło mu:

— Czyliż ci niedość wiary, nadziei i miłości?

A Twardowski odpowiedział:

→ O! nie dość mi wiary, bo wiara jest ślepa; nie dość mi nadziei, bo ona zwodzi; nie dość mi miłości, bo ona do niczego nie służy, ona nic nie zaspakaja. We mnie upada nadzieja i miłość stygnie; muszę dać życiu zajęcie nowe, nową wiarę, nadzieję i miłość rzeczy gminowi niewidzialnych, niedostępnych, niepojętych.

I powstała w duszy jego rządzi sławy, strojna w po-

ważną, czarną suknię, z łańcuchem na piersi, z lau-rem na skroni, z marszczkami na czole, i rzekła :

— Wszystkie sposoby wzniesienia są dobre, byle się człowiek podniósł. Między robakiem, co się czoiłga, a człekiem, który nic wyższego nie pożąda, nad to czem jest i co posiada; nie ma różnicy!

I znowu podniosła się z głębi duszy jego pobożność, z krzyżem w dłoni, oczyma w niebie, łzami w oczach, i płacząc odezwała się do niego :

— Na cóż mnie opuszczasz mistrzu, a zarzedajesz się szatanowi, dla marnej żądzy sławy? Azaliżem ci nie służyła wiernie? azaliż, w pocie twojego czoła gdyś pracował, jam ci pracy i znoju nie słodziła? azaliżem ci ukazując sprawiedliwość Bożą, nie wyjawiała całej tajemnicy świata i życia? I czegoż ci więcej trzeba było nad pocieche na ziemi i nadzieje przyszłego żywota, które ci szczodra ręką sypałam na głowę? I na cóż opuszczasz mnie, a rzucasz się w rozhułkane morze twej nienasyconej namietności? Azaliżes zapomniał, że ubogich w duchu jest królestwo Boże, a królestwo Boże jest wszystką mądrością? Azaliżes zapomniał, że tam w niebie wszystkie się tajemnice odkrywają, a mądrość ludzka wyda się pogardy godną i nikczemną? I za tę to mądrość oddasz duszę nieśmiertelną?

Ale głos pobożności obumarły i słaby, zagłuszyła żądza sławy, z okiem zapalonem i rozstawionemi jakby do pochwylenia świata ramionami wołając :

— Pragnę, pragnę! bodajbym octu i zółci narwiła się, dawajcie mi napoju. Nie odwróć ust od kielicha goryczy, bo pragnę, pragnę napoju!!

Naówczas biała i czysta i cicha i skromna cnota pozostała jeszcze i mówiła płacząc :

— Odpychasz mnie od siebie mistrzu! Cóżem ci zrobiła? Czyliż przekonanie żem z tobą była, nie słodziło ci każdego kroku po cierniach, nie ocierało ci potu z czoła, łzy z oczu? Czyliżem ci jak wierna żona nie umiała życia spokojem sumienia, na cóż mnie dla nałożnicy odpychasz?

I płakała i tuliła twarz w ręce.

A na to jej znowu odpowiedziała żądza sławy, żądza mądrości:

— Pragnę, pragnę, napoju! napoju! octu czy żółci ezy krwi, byle napoju, byle coraz nowego, byle napoju bez miary!

I cnota ucichła i skryła się.

A gdy te mary przeszły, ukazały się dwa cienie białe, lecące na chmurkach jesiennych i zstępujące ku ziemi. Poznał w nich mistrz ojca i matkę. Oboje mieli gwiazdy nad głową, i palmy w rękę jak święci męczennicy, i słodko mówili dwoma głosami, a jednemi słowy do syna:

— O synu nasz! na cóż ci więcej nauki nad tę, którą masz? Myśmy jej nie mieli, a przecież dość nam jej było, na dwa życia i na całą wieczność. Bo jeśli chcesz szczęścia, synu nasz, szczęście ziemi jest w pokoju, miłości i rezygnacji, nie w nauce; bo jeśli chcesz sławy, sława jest w bohaterskiem poświęceniu się, nie w mądrości; bo jeśli chcesz rozkoszy, rozkosz najwyższa jest w połączeniu dwóch dusz i serc. A nauka jest przepaścią, której człowiek nie poźre, która go pochłonie i zniszczy jak drobnego robaka. Wiadomość złego i dobrego wszystkiego zgubiła pierwszych rodziców, i zgubi każdego, kto dumnie z Bogiem chce się równać, zechce świat pojąć małą swoją duszą, w której ledwie kątek jego odbić się może. Na cóż ci synu nauka? Będiesz ją przeklinał potem, gdy ci życie zepsuje i zaczerni! O synu nasz, na cóż odmieniasz drogę i idziesz do piekieł, z których już raz za łaską i pomocą Boga wyrwany zostałeś? O synu nasz zawróć się!

I płakały cienie, a ich łzy spadały na spaloną pragnieniem duszę mistrza, ale jej nie nasyciły, bo żądza sławy i mądrości wołała ciągle:

Pragnę, pragnę! Nie odwróce ust od octu i żółci, bylebym się napiła! Pragnę, pragnę!

W tej chwili Twardowski zwrócił oczy na gwiazdy i ujrzał że się już miało ku północy; zaczęł wstał

ze skały, którą zwano katedrą jego i poszedł na rozstajne drogi, gdzie już szatan na niego czatował.

Nad drogą stał stary krzyż, pochylony, nadgniły, mchem obrosły, ze skrzypiącą chorągiewką, przewiązany kilkakroć białymi fartuszkami pobożnych wieśniaków. U jego stóp walały się połamane koła, kilka suchych gałęzi i kamień leżał w ziemię już zasunięty. W chwili kiedy się ku temu miejscu mistrz zbliżał, pogodne niebo nocy jesiennej zachmurzyło się, zakryło szarą oponą i wiatr dąć zaczął groźniej z północy, porywając i niosąc z sobą odłamki gałęzi, piasek, gałęzie i poschłe liście. Mistrz obejrzał się. Od krzyża szło dróg cztery, w cztery świata strony. Ku południowi droga rozkoszy, szeroka i wygodna; na północ droga pracy, znoju i cierpienia, drapała się po górze; na wschód była droga nadziei, na zachód rozpaczy i żalu. Wszystkie cztery były ubite, i po wszystkich niósł wiatr kłęby piasku okręcające się szybko jak tanecznicze na kiermaszu, strzelające w górę lub opadające o ziemię i rozsypujące się po drodze. Nad drogą rozkoszy leciało stado gołębi, nad drogą pracy unosił się skutny w pęta białoźór, nad drogą nadziei leciały gęsi dzikie, a na zachodzie krzyczały puhacze i sowy i kruki.

Mistrz zdjął suknię i wyrzucił ją na nice, potem z kieszeni dobył krede święconą i świecę z tłustości trupa, wody kubek, kropidło, książkę jakąś, kości ludzkie i czarnoksiężką utkwilił w ziemię laskę, czarno pomalowaną w białe znaki. Zakreślił na ziemi krąg kredą, którego środkiem był krzyż ów stary, zapalił świeczkę, kości rozrzucił, wodą pokropił i jał wołać zaklęcia językiem złożonym z odłamków wszystkich języków umarłych i żywych, i które wiatr niósł na cztery rogi świata.

— Duchu czarny! wołał — oto człowiek chce ci duszę swoją zaprzedać, przybywaj i przynieś z sobą całą potęgę jaką masz, albowiem nie zaprzeda ci się za złoto, ani za rozkosz, ani za nic prócz mądrości i sławy. Pokaż mu drzewo wiadomości — a weźmiesz jego duszę.

Przybywaj czarny duchu, zaklinam cię w imię wo-
dza twego, który naprzód spadł z nieba i głową w dno
piekieł uderzył! zaklinam cię przez twoje poníženie,
przez twoje męki, przez twoją nędzę i upokorzenie
z woli Bożej, abys przybył i gotową ku tobie wycią-
gnioną duszę od Boga odebrał! Wyzywam cię przez
imiona wszystkich szatanów, straconych w dniu zwy-
cięstwa! przez głębokość piekieł, przez ogień piekielny,
przez wszystkie dusze, które wyszły z otchłani odku-
pione, przez wszystko coś cierpiał i cierpisz, przez
wieczność cierpienia, która jest przed tobą! — Wyzy-
wam cię po raz, wyzywam cię po dwa, wyzywam cię
po trzy i po siedm i siedm kroć siedm wyzywam cię,
ukaż się!

Kiedy tych ostatnich słów domawiał, czerwonym
światłem oświecona postać stanęła przed kołem. Poznał
w niej Twardowski owego mędrca, z którym dysputę
i walkę miał niedawno i usłyszał głos jego chrapliwy
i szyderski.

— Chcąc się djabłu oddać, na cóż było święconej
kredy i wody używać i tak się od niego odgradzać?

— Bo nie chcę, żeby mnie darmo jak dziecię po-
chwycił, odpowiedział mistrz, i wiem z kim mam do
czynienia. Ty jesteś posłaniec piekielny?

— Ja, mistrzu. Mów, czego chcesz odemnie?

— Czego chcę? Żebyś mi pokazał drzewo wiadomo-
ści, żebyś mnie uczynił na ziemi mędrszym od mędr-
ców i od wszystkich silnych nauką silniejszym; żebym
znał świat, jak ten co go stworzył; wszystkie jego
tajemnice, przeszłość i przeznaczenie, i siły rzeczy i
siły istot, żebym był najmądrzejszym z mędrców, że-
bym był sławniejszym od najslawniejszych, wyższym
od najwyższych.

— Wiele pragniesz mistrzu, odparł szatan. A cóż
dajesz za to?

— Moją nieśmiertelną duszę!

— Duszę! odpowiedział śmiejąc się szatan, alboż
wiesz że ona tyle warta? alboż wiesz czy i tak nie
jest już ona w mocy szatana i na drodze, na której

już raz była za młodu?

— Wiem, rzekł mistrz, że pokuta wszystkie moje dotychczas popełnione grzechy zmasać może; wiem, że nie jestem jeszcze na drodze do piekła bez powrotu; wiem że dusza mędrca warta jest tego, co za nią żądam, bo wie dzie za sobą dusz wiele, uczniów i wielbicieli nierozumnego tłumu, i głupich naśladowców, wiedzie jednych chwytając za nozdrza kagańcem przekonania, drugich przykładem, innych ciekawością, innych odurzeniem.

Szatan odebrawszy śmiałą odpowiedź rozśmiał się i odrzekł:

— Pisz-że cyrograf na swoją duszę.

— Powoli, przerwał mistrz. Pokaż mi wprzód co mi dać możesz za tę duszę, którą ci sprzedaję, nie oddaję.

— Jużem ci dowiódł przy pierwszym naszym spotkaniu, że mam mądrość i wiedzę wszystkiego.

— Nie dość mi na tem coś pokazał. Pokaż mi jeszcze że mi dać możesz, że masz władzę użycia twej wiedzy na ziemi.

— A to jak?

— Zadaję ci trzy próby, szatanie.

— Oto naprzód przeniesiesz wszystkie srebro jakie gdzie jest w Polsce, w jedno miejsce, do Olkusza, do zarzuconych kopalni, które karą Boga za świętokradzki czynnek tamecznego magistratu, przestały ludziom dawać zasilek. Niech tam leży wszystko srebro dla mnie, że-
bym ja niem tylko rozporządzał.

— A toż na co mistrzu? odezwał się djabeł; chcesz-
że zubożyć swój kraj, zsypując wszystko srebro, z ką-
d go już nigdy dobywać nie będą, processsem i kłątwą
wyniszczeni mieszczenie, cóż ci z tego przyjdzie?

— Tak chcę, tak być ma, odpowiedział Mistrz.

— I cóż więcej, zapytał śmiejąc się szatan; widzę
że z tobą ciężko będzie, i więcej się koło tego natru-
dzić potrzeba, niżeli tego twoja nadpróchniała dusza
warta.

Twardowski dumnie się uśmiechał.

— Powtóre, rzekł, przez tę noc wykopiesz mi staw pod Knyszynem i przerwiesz z miejsca na miejsce kamień ogromny leżący pod Czerwieńskiem; potrzebie nareszcie, postawisz mi skałę sokołą pod Krakowem, tak aby grubszym koćcem w górę, cieńszym na dół stała. Wszystko to masz zrobić w moich oczach, bez pomocy ludzi, i to dzisiejszej jeszcze nocy. Naówczas przekonasz mnie o swej władzy i wiedzy, a ja umówię się z tobą o duszę moją.

— To wszystko jest tylko próba! zakrzyknął szatan. Mądryś mistrzu! Ale gdyby ci się po tej próbie nie podobało zrobić ze mną umowy, cóżby naówczas było? Za cóż ja mam darmo się trudzić i świat przewracać? He? Nie nie odpowiedział mistrz na to.

— Wola twoja! mruknął po chwili — dwoma tylko słowami możesz mi dać odpowiedź.

— Tak lub nie.

Djabeł się zamyślił i kopytem skrobał w głowę, wykrzywiając poczwarnie, zdając się coś rachować, mrużąc pod nosem. — Ciężka próba! ciężka! Pisz tymczasem cyrograf — potem zobaczymy! Zrobię zresztą co zechcesz.

— Nie wprzód, odpowiedział mistrz, aż mi pokażesz co możesz.

— Targujesz się upornie.

— Przedaję ostatni łachman i najdroższy, rzekł mistrz, żeby nasycić pragnienie moje. Muszę się targować, bo to ostatni targ. Nie chcę ci oddać darmo i bez korzyści mojej nieśmiertelności. — Myśl djable i czyń jak chcesz.

— Wystąpże z kola, rzekł szatan prostując się. — Idź za mną, zrobię co chcesz.

Na te słowa Twardowski pokropił się wodą święconą, wziął w ręce książkę, przeżegnał się pobożnie i wyszedł powoli za koło. Szatan patrząc na to zębami zgrzytał, gdyż zapewne myślał podejściem mistrza pochwycić, a tak uzbrojonego dotknąć się nie mógł. Nadeszła trąba piasku kręcąca się na rozdrożu, wsiadł w nią Twardowski z szatanem, polecieli pędem bly-

skawicy, górą dołem, szybując po nad ziemią, aż do Olkusza.

U zapuszczonego otworu kopalni, stanął mistrz i czekał, szatan zniknął. Po chwili ukazała się czereda wielka mar, niosących na plecach szare jakieś bryły. Zbliżyli się oni, rzucili ciężar po kolei w otwór i szli znowu i znowu wracali bardzo długo. Aż szatan, ich wódz, który im we wszystkich przewodniczył wędrówkach, ukazał się wreszcie sam jeden, niosąc w garści maleńki kruszczo odłamek. Rzucił go w jamę i rzekł:

— To ostatni.

— Jakże mi tego dowiedziesz, że tak jest? spytał mistrz złapany.

— Jakże ty mi dowiedziesz, że tak nie jest, odpowiedział szatan.

Twardowski musiał poprzestać na tem, chociaż w istocie niepodobna mu było przekonać się, czyli w istocie srebro djabli znosili, i czy wszystkie znieśli. Tymczasem szatan schylił się nad kopalnię i plunął w nią jakby od niechcenia — odtąd zalała ją woda zupełnie.

Siedli znów mistrz ze swoim przewodnikiem w wietrzny młynek i lecieli do Knyszyna.

Tu Twardowski ukazał djabłu uroczysko zwane Czechowszczyzna, które mu kazał w staw zamienić. Szatan wybiegł na środek, zaczął rwać ziemię kopytami, pazurami, zębami, wyrzucał ją na boki, miotał ogromnemi bryły, aż wyorał dno stawu i szeroko je rozwiódł; potem stanąwszy u brzegu zdyszany, plunął znowu i zalało się wodą, która aż o przeciwny brzeg z szumem się odbiła.

— To wtóre, rzekł, czas krótki, spieszymy do roboty nim kur zapieje.

I znowu siedli i znowu lecieli pod Czerwieńsk. Mistrz pokazał djabłu kamień ogromny w ziemię zapadły, zapleśniały, mchem porośły, i kazał go o staje przez las i wodę przerzucić za łąki na miejskie pole.

Djabeł kręcił głową, brał się do kamienia to z tej to z drugiej strony, stękał, wreszcie ujawszy go pazu-

rami podważył i na pole stoczył. Potem podszedł doń tyłem, ręce za siebie przełożył, zarzucił go naprzód na ramiona jak wór mąki, ujął silnie, nad głowę podniósł, zamachnął się i czarna bryła świszcząc i warcząc po nad wierzchołki lasu, których dotknęła w przelocie, mignęła się w powietrzu i z hukiem upadła na pole.

— Teraz wróćmy do ostatniej próby pod Kraków, rzekł szatan, lecz mojem zdaniem, dość by ci być powinno tego com dotąd dokazał.

Mistrz nic na to nie odpowiedział, znowu lecieli pod skałę sokolą zwaną lub pieskową, która naówczas stała jeszcze ostrzem w górę. Tu gdy stanęli, szatan obszedł ją do koła, obejrzał podstawę, wstrząsnął głową, cienki wierzchołek mierzył oczyma i myślał jak sobie począć.

Twardowski ciekawie jak się szatan do tego weźmie, poglądał. Ta mała postać, której przy skale ogromnej prawie widać nie było, kręciła się i chodziła czmychając, parszkając, dotykając pazurami skały, patrząc z podejścia na nieruchomego mistrza. Nareszcie szatan podniósł się na palce a raczej na kopyt swych końców, i nagle rosnać zaczął tak, iż głową dobrze skałę przerosnął, a mając już ją pod ręką, wziął jak pałkę, za koniec, wznosił do góry, przechylił, zniżył się, i cieńszym końcem postawił na podstawie. Nie zaraz jednak ustawiła się, kiwnęła się jeszcze kilka razy i chrupała, aż szatan ją mocno przycisnął i dokazawszy ostatniej próby, zmalal znów do dawnego swego wzrostu.

— A cóż mistrzu, rzekł, jak ci się zdaje?

— Chodźmy pisać cyrograf.

— Służę wam obohtnie — chociaż okropną zadaliście mi pracę i ciężkom się zziąjał nimem jej dokonał.

To mówiąc oba udali się znowu do szkoły Twardowskiego na Krzemionki.

ROZDZIAŁ IX.

Jako pisali cyrograf.

Tu gdy stanęli zapalił na nowo mistrz świeczkę i wyjął kawał czystego pergaminu z za nadry.

— Cóż to myślisz mistrzu, rzekł widząc to szatan, że cyrograf pisze się jak wasze *acta et munimenta* na prostej ośle lub cielecej skórze, że sprzedaż duszy piekłu może się pomieścić na tej brudnej karcie, na której ku wiekuiestej pamięci, *omnibus et universis* daje się wiedzieć *praesentibus et futuris*, o nadaniach dla mnichów, lub ekscepcjach serc bydłych dla pta-stwa fundatorów, to jest, o ich przeżywającej chciwość dumie i żądzy pochwalenia się? O! nie, nie! ja niosę z sobą wyprawną we Włoszach skórę z grzbietu ludzkiego, z grzbietu wisielca, jest to najtwardszy jaki być może kawał pergaminu, bo i za życia wybity kijmi, i po śmierci dobrze wyschły na szubienicy.

Pojmujesz też mistrzu, mówił dalej bez zastanowienia, że proste *atramentum* do pisania służyć nie może, ani miniaturystów i rubrykantów wymyślone farby. Piekło przyjmuje tylko za formalne cyrografy krwią pisane. Krew występuje w nich symbolicznie, jako zadatek z ciała, gdy myśl zawarta jest jakoby zadatkiem duszy człowieka. Są to dwa końce, którymi po śmierci ciągniemy *ad infernos* duszę i ciało. Pozwolisz sobie zatem nieco krwi z serdecznego palca wycisnąć, dosyć będzie kropelki, a ja już rozrobie. Lecz naprzód pono wypada mówić o redakcji aktu; spuścisz się li na mnie, jako na najlepszego notariusza.

— Nie, będziem każdy punkt roztrząsać.

— Cóż robić z upartym? A więc do dzieła. Sprzedajesz swoją duszę, co chcesz za nią? Mów wszystko

a wszystko i wyraźnie. Traktujmy rzeczy okrągło, nie tak jak żydzi beczkę śledzi targują.

— Chciałbyś we mnie wmówić punkt honoru, rzekł mistrz aby mnie oszukać łatwiej! Nic z tego! Powoli! Naprzód, waruję sobie, że mi dasz wiedzę i mądrość szatańską o wszystkim i do wszystkiego, a to *intuitive* natchnioną, bez mózgu, rosnącą w miarę moich potrzeb.

— Zgoda na to. Lecz wyzuc się z tak wielkiej rzeczy, odpowiedział szatan, nie można, nie opisawszy się jak jej użyjesz. Piekielna mądrość nie może być odwróconą od usług piekła. A zatem przy warunku warunek wzajemny, iż jej nie użyjesz nigdy na dobro, zawsze na szkodę ludzką. Innego użytku mieć nie można z tej mądrości.

— Więc ją w działaniu i skutkach ograniczasz a tem samem....

— Daję co mam, rzekł szatan.

— A ja z tym darem, odpowiedział mistrz, będę miał związane ręce! To być nie może, krzyknął, ja chcę mieć wolną wolę.

— Tego ci nawet szatan nie da, odpowiedział kupiec na duszę. Jest to słowo bez rzeczy, czysta abstrakcja, pojecie do tego fałszywe, choć na oko nie bez zasady. Nie ma woli wolnej nikt na ziemi, i ty jej tak jak rozumiesz mieć nie możesz.

— Więc wszystko za nic.

— Ach! wolno mistrzu, wolno! powoli! Lecz gdybym ci powiedział, że ty możesz robić co chcesz, a piekło tylko czuwać będzie, aby żadna twoja sprawa nie poszła ludziom na dobre?

— Jest to niewola już, gdy ja wiem o tem.

— Może ci się zdawać, że czynisz dobrze.

— Będę już przeczuwał, że z mojej ręki dobro się na złe zamieni.

— Nie będziesz tego czuł w chwili uczynku pochodzącego dajmy z serca. Wolno ci nie mieć złej intencji.

— Ale robisz mnie już winnym samą wiadomością, którą mi dajesz teraz?

— A! cóż chcesz mistrzu! cóś przecie trzeba poświęcić.

Twardowski pomyślał chwilę i rzekł:

— Ktoś tu z nas dwóch się oszuka.

— Przystajesz?

— Zgoda!

I oba się uśmiechali. Stanął tedy punkt pierwszy.

— Dasz mi powtórę, rzekł mistrz, sławę! Bo sława jest *potęgą* na świecie. Sławny człowiek w sławie swej ma siłę nową do działania, sława jest patentem, zapewnieniem, że czynności zostaną przyjęte. Sława wiąże łańcuch do mnie, i czyni mnie jego panem. Pożądana jako marne nasycenie próżnej dumy. Sława jest to także wielkie imię czczonej matki; ale pożądana jako siła, jako narzędzie do działania, jako berło panowania nad umysłami, — sława — naówczas — to rzecz wielka, ważna!

— Dam ci panie wszystkie sławy, jakich chcesz, i na jaki chcesz osobisty użytek, odpowiedział szatan, bodajby na taki, na jaki służy dziecięciu pieśń matki u kołyski.

— Dasz mi potrzebie, władzę szatana, czynić nią rzeczy cudownych, przeciw wyraźnemu trybowi przyrodzenia.

— Da ci to na pozór nie ja, ale twoja mądrość piekielna. Dodam tylko, iż w rzeczach przewracających tryb przyrodzony i nieodmienny, władza nasza nie jest właściwie niczem innym, tylko symulacją władzy. My nie *czynim* cudów, ale umiemy *udawać* cuda i dziwy.

— Mniejsza o to, jakiej są natury cuda wasze. Zgoda?

— Zgoda — rzekł szatan, widzisz że ja wspaniale rzeczy traktuję. A teraz moje propozycje. Oddasz mi najprzód, po najdłuższem życiu, duszę swą całą, i pójdziesz do piekła — pójdą z tobą wszyscy, którzy w ciebie wierzą, których ty sobą zgorszysz.

— Mnie nic do nich, odpowiedział mistrz. Co się tyczy mojej duszy, weźmiesz ją sobie po śmierci, ale ja chcę długiego życia.

— Co to do mnie należy?

— Tyś je gotów skrócić?

— Nie mogę choćbym chciał i dziś ci pewnie głowę urwać po podpisaniu cyrografu. Z tem się nie taje, iżby mi to prawdziwą sprawiło satysfakcją. Jednakże, dodał, ponieważ tak drogo sprzedajesz duszę, słuszną jest, abysmy ją wzięli z ciałem razem, i nim jeszcze z niego wynijdzie, abysmy cię całego i żywego ze świata porwali.

— Żywego? krzyknął mistrz głośno, żywego??

— Tak, żywego, odpowiedział djabeł spokojnie. Inaczej nie ma zgody. Gdybyś leżał na łożu śmiertelnem, przyszliby księża, zaczęliby może nawracać, wmówiliby ci spowiedź, skruczę, pokutę, żal i zaprzanie się własnych uczynków. Na co piekłu ten kłopot. Nam cię dla wszelkiego bezpieczeństwa wziąć potrzeba w go dzinie przedśmiertnej zdrowego i żywego.

— Dobrze, odpowiedział mistrz po chwili namysłu lecz obwarujem miejsce, w którym mnie wziąć będzie cię mogli, a nie gdzie indziej.

— Miejsce? a toż na co?

— Tak a nie inaczej. Trudność za trudność. Urywasz mi kawałek życia, słuszną abym to sobie czem innym nagrodził. Nie weźmiecie mnie inaczej jak w Rzymie.

— A toż co? zakrzyknął szatan, w Rzymie! A toż dla czego? Po cóż waści do Rzymu?

— Bez tego za nic umowa.

— Ale to być nie może.

— Bez tego zrywam wszystko.

— Mistrzu! szydzisz ze mnie.

— Chyba ty szatanie.

— Dla czegoż w Rzymie?

— Chcę ztamtąd pójść do piekła.

— Czyli myślisz że cię świętość miejsca obroni?

— Bynajmniej, lecz żądam nie z mego rodzinnego kraju, nie z moich drogich mi miejsc przejść do piekła, ale z dalekiej krainy, gdzie mnie nikt nie zna, gdzie ten wypadek niepostrzeżony przejdzie.

— Mistrzu! — Toć dość ci będzie wyjść za granicę. Czemuż nie Amsterdam, czemu nie Paryż, ale Rzym naznaczasz?

— Powiedziałem Rzym.

— Dziwnyś mistrzu.

— Upartyś djable.

— Więc inaczej nie chcesz?

— Nie mogę. Tak lub nie.

— Ciężki jesteś, lecz cóż z tobą począć, niech i tak zresztą będzie. Wszakże sam miarkuj co ja pocznę, gdy ty w porze nie zechcesz przybyć do Rzymu, czego między nami mówiąc, bardzo się spodziewać mogę.

— W tem twoje staranie, twoja biegłość i mądrość, rzekł Twardowski, żebyś mnie do tego zmusił, nakłonił, spowodował.

— Niechże i tak będzie, odpowiedział szatan. Dobrze, dobrze — no już po wszystkim i zgoda przecie. Piszmy teraz prędko cyrograf, bo kurý zapieją.

— To powiedziawszy, wziął czart palec Twardowskiego, ukłuł go i umoczył we krwi pióro, poczem głośno wymawiając pisane słowa, cyrograf redagować zaczęł na danych warunkach.

Kiedy Twardowski podpisem swoim zamknął spisana umowę, na ogromnym pergaminowym zwicie, i pieczęć swoją, jak błazen, na czarnym wosku wycisnął; (błazny pieczętowali na czarnym wosku) — kur zapiał po raz pierwszy w oddaleniu, wszystko znikło. Promyk błady wschodzącego dnia uderzył jego oczy znużone, spart się na łokciu, i broniąc się snem, usnął mimowoli.

ROZDZIAŁ X.

Jako Twardowski powrócił do Krakowa i co dzwony mówiły.

Obudził się mistrz; — dzień już był na niebie biały, chłodny poranek. Maciek sierota leżał u nóg jego i w oczy mu patrzył. Zkąd się wziął i kiedy? niewiadomo było mistrzowi. Znużony wypadkami nocnymi podniósł on zwolna powieki i otworzywszy oczy, spotkał w swej głowie przy poruszeniu się pierwszym przebudzającej myśli, przypomnienie tego, co się działo z nim niedawno, uczuł w sobie odmianę znaczną, inaczej świat rozumiał, inaczej go, całkiem niż wczoraj jeszcze pojmował.

Wszystko to objawiło mu się z pierwszym spojrzeniem na świat. Czuł się wprawdzie tym samym, bo pamiętał swoją przeszłość, bo jak roślina trzymał się jeszcze wczoraj wyrosłej łodygi, która ją z ziemią łączy, ale między wczoraj a dzisiaj stała jakaś zaporą, granica oddzielająca dwa życia — oddzielne i do siebie niepodobne. Tamto przeszłe życie, było żywotem pracy, niepewności, udręczeń, a razem nadziei, poczynające się nowe, było zamknięte, odkreślone, odgraniczone, nacechowane dumnym zaufaniem w siebie, upodobaniem w złem i wyrządzaniu złego. Zdumiał się swoim nowym uczuciom i myślom mistrz, bo poznał jeszcze resztą wczorajszych wrażeń, że szatan nie dał mu mądrości jakiej pragnął, lecz zarozumienie i złość swoją. Jednakże głębiej się rostrzasając, ujrzał że wszystko na świecie lepiej, jaśniej i wyraźniej mu się tłumaczyło, objawiało bez tajemnic. Wewnętrznie więc zadowolnił się tem, nie rad uczuciu jakiejś nienawiści ludzi i świata niepojętej, której wprzód w sercu swoim nie miał.

— Cóż tam Maćku, spytał, pocóżeś aż tu przywędrował?

— Bom był niespokojny o ciebie mistrzu.

— Alboż masz jakie obowiązki względem mnie?

— Obowiązki? rzekł sierota z podziwieniem. Jestem ci wdzięczen.

— Cóż to wdzięczność? spytał Twardowski z uśmiechem niedowierzania.

— Jest to mistrzu, co serce obwija całe, jakby wstęgami i ciągnie je ku dobroczyńcy. Uczucie nieopisanie zlania się, pociągu, i chęci poświęcenia.

— Jest to, rzekł mistrz, przedrzeźniając po szatańsku — wędka na nowe łaski.

— O! nie, mistrzu.

— Co słycać w Krakowie?

— Mówią wiele o tobie wszyscy.

— Cóż mówią?

— Dziwią się że na Podgórzu siedzisz, a mieszczeni gadają że z szatanem masz zmywy. Maciek się to mówiąc przeżegnał a Twardowski się rozśmiał.

— A więcej? rzekł.

— Pospolity lud codzień mnie pyta o ciebie, bo wiedzą żeś twój sługa. Przychodzą do twojej izby tłumami na radę i niepokoją mnie badaniem. — Kiedy on wróci? Czy nie mógłby mi co poradzić? Oni myślą, nawet, że ty możesz robić cuda.

— Może mogę w istocie, odpowiedział mistrz dumnie.

— A czemuż nie chcesz pomagać ludziom, kiedy możesz?

— Czemu? Alboż ty wiesz co ja tu robię, a czego nie robię, siedząc w tej pustyni?

— Chodźmy jednak mistrzu lepiej, do miasta. Dawno w twoich ksiązkach myszy tylko czytają, i pył pokrył maszyny i koście i sioje. Czyliżeś z nich mistrzu wszystkie już, jakie było można, wyczerpał mądrości?

— Wszystkie i wszystko! odpowiedział Twardowski, spalić je teraz można bez żalu!

— Czemuż ze swoją mądrością kryjesz się od ludzi?

— Mówiłem ci, że nie wiesz co ja czynię i jak czynię.

Maciek umilkł.

Szli ku Krakowu, a zaledwie zapuścili się w ulicę miasta, posłyszeli odzywające się dzwony kościołów, jęczące głosem płaczliwym.

— Co to mistrzu, spytał Maciek, że dziś tak żałośnie dzwonią, to po czyjejsz duszy.

Nie nie odpowiedział Twardowski, lecz i on słyszał głos dzwonów, a dzwony wyraźnie mu mówiły:

— Biada! biada złej duszy, która się zaparła Boga i wieczności z Nim, dla świata i mądrości światowej. Biada duszy, która się oddała szatanu, bo czeka ją męka długa za krótkie zwycięstwo; bo zgniecie ją wieczność męczarni jak robaka i upokorzy jej dumę, i podepcze jej wielkość; i biada, biada duszy mistrza! bo mistrz wielki dziś umarł dla nieba! i żyć zaczął piekłu!

A dzwonom odpowiadały dzwony, i w całym mieście odzywało się:

— Biada duszy Twardowskiego.

Zdawało się mistrzowi, gdy to słyszał, że wszyscy jak on rozumieją głos dzwonów i szedł dalej śmiejąc się szydersko, gdy jego uwagę zwróciły oznaki uszanowania mieszczan i ludu.

Częste jego wycieczki z miasta na Podgórze, długie tam przebywanie, uczyniły go w oczach tłumu tajemniczą postacią. Mówiono już o nim jak o wielkim czarnoksiężniku i każdy go uważał jako cudo mądrości. Sława jego urosła wysoko, rozplynęła się po ostatnich aż społeczeństwach klasach — pełno jej było wszędzie. Poznał to Twardowski, po wyrazach otaczających go twarzy i serce jego rozradowało się.

— Lecz, rzekł w sobie, jest-li to sprawa szatana, lub skutek innych dalszych przyczyn?

Gdy tak myśli, stara kobieta przystąpiła ku niemu i ucałowała jego rękę, i rzekła pokornie:

— Mądry panie, ulecz moją córkę. Twardowski chciał spróbować czy ma wiedzę szatańską, i szukał w głowie czyli

mógł zgadnąć, kto ona była, ta stara i jej córka. Jakoż po chwili namysłu znalazł w sobie przeczcucie, że one obie mieszkały na Kleparzu, w nędznej chacie komornice, że córka od dzieciństwa była słabą i że ją mogła uleczyć woda z niedalekiego źródła.

— Cóż jest twojej córce? spytał starej roztargniony.

Płaczliwym głosem zaczęła opowiadać stara dziecka swego ulubionego słabość, lecz nim skończyła, mistrz jej przerwał słowy?

— Ona będzie zdrowa. za trzy miesiące, trzy tygodnie, trzy dni, trzy godziny, i trzy kwadranse, ale potrzeba żebyście jej dali pić trzy razy w dzień, po trzy kubki wody, ze źródła które jest o trzy kroki, od trzeciego domu podle was.

Stara wysłuchawszy rady, ucałowała suknię mistrza i śpiesznie poszła nazad, on szedł dalej ulicą.

Spotkał go uczony Włoch, uniwersytetu profesor.

— Witam was, panie.

— Witam i zdrowia życzę, rzekli do siebie po łacinie.

— Gdzież to tak długo bywał Twardowski, mówił Włoch. Cuda teraz prawią o tobie, a są tacy co ci z szatanem schadzki przyznają. Nie piękna to sława dla nauczyciela najwyższej szkoły w Koronie. Jakkolwiek nikt z nas w to nie wierzy, dla czegoż panie, tak się osamotniasz i błąkasz?

— Wiesz, odpowiedział Twardowski, że umysł potrzebuje czasem wypoczynku i osobności, kiedy go złamie praca, lub smutek zwichnie. Jest to djeta dla niego.

— Prawda, prawda, odpowiedział profesor — i mógłbyś na swoją obronę przytoczyć wiele zdań starożytnych pisarzy — wiele przykładów świątobliwych ojców, którzy na pustyni żyli; ale godziź się tak rozbratać ze swemi obowiązkami i pogardzić światem? Wszyscy cię tu uczniu i koledzy żądamy, twoja sława wzdychać każe za tobą, a ty się nawet nie pokazujesz zazdrośny.

— Sława? rzekł Twardowski — alboż ja mam sła-

wę? sława jednego miasta, jednego kraju, to jeszcze nie jest sława, to się nią nazywać nie może. Ona nas więzi i pęta, bo rzucając tę stopę ziemi, znowu jesteśmy obcy światu — znowu pracować musim na drugą sławę.

— Jakiejże, *mehercle*, chcesz sławy, spytał zdumiony profesor.

— Jakiej? takiej zaiste, aby sobą zapełniła cały świat, aby imie moje było w ustach królów i żebraka codzień, co godzina.

— Bóg tylko świat tak zapełnia, — rzekł cicho Włoch.

— I szatan, odpowiedział Twardowski z uśmiechem.

Zdumiał się temi słowy profesor, odstaąpił krok i dodał:

— Jakże to rozumiesz?

— Jak? filozoficznie, doktorze. Najwyższe dobro, i najwyższe zło, mają absolutną sławę i nieograniczony rozgłos. — Sława więc jest dwojakiemu skutku przyczyną. Powiedz mi z jakiej moja mizerna wypływa?

— Z połączenia obudwuch, jeśli chcesz wiedzieć koniecznie, rzekł doktor. Uznają cię mądrym, ale odgłos powszechny przyznaje ci głęboką czarnoksiężką biegłość, która nie od Boga, nie od essencji wszystkiego dobra pochodzi.

— Jakże chcesz, odpowiedział zimno Twardowski, żeby tłum wielkich ludzi sobie tłómaczył — kiedy ich pojąć nie umie?

— Jednakże *vox populi, vox Dei*, rzekł cicho doktor. Czary są rzeczą, której egzystencji pod słońcem zaprzeczyć nie można.

— Zapewne, odpowiedział Twardowski, tak jak jest szatan, tak są czary. A zatem, *vale*.

— *Vale*.

Tylko co sobie dłoń podali i rozeszli się, tłum studentów spotkał Twardowskiego. — Była to młodzież wrząca i cheiwa nauki, odarta lecz wesoła, głodna a rumiana. Na widok mistrza zapał powstał w tłumie, podniosły się w górę czapki i zagrzmiały okrzyki ra-

dośne. Wszyscy wołali:

— Vivat Tvardovius! vivat!

A Twardowski uśmiechał się do nich dumnie i radośnie, bo w tych okrzykach widział swój tryumf największy. Studenci otaczali go i witali z całym zapętem dzieci, które w swoim nauczycielu widzą najwyższą mądrość świata. Do studentów przyłączyli się mieszczanie, powybiegały panie mieszczyki na progi domostw, wyglądali starsi otworzywszy okna, zgromadzili się żydzi, zawsze równie ciekawi jak łakomi (bo jedno z drugiem chodzi). I nim chwila upłynęła, Twardowski ujrzał się otoczony, ściśnięty tłumem, który go witał i niósł go prawie na rękach powtarzając.

— Vivat! vivat Tvardovius!

Maciek sierota przejęty radością, płakał rzewnie i łyzy rękawem ocierał, Twardowski się uśmiechał a dzwony pięćdziesięciu kościołów Krakowa odzywały się ciągle jednostajnie.

— Biada duszy Twardowskiego! biada ci z twoją sławą mistrzu, biada ci z twoją wielkością, boś się zaprzedał szatanu, i dałeś całą wieczność za godzinę życia! Biada ci mistrzu, biada! biada. Lepiej ci było nie rodzić się, albo młodo umrzeć!

A Twardowski słyszał głos dzwonów i rozumiał, psy idąc za nim wyły smutno, ludzie krzyczeli. — W wielkim dochodzącym jego uszu gwarze, więcej było wróżb złej przyszłości, niż głosów zwycięstwa i radości. Zniechęcony, zniecierpliwiony wreszcie stanął i rzekł:

— Milczcie dzwony!

W tejsze chwili pourywały się sznury wszystkim dziadom, dzwonnicy na ziemię poupadali, a dzwony przeciągle jęknawszy zamilkły. Mistrz właśnie wchodził do swego mieszkania, przed którym zatrzymany tłum, wołał jeszcze długo, nim się po ulicach rozptynał.

— Vivat Tvardovius!

ROZDZIAŁ XI.

Jako król przysyłał do mistrza.

Co to jest sława? Jaki jej początek? Taki jak bryły śniegu, która toczy się z gór w dolinę, z początku mała, potem większa coraz, przybierająca do siebie ła-two lgnące śniegi, rosnąca, większa, wielka, ogromna, straszna, leci, nie bryłą, lecz obłokiem, lecz skałą po-tężną, leci, zsuwa się, i zasypuje siola, albo padłszy gdzie w pustą dolinę. — Tak powstaje, tak rośnie, tak się kończy sława. Czasem przychodzi ona czło-wiekowi, równie niespodziana, jak niezasłużona. Kła-dnie się bez niej spać człowiek, a budząc się znajduje ją nad głową, jak złotą koronę, która więcej cięży niż stroi. Częstokroć jedno nic ją daje i jedno nic odbiera. — Bó co to jest nareszcie sława? Czcze wyobrażenie czegoś nieistniejącego, urojenie. Każdy ją dać może, każdy odebrać, a nikt nie wie, jak, z kogo i za czyją się sprawą rodzi.

Sława mistrza Twardowskiego, była jedną z tych, które śpiącemu przychodzą. Po zaprzędaniu duszy dja-błu, znalazł ją rano pod poduszką, i przypadła mu do głowy, jakby do niej była zrobiona umyślnie. Zdało mu się, że się jej był dawno spodziewał, że jej cze-kał, że ją sobie miał od początku przyrzeczoną, nic się jej nie dziwił, i przyjął ją jak dług prosty od świata, wypłacony w porze.

A jednak była to sława potężna, bez zaprzeczają-cych, niedowiarków, bez zazdrośnych: bo mistrza Twardowskiego uważano za tak dalece wyższego od wszystkich, że nikt nie śmiał o nim wątpić, nikt nie pomyślał zazdrościć. Całe miasto z uszanowaniem schy-łało przed nim głowę; krążyły najcudowniejsze wieści,

o jego lekach nadzwyczajnych, o radach i sposobach jakie podawał, o zaklęciach, które było w mocy jego czynić. Połowę przynajmniej owych dziwacznych odgłosów zrodziło samo ich powtarzanie. Lud zalegał drzwi mistrza, możni przysyłali swoje złożone kolasy i obсыypywali pieniędzmi Twardowskiego za każde odwiedzenie chorego, za przepisane leki, za jedno częstokroć słówko. Jemu zaś tak się szczęśliwie wiodło, że każdy krok powiększał jeszcze sławę, za każdym następowały coraz dziwniejsze wieści, każdy dzień miał swoje cuda i wkrótce wszechmocności mistrza nie zakreślano już granic.

A on był rad, bo dumie jego i żądzy sławy stało się zadość aż po brzegi, pełen był tego, czego pożądał, nasycił się czem pragnął. Lecz czy był przeto szczęśliwym, że był tak sławnym? Tego nikt nie wie.

Jednego wieczora, a było tu już późno, Twardowski siedział nad wielką księgą, w której nie jednak nie czytał, przed nim paliła się lampa, Maciek spał w kącie izby oparty na rękę. Cichość do koła była wielka, nie przerywana, bo miasto właśnie sposobiąc się do snu, mówiło pacierze. Przed mistrzem na wielkim stole okrytym suknem grubem, stały i leżały różne przedmioty, których byś w owym czasie, gdzieindziej jak u uczonego z profesji nie ujrzał. Była tam trupia głowa, szczęki i żebra tak zwanych wielkoludów, wypchany krokodyl u połapu, w kącie stała mumja egipska spowinięta w hieroglifami zapisane pieluchy, do snu dłuższego niżli było życie, w słojach mokły potwory różne, cały szkielet człowieka bielał na czarnem tle ściany, nietoperz rozpięty był nad oknem. Niegdyś mistrz w tych szczątkach umarłej a niegdyś ożywionej natury, szukał jej tajemnic, badał i śledził ubiegłego życia, dziś był to dla niego sprzęt nieużyteczny i wzgardzony, porzucony jak niedogryzek owocu, z którego wszystką słodycz wyszano.

Nagle zdało się mistrzowi że słyszy szmer jakiś, jakby cichą rozmowę, uśmiechając się przymrużył oczy, i wśród uroczystego milczenia, uszu jego doszły wy-

rażnie następne reszcie świata niezrozumiałe wyrazy:

Skielet. O co za nuda stać u tego szaleńca jakby na straży, a stać bez użytku, bo on nawet nigdy mi kości, jak dawny mój pan, nie liczy. Myszy tylko ogryzają mi u nóg palce. Lepiej by było w ziemi! bo tam się spi spokojnie noce bezsenne w życiu, a tu stojąc tak wyprostowanym, ani zasnąć nie można. Jeszcze mi poczepiali, jakby na uragowisko, te sprężynki, w miejscu muszkułów, twardo spinające kości, które za życia, tak swobodnie pod skórą i ciałem się obracały. Bodajbyś kiedyś, mędrco, jak ja służył ludziom za postrach lub uragowisko. Po cóż mnie nieużytecznego tu trzymasz?

Ręka wielkoluda. Milczałbyś wróblu, kiedy ja się nie skarzę. A mnież tu dobrze? mnie com był przecie za życia, czemś więcej niż ty robaku mizerny? A mnież to miło słuchać, jak te łyse głowy, włożywszy na nosy po dwie pary szkieł, wyrokuja o mnie, zem nie był człowiekiem, lecz jakimś innym podlejszem stworzeniem? A mnież to dobrze! mnie olbrzymowi przedpotopowemu! mnie, com był tak wielki.

Skielet. Byłeś tylko wielką kością i większym głupcem!

Poczwara w słoju. Aj! aj! I jaż cierpię! i ja cierpię, choć niby to nie mam i nie miałem duszy i nie widziałem świata! Ale miłoż to tego świata, któren obiecywali mi tak pięknym, widzieć tylko kawałeczek ze słoika, na brudną izbę i łysą głowę.

Mumja. Cóż ten obrzydły motłoch tam papie? Co to za jedni? Ludzież to czy niewolnicy? Cicho! Ja jestem królowa!

Wszyscy. Cha! cha! cha! Królowa? ty jesteś królowa? ty jesteś królowa? Witaj królowo —?

Mumja. Nie widzicież na tych zwitkach napisu! Ja jestem wielka królowa, nie wiem tylko co za szalony waży się krajać mnie po kawałku i dawać chorony za lekarstwo! Biada mu skoro się zechcę zemścić!

Wszyscy. O! biada mu sławna królowo, wielka królowo, która się mimowoli udzielasz tak wszystkim

kogo kolki zakolą, komu głowa zacieży, lub wątroba przegnie!!

Mumja. Nie było w grobach naszych młodszej i piękniejszej nademnie. —

Wszyscy. O! wielka królowa! O śliczna królowa! Co za szkoda że cię tak nadpiłował nasz stary! Znać żeś królowa bez dworu, bo się sama chwalisz.

Niedoperz. Czy już noc? Ach! jak mi się chce zlecieć z tego okna, do którego mnie przybito! Po co? za co? co ciekawego w moich skrzydłach. Jestem prosta mysz ze skrzydłami, jak mój ojciec, jak moja matka, jak cała moja rodzina. Jak tam braciszkom i siostrzyczkom rokosznie być musi na świecie! Ile to tam światełek błyszczy po oknach, jakie chłodne i wygodne gniazda po lochach i piwnicach. O! czemuż ulecieć nie mogę!

Krokodyl. Wisieć i zawsze wisieć w tej zimnej dziurze jakiejś. Przecież się to kiedyś skończy, jak ten łysy stróż zdechnie! Zjadłbym go, gdybym mógł.

Trupia głowa. Dobry wieczór braciszkuwie — dobry wieczór! Jakżeście spali przez dzień. Już się nasza lampa obudziła i świeci w oczy, czas wstawać. Czas wstawać! Idę na przechadzkę.

I podnosiła się klapiąc zębami, gdy Twardowski stuknął ręką o stół, Maciek się obudził, a gwar uciął.

U drzwi też w tej samej chwili dał się słyszeć szelest jakiś i drgnęła klamka, potem uchyliły się drzwi, ktoś wszedł. Twardowski spojrzął tylko i bez podziwienia, bez ciekawości, uśmiechnął się z lekka, ale tak rokosznie, jakby mu się raj otwierał. A jednak przycho-dzień, niczem się takim nie odznaczał, coby wielki jakiś wypadek wróżyć mogło. Stała tylko u proga postać jakaś ciemną opończą osłonią, w kapeluszu z czarnem piórem na głowie, w ciemnych butach z długimi nosami, a z pod jej okrycia wyglądała po-chew szpady. Na piersiach błyskał łańcuch złoty z me-daljonem podobnym. Twarz przybyłego młoda jeszcze ale już wybladła, oczy przyćmione i zagasłe, usta ści-

śnięte, nos ostry i wążki spuszczał się aż na wąs czarny, z pod którego mało co widać warg było, a brodę osłaniała w pół ogolona, paskiem czarnym tylko spiwająca, zachodnim obyczajem zarastająca hiszpanka.

Nieznajomy zdjął kapelusz i postąpił.

— Czekałem na was, rzekł Twardowski powstając z krzesła.

— Na mnie? na mnie? zakrzyknął zdziwiony przychodzień.

— Tak, na was, odpowiedział Twardowski, niech was to nie dziwi — ja wiem często wprzód, co się ma, co się musi stać i jak.

— Waszmość mylicie się, odpowiedział zimno przybyły, jakby go poufałość mistrza nieco obraziła i przybrał minę na wpół pogardliwą, pół szyderską.

— Ja się nigdy nie mylę, rzekł na to spokojnie Twardowski. Czy chcecie, żebym wam powiedział kto jesteście?

— Słucham ciekawie, przedko zawołał nieznajomy, jakby był pewny że się mistrz omyli. Lecz dodał, nim zaczniesz rozmowę, niech wprzód ten człowiek — i wskazał na Maćka.

— To mój sługa, odpowiedział mistrz i skinął na sierotę, który się natychmiast małemi drzwiczkami wysunął.

— Teraz słucham.

— Waszmość jesteście dworzanimem Jego Królewskiej Mości, nieprawdaż?

— Tak jest — mogliście mnie kiedy widzieć ze dworem.

— Przysłani jesteście od króla? Król pan nasz przed kilką miesiącami, stracił ukochaną żonę — czy tak jest? Mam-li mówić dalej?

— Nie potrzeba! zawołał nieznajomy zdziwiony zbliżając się, straciwszy zupełnie wyraz dumy i szyderstwa, pomieszany i niespokojny widocznie. — Ależ na Boga, zkądże to wiecie wszystko? Ja jak najtajemniej mówiłem o tem z panem miłościwym. Było nas tylko dwóch w komnacie, zaręczyć mogę, że nikt by się nie

odważył słuchać pode drzwiami! Król Jego Mość szeptał mi do ucha! Nikt na świecie nie mógł wiedzieć prócz nas dwóch, o co rzecz idzie.

— Ja wiem trzeci, odpowiedział mistrz zwycięsko, bo ja wiem wiele rzeczy ukrytych i zgaduję przyszłość.

Dworzanin muskał się ręką po głowie zafrasowany, a drugą łańcuch na piersiach wiszący podnosił.

— Nie potrzebuję więc, rzekł, pytać was czyli to zrobić możecie, czego król po was żąda?

— Owszem, jest wątpliwość, czyli to uczynię, ale nie ma wątpliwości, że mógłbym zrobić.

— Jakto? waszmość mogąc, nie uczyniłbyś tego dla króla?

Twardowski się uśmiechnął.

— Ja nie mam króla, rzekł. — Są przyczyny rozliczne, dla których potrzebuję się namyślić.

— Naprzykład?

— Król jest utulony nieco w żalu po stracie drogiej żony — ale pragnie ją jednak, albo ducha jej przynajmniej, widzieć raz jeszcze. Chce żebym go wywołał, nieprawdaż?

— Tak jest.

— Cóż będzie, gdy król znowu ukochaną ujrzy Barbarę? Otworzą się zgojone rany — zechce widząc ją, poskoczyć ku niej, uścisnąć, przemówić. — Zaleje się łzami nowemi, nową rozpaczą, kto wie czy nie więcej dozna boleści niż roskoszy? Bo dzień za dniem unosi wspomnienie, tak jak grabarze wielką górę taczkują, ale gdy się wspomnienie widzeniem odżywi, będzie nowy ciężar na duszy, jaśniej obraz jej stanie przed oczyma, a żal podwójny serce uciśnie. — Jest to jakby chciał doświadczyć po raz drugi ciężkiej boleści, której doznał przy jej zgonie. Nie prawdaż?

— Bydź to wszystko może, mistrzu, odpowiedział dworzanin pokorniejszy co chwila, i wy to zapewne lepiej wiecie, niż ja, co i jak być może i być musi.

— Ja — ja się tylko tak domyślam i rachuję, rzekł Twardowski. Są rzeczy których nie wiem i nie widzę, bo nie chcę ich widzieć i umyślnie oczy odwracam.

Przyszłość Króla Jego Mości jest właśnie jedyną z tych przedmiotów, których nie chcę i nie śmiem badać.

— Cóż więc będzie?

— Prawdziwie, w tej chwili odpowiedzieć wam nie mogę, potrzebuję namysłu, trzy dni przynajmniej. Po trzech dniach, w tejże co dziś porze, przyjdź do mnie.

— Pozwolisz jednak mistrzu, abym nie odkładając dziś ci powiedział, co król ofiaruje ci, jeśli się podejmiesz, czego żąda.

— Ciekawy jestem bardzo, mimowolnie zawołał mistrz, zaiste nie domyślam się nagrody.

— Król Jego Mość nie sądzi aby wam to potrafił nagrodzić, chce tylko zostawić pamiątkę, a tą będzie łańcuch złoty wagi trzechset florenów, bogaty pierścień i szuba z przednich soboli, jedna z tych, które ostatni poseł cara przywiózł w podarunku, i których piękności wszyscy się na ówczas dziwili. Powtarzam, król nie myśli was nagradzać, lecz pragnie tylko uczoić.

— Dziękuję za łaskę dla mnie ubogiego służebnika, i miłość królewską — odrzekł Twardowski, przyjdźcie jakem wam mówił, za trzy dni.

To mówiąc skłonił głowę, a dworzania wzajemnie oddawszy mu ukłon, wyszedł i drzwi za sobą zatrzasnął. Mistrz sam zadumany pozostał, lecz zaledwie stąpienie po wschodach ucichło, jęło coś szeleścić w kącie izby i djabeł ziewając szeroko wysunął się z pod wielkiego stosu ksiąg.

— Dobry wieczór!

— Właściem miał cię wołać.

— Właściem się tego spodziewałem, i nie czekając zawołania stawie się.

— Więc wiesz zapewne o sprawie która mnie w tej chwili zajmuje.

— Nie spełna, odpowiedział djabeł obojętnie.

— Król nasz, rzekł Twardowski po chwili namysłu do szatana, postradał najukochańszą małżonkę Barbarę (1551). Była mu ona bardzo drogą; bo nie na królowę ją brał, lecz na żonę, i mimo cnót i wdzięków pierw-

szej, ta druga, która otwartym bojem pozyskała, pamięć nawet owej niedawno w Wilnie zmarłej zagasiła. Nieutulony w żalu, ciało jej sam prowadził do Wilna, wizerunek jej ciągle na sercu nosi, pamiątki jej łyzy mu dotąd wyciskają. Dowiedział się o mnie i pospolita wieść przynajęca mi władzę wywoływania duchów, podała mu myśl użycia mnie do pokazania mu raz jeszcze z za grobu przywołanego cienia ukochanej Barbary. Tylko co wyszedł posłaniec królewski, który przyniósł mi jego żądanie. Powiedz mi, możeż to być abym mu ducha pokazał? Czy można go wywołać?

— Prawdziwie nie wiem co się stało z duszą królowej, rzekł djabeł, jeśli poleciała tam wysoko, może być ciężko zwabić ją na ziemię.

— Ale nie niepodobna?

— Tego jeszcze nie wiem. Są zaklęcia na dobre duchy; na złe łatwiejsze jeszcze, i o tych wiesz od dawna. Znajdziesz je w swojej głowie.

— Wiem o tem, odpowiedział mistrz głęboko zamysłając się.

— W każdym razie, mówił dalej szatan, staraj się takim sposobem ukazać mu tego ducha, jeśli go wywoływać będziesz, aby król nie pokochał więcej umarłej, niżli kochał żywą, owszem ażeby, jeżeli można, przestraszył się lub zraził. Pamięć i miłość ku zmarłym czyni żywego umarłym z nimi, a wówczas nie grzeszą. Wielu, mówię to z doświadczenia, utrzymało się na drodze cnoty, jedynie przez pamięć zmarłych.

Nam zaś o to chodzi, aby wszyscy grzeszyli, bo na grzechu świat stoi, i wywróciłby się gdyby nie było tego *malum necessarium*. Ja mianowicie obstaję przy tem i nie bez przyczyny. Powtóre, powinienes się starać, ażeby król ducha nie dotknął i nie zbliżał się doń, ani nawet zagadał, bo na ówczas jeśli mu duch odpowie, król umrze, a ciebie rozświetlą, powieszają lub spalą na stosie jak czarnoksiężnika. Zresztą rób sobie co chcesz. Jeden tylko kładę warunek z mojej strony, muszę i ja bowiem coś na tem skorzystać.

Odmówić ci potrzeba wszelkiej nagrody. Zastyszałem coś o łańcuchu, pierścieniu i sobolej szubie, ja ci to od siebie dam jeśli chcesz, a ty natomiast obierz inną nagrodę. Proś tylko aby król oswobodził i utaskawił pierwszego złoczyńcę, którego nazajutrz na placu u ratusza będą mieli wieszać. Tobie to doda sławy bezinteresowności, ten człowiek jest wielką nadzieją piekieł, oswobodzenie jego powiększy liczbę ofiar nam należnych. Trzeba o sobie pamiętać, *primo mihi*. Ja za to będę ci pomocnym w tej sprawie. Pomnij więc na dwie rzeczy; dla siebie, aby król w czasie ukazania się ducha nie ruszył się i nie przemówił, dla mnie, aby złoczyńcę uwolnił. Teraz zaś bądź zdrów, bo mi śpieszno w inną stronę. *Vale et me ama*.

To mówiąc djabeł zniknął w stosie ksiąg, a Twardowski powstawszy, rzucił się na twarde postanie, w kącie izby przygotowane, nie gasząc lampy, która błyskała mdłym czerwonym płomykiem i oświecała dziwaczne kształty mumij, krokodyla, kościotrupa i poczwara pozamykanych w słojach. Po kilku chwilach mistrz usnął. Naówczas zbliżył się czatujący już Maciek sierota na palcach i przykrył go kołdrą, bo chłód był w izbie, sam zaś położył się w nogach i machinalnie przeżegnawszy się, mruczając coś pod nosem, zdmuchnąwszy lampę, usnął.

ROZDZIAŁ. XII.

Jako Twardowski wywoływał ducha królowej Barbary.

Gdy uszło trzy dni do namysłu przez mistrza zastawione, znowu w porze wieczornej zadzwieczał skobeł żelazny u drzwi i powoli wsunął się ten sam dworzanin królewski, (był to M h, poufały Augusta ulubieniec). Twardowski czekał na niego, powstał nim jeszcze drzwi otworzył i wyszedł kilka kroków naprzeciw przybywającego.

— Jakaż mam zanieść odpowiedź Jego Królewskiej Mości? po zwykłych przywitaniach spytał dworzanin.

— Rzecz jest do uczynienia podobna, odpowiedział po chwili mistrz, ale są warunki z mojej strony, bez których nikt i nie do dopełnienia żądania królewskiego mnie nie zmusi.

— Bodajby były najcięższe, wiem że Król Jego Mość zgodzi się pewnie na nie, jeśli są tylko umiarkowane, i bez ujmy godności pańskiej. — Król tak bardzo kochał żonę, i tak mocno pragnie, choćby cień jej widzieć raz jeszcze!

— Pierwszy mój warunek, rzekł Twardowski, aby Jego Królewska Mość, gdy cień nieboszczki królowej przywołany zostanie, nie przemówił do niego ani słowa, ani się pożądał zbliżyć, ani poruszył, ani krzyknął. Powtóre, aby nikt obrzędowi wywołania ducha nie był przytomny, prócz nas trzech, króla, mnie i waszmości. Potrzebie, aby mi żadnej nie ofiarowano nagrody, a natomiast Król Jego Mość na prośbę moją ułaskawi tylko pierwszego zbrodniarza, którego w mieście na gardle karać będą.

— Mogę zaręczyć, odpowiedział dworzanin z podziwieniem wysłuchawszy końca, iż Król Jego Mość

przyjmuje podane warunki. Lecz co się tyczy nagrody, waszność unosisz się niepotrzebnie; mógłbyś przy tej okoliczności wielce skorzystać. Rozmyśl się mistrzu, nie chcesz nic więcej?

— Nic więcej, odpowiedział Twardowski z lekkim szyderskim uśmiechem.

Oba zamilkli. Dworzanin z podziwienia, Twardowski zwycięzko się nasycając okazaną tak wielką bezinteresownością. Nareszcie przybyły zakreślił się i wyszedł, śpiesząc z wiadomością do zamku. Nie upłynęło dwie godziny, gdy nazad powrócił znowu do mistrza z żądaniem, aby natychmiast udał się za nim, i uwiadomieniem, że król na wszystko się zgadza. Twardowski już był gotów, przewidział on, że niecierpliwą August nie odłoży nawet do przyszłej nocy. Wezwany, pozbiierał wszystko czego potrzebował do obrzędu wywołania ducha, wziął laskę, zwitek pergaminu, księgę, pudełko jakieś pod pachę, i uwinąwszy się szeroką opończą, rozkazał Maćkowi pozostać, a sam wyszedł z dworzaninem.

Noc już była, i ciemność na ulicach miasta, noc jesienna czarna, bo chmury wisiały między niebem i ziemią, a wiatr który je poganiał leniwo, szumiał tylko w górze, nie dając się czuć po ulicach osłoniętych wysokimi kamienicami. Pusto było wszędzie, psy tylko pod wrotami gospód wyły, a niekiedy z gołarni, z winiarni, z szynkowni mimo zakazu ukazywały się błyszczące przez okienice światełka gasnące, dochodziły przytłumione pijanych głosy. Czasem na wazkiej gdzie uliczka zabrzęczała po ziemi wlokąc szablą, psy obudzone naszczekiwały, ginęły ich głosy w oddaleniu, i znów tylko wiatr szumiał. Przed idącymi mało co widać było drogi, wskazywały ją tylko z obu stron ulicy bielejące na tle czarnem nocy, wysokie kamienie o spiczastych czolach. Trzeba było zaiste dobrze znać Kraków, aby nie zbłądzić. Lecz mistrzowi i dworzaninowi wszystko wskazywało drogę, umieli rozoznać ją po kształcie domostw niewyraźnie się rysującym przed nimi, po murach kościołów i dzwonnice, po zało-

mach i zakrętach.

W milczeniu szli oni ku zamkowi. Dworzanin miał z sobą klucz od furty pobocznej, którą się wchodziło na odosobniony podwórzec, z podwórca na galerje wsparte na wysmukłych gotyckich słupach, a niemi do królewskich komnat przez korytarze trafić było można. Gdy tam weszli, nikogo nie było w dziedzińcu, nie ukazało im się nawet żadne światło, i w jednym tylko oknie zamku migąła lampa przez czerwoną zasłonę. Po wschodach dostali się na galerję, a z niej weszli w korytarz, którym dworzanin do wielkiej białej izby mistrza wprowadził, torując mu drogę. Komnata do której weszli, nie odznaczała się ozdobami, była czysta lecz skromna, do koła otaczały ją dębowe ławy do muru przyparte, na środku stał wielki stół dębowy, na krzyżowych nogach, w kącie piec nie mały także. Okna z błon szklanych w ołów oprawnych, brzęczały zatrzęsłszy się, gdy drzwi otwarli. Strop przerznięty był belkami grubymi, misternie wyrabianymi. Na podłodze kamiennej i chłodnej spali pokotem komornicy i jurgielnicy królewscy obwinieci w opończe, ubrani; niektórzy rozciągnieni na skórah, inni na garści pod-rzuconej słomy. Przy każdym widać było szablę w gotowości i rozpuszczony pas.

Na stole paliły się dwie świece żółte, kręcone, w ogromnych mosiężnych lichtarzach, nad misami wody. U drzwi oparty o ścianę czatował snem znużony komornik królewski, uzbrojony zupełnie. Gdy się podwoje skrzypiąc otwarły, kilka głów podniosło się z poscieli, i kilka głosów razem spytało.

— Kto tam? Kto idzie?

— Tsy! odpowiedział wchodzący dworzanin — swój. Poznano go zaraz po głosie, chcieli coś gadać dworzanie, ale on położył palec na ustach i wskazał wchodzącego Twardowskiego. Niektórzy ciekawsi oparli się na łokciach, zaczęli mu się przypatrywać, z tą miną szyderską właściwą dworakom królów i wielkich panów, pytali się jeden drugiego, ale nikt z nich mistrza nie znał. Szeptali tylko gubiąc się w domysłach,

a po chwili zamilkli. Tymczasem dworzanin który Twardowskiego wprowadził, dał mu znak iż pójdzie do króla, wskazując ławę i prosząc go, aby tymczasem spoczął.

Potem podniósł zasłonę u drzwi przeciwnych głównemu wejściu, zapuszczoną, i cicho na palcach skradając się, zniknął. Słychać było za nim szelest, gwar daleki, potem znów zaczęły się zbliżać kroki ku drzwiom, i dworzanin podniosłszy zasłonę, dał znak Twardowskiemu, aby wszedł za nim. Nim zaś go wprowadził wewnątrz komnat, po cichu wydał rozkazy komornikom spoczywającym na podłodze, którzy wnet na nogi wstawać poczęli. Potem wpuściwszy Twardowskiego, rzucił zasłonę na drzwi, i wprowadził go przez dwie izby ciemne zupełnie, do trzeciej, w której ukazywało się światło.

Była to niewielka komnata sklepiona, o jednym oknie. Podłogę jej okrywał kobierzec perski, w głębi stało łóżko za zasłoną karmazynową, stoliki marmurem pokryte po kątach, a na nich księgi w biały pergamin oprawne, i rozrzucone papierów zwoje. U łóżka na podstavku okrytym sukniem, stały srebrne naczynia z wodą i winem, miednica i nalewka złociste, u ściany była ława pokryta kobiercem, a wśród komnaty dwa z wysokimi poręczami krzesła karmazynowym aksamitem i złotą frendzlą obite. W kącie paliła się lampa bladym płomieniem. Niedaleko łóżka stał mężczyzna czarno ubrany, średniego wzrostu i wieku, nie zbyt otyły, blade, z oczyma które okrywały nabrzmiałe powieki, brodę miał długą dzielącą się na dwoje, wąs i włosy podstrzyżone nieco. Ten, gdy jeszcze mistrz był na prog, z półpiechem się odezwał:

— Nie przybliżaj się do mnie waszmość! z daleka, z daleka!

Twardowski został niedaleko drzwi, gdzie go te słowa znalazły, jakimś niepojętem uczuciem wstrzymanym i ośmielonym. Dworzanin który go wprowadził, zatrzymał się przy nim także.

Po chwili, w czasie której zamieniono z obu stron

nieśmiałe wejrzenie, król, on to był bowiem, ozwał się niepewnym i pomieszaniem głosem :

— Waszmość podjąłeś się ukazać mi ducha nieboszczki najdroższej żony mojej, Królowej Jej Mości Barbary.

— Tak, Najjaśniejszy i Miłościwy Panie, odpowiedział Twardowski nabierając odwagi, obowiązałem się do tego, jednakże z warunkami pewnemi.

— No — jakież są tam warunki waszmości? rzekł widocznie zniecierpliwiony August.

— Naprzód, aby Wasza Królewska Mość słowa nie przemówił, ani się rzucił, ani śmiał dotknąć ducha, ani się nawet ku niemu posunął.

— Jakto? ani słowa? ani znaku czucia? odpowiedział August. To wiele! lecz zaiste kiedy tego potrzeba.

— To dla własnego bezpieczeństwa osoby Waszej Królewskiej Mości. Nagrody nie żądam żadnej, tylko ulaskawienia dla pierwszego zbrodniarza, którego na gardle dnia następnego karać będą mieli.

— Słyszałem o tym warunku — rzekł król. A na cóż to waszmości jego głowa?

— Ja nie wiem nawet kto on jest, odpowiedział mistrz.

Król pomyślał chwilę, a potem dodał :

— Proszę waszmości nie używać zaklęć złych i przez kościół zakazanych, a potępiających duszę, ale raczej z białej magii, sposoby godziwemi i modlitwą ducha Królowej Jej Mości wywołać.

Mistrz nic na to nie rzekł, i tylko głową potrząsnął.

— Trzeba nam do tego większej izby — rzekł po chwili.

Na znak królewski, dworzanin poskoczył na lewo, i drzwi ukryte zasłoną rozwarł, wszedł przez nie naprzód Twardowski, po nim lampę wzięwszy dworzanin, a za nimi król, i zasłona zapadła. Przez dwoje mniejszych izb dostali się do wielkiej komnaty, a raczej sali. Była ona całkiem czarnem suknem wybita, miała troje okien w jednej ścianie, i dwoje drzwi na prze-

strzał, zawieszonych sukmem jak inne. Na środku był stół sukmem do dołu okryty, krucyfiks na ścianie, łąwy do koła, komin także szeroki i wielki, w którym się jeszcze świeciły resztki dogorywającego żaru. Po cichu weszli tutaj, a król usiadł w krześle opodał, błady i milczący. Twardowski nic nie mówiąc rozłożył na stole czarnoksiężkie przybory, obejrzał się w koło, i kazał dworzaniowi krucyfiks wiszący na ścianie zasłonić. Król nic nie rzekł na to, jakby nie widział lub nie uważał. Stał wreszcie mistrz w przeciwnym końcu sali od króla, i już mając rozpocząć zaklęcia, rzekł do Augusta:

— Proszę Waszej Królewskiej Mości o szczyptę włosów nieboszczki Królowej Jej Mości.

August szukał pośpiesznie na piersiach drżącemi rękoma, i wyjąwszy książeczkę czarną zapiętą kłamrą złotą, dał z niej trochę włosów dworzaniowi, który je Twardowskiemu zaniósł.

— Racz Wasza Królewska Mość pamiętać, abys się nie poruszył, ani zagadał, ani odzywał, gdy się duch okaże, bo inaczej i Waszej Królewskiej Mości i mnie się co złego wydarzyć może.

Na to król głową skinął, nie mogąc słowa przemówić, znać było po nim że drżał mocno, a usiłował pokryć pomieszczenie swoje; oczy jego bardziej się jeszcze powiekami osłoniły, ciężki oddech dobywał się z piersi, twarz zbladła i żyły nabrzmiały na skroniach, ręce konwulsyjnie ściśnięte ścięły się jedna w drugiej.

Jeszcze tylko chwila, i mistrz już począł wywoływać ducha, paląc włosy królowej u lampy. Wszczął się od nich dym ciężki po komnacie, i jakby mgła na nią padła. Potem zajaśniał żywiej płomień lampy, drzwi przeciwne tym któremi weszli, otwarły się z trzaskiem i wsunęła się postać, jakby nie tykając ziemi. Była to piękna kobieta, niewielkiego wzrostu, lecz kształtnej kibici, smutnej twarzy, niebieskich oczu, jasnych włosów, w białą tylko osłonioną szatę, z pod której przeglądał strój bogaty. — Czy jej zwrócone były w stronę, w której znajdował się August. Szła

powolnym krokiem, i co chwila zatrzymywała się, to znów sunęła cicho i nieznacznie, jak skazówka po zegarze.

August gdy się drzwi otwały, zamknął był oczy z przestrachu, lecz wkrótce je otworzył i oniemiał ujrzawszy Barbarę, wlepił w nią wzrok boleści i rozpacz, a westchnienie ciężkie, ogromne spadło z jego piersi. Cień szedł dalej powolnie, powolnie, ciągle patrząc na Augusta tym wzrokiem, którego siłę król nigdy oprzeć się nie mógł za życia, a z wyrazem smutku, z wyrazem uczucia nieopisanego. Zapomniał o wszystkim August, gdy się ich oczy spotkały, i nie myśląc nawet o niebezpieczeństwie, poskoczył z krzesła, wołając boleśnie.

— To ty — to ty! Barbaro!

Lecz w tej chwili, gdy król się rzucił ku cieniowi żony, zadrżała postać wywołanej, i okropnie się w jednej chwili zmieniła. Zamiast owej Barbary Wileńskiego zamku, młodej i świeżej, ukazał się na wpół wyschły trup, którego ciało pod zbutwiałą suknią padało w kawałki, przykry grobowy zaduch i zgnilizna dała się czuć po sali. Król cofnął się, krzyknął przeraźliwie i upadł na krzesło, a lampa zagasła.

Dworzaniń łamiąc ręce i klnąc czarnoksiężnika, wybiegli do komorników królewskich po światło; zbiegli się oni natychmiast, podniesiono bladego i jakby nieżywego króla, i zaniesiono na łożo. Wnet wezwany Schneeberger, lekarz, pośpieszył z ratunkiem. Twardowskiego zaś próżno szukano po zamku, zniknął niewiedzieć jak.

Nazajutrz dziwne wieści chodziły o wypadku zeszłej nocy, mówiono że Twardowski wywołał cienia zmarłej królowej, i o mało tem króla nie zabił. August zaś ułaskawił skazanego na danie gardła zbójcę, którego już pod szubienicę i pilata ratuszowego wiedziono.

ROZDZIAŁ XIII.

Jako djabeł tłumaczył Twardowskiemu co uczynił.

Gdy się to dzieje w zamku, Twardowski powrócił do izby i zbudził Maćka, a sam padł na łożo znużony, chcąc się snem pokrzepić, gdy z kąta ukazał się szatan.

— A cóż, rzekł, król słowa nie strzymał?

— Pochwycił się do cienia, odpowiedział pomieszany Twardowski.

— I cóż się stało?

— Cień królowej w strasznego trupa się przemienił.

— Bardzo dobrze, odpowiedział szatan.

— Jakto dobrze? rzekł Twardowski, przecieżeś tego nie chciał i ostrzegąłeś?

— Trzeba było, odpowiedział djabeł, trzeba było króla ostrzedz aby się nie ruszał i nie porywał. Był to jeden sposób znęcenia go do przeciwnej czynności. Waszmość wiesz, że zakazane rzeczy obudzają ciekawość gwałtowną, niepohamowaną, która wiedzie do przestąpienia zakazu i zapomnienia przestrogi. Mnie zaś potrzeba tego było, aby za zbliżeniem się króla, ukazał mu się cień w właściwej swej postaci obrzydliwego trupa. Tym sposobem widzenie ostatnie, nie gorętszą miłość, lecz odrazę po sobie zostawi. Król rzuci się ku innym niewiastom, pocznie szukać rozrywki, aby zapomnieć żony, a tego ja chciałem. Dobranoc mistrzu.

Twardowski zamyślony, nic na to nie odpowiedział.

— Jestem, rzekł w duchu do siebie, tylko machiną djabelską i nic więcej. Byłóż po co wiązać się z szatanem??

ROZDZIAŁ XIV.

Jako Twardowski wyjechał z Krakowa.

Mistrz siedział ciągle zamysłony, a nie nie przerywało jego dumania, w którym jak człek nie mający celu i nadziei, który dosięgnął wszystkiego czego pragnął, a nie miał czego zapragnąć więcej, Twardowski przebiegał swoje życie przeszłe, sądząc je i głęboko się nad niem zastanawiając. Z tego punktu w którym dziś zostawał, jak sen wydawała mu się tylko młodość, nie podobna prawie do wiary. Cuda jej i dziwy zjawiały się w jego pamięci jak mary, których nie mógł spełnia za rzeczywiste przyjąć. — Wśród takiego to dumania o przeszłości, wpadł nagle do komnaty mistrza dworzanin królewski i rzucając ciężki łańcuch złoty, zawołał:

— Mistrzu, król rozkazuje ci, abys wyjechał z miasta. Oto od niego pamiątka i podarek.

— Pamiątka? spytał poważnie, z uśmiechem nieco wzgardliwym Twardowski. Jeśli tylko pamiątka, przyjmuję, jeśli się ma zwać nagrodą — nie chcę jej. — Lecz cóż mi tam prawnisz o wyjeździe?

— Taka jest wola królewska, życzenie jego, abys waszność wyjechał niezwłocznie. Cały dwór, całe miasto, wie o wypadku tej nocy. Ciekawi dworscy podstuchali u drzwi, i słyszeli gdy król zawołał: Barbaro! widziano cienie jakies blakające się po krużgankach, w sali został swąd trupi nieznośny. Posadzają króla o czary, ciebie o oczarowanie go umyślne i naprowadzenie na to, aby się za pomocą djabła (tu splunął i przeżegnał się dworzanin) znosił z umarłymi. Do jutra rana wieści te bardziej się jeszcze, głośniej daleko rozejdą po mieście, na co masz tego czekać? Jedź, nie po-

kazuj się tu i dozwól ludziom zapomnieć przynajmniej o tem. Jeśli ci nie chodzi o siebie, szanuj w tem wolę króla i jego spokojność. Gdy cię tu nie ujrzą, pogłoski ustana, łatwo będzie zadać fałsz rozsiewającym je, nikt im nie da wiary.

Twardowski potrząsając głową odpowiedział:

— Myślisz-że waszmość, iż mnie jak pierwszą z brzegu bezzębną babę, co lata na łopacie, można do woli wezwać, a potem wypchnąć za drzwi kolaniem? Alboż ten co wyzwiał ducha ze świata lepszego, nie potrafi człowieka wywołać z tego świata na inny?

Dworzanin trząść się począł i blednąć.

— Ależ mistrzu, odpowiedział prędko — za cóż byś się miał mścić i co cię mogło w tem obrazić? Idzie tu, o twoją spokojność, o twoją sławę.

— O moją!! Ho! moja się niczego nie lęka, głupiemu ludowi zamknę gębę gdy zechcę, i oczy byle czem zamydłę — bądź spokojny.

— Nie sądz tak waszmość, odrzekł jeszcze pośpieszniej dworzanim. Nie sam głupi lud, jak go zowiesz, będzie na czary około króla odbyte wrzeszczał. Dowiedzą się łatwo panowie radni i senatorowie, a co gorsza biskupi, wezmą cię jak którego z tych księży, których prześladowają i proces ci wytoczą, a proces taki może na stos poprowadzić. Przypomnijcie świeże przykłady.

— Któż mnie weźmie i kto mnie będzie sądził? spytał Twardowski.

— Duchowna władza. Król nawet obronić cię od niej nie potrafi. Wiesz co się dzieje po kraju z ludźmi, już nie o czary, lecz tylko o zmianę wiary, o sprzyjanie nowinkom Wittembergskim posadzonymi.

— Alboż ja, myślisz waszmość, dam się wziąć i dam się sądzić?

— Nie — i właśnie dla tego mówię waszmości od króla, wyjeżdżajcie rychło z Krakowa.

Twardowski się zamyslił.

— Król mi to rozkazuje?

— Król ci to rozkazuje, ja radzę.

— Król rozkazuje! rozkazuje! powtarzał uśmiechając się Twardowski, czyż nie większą ja mam władzę od niego, kiedy on mojej potrzebował pomocy?

Dworzanin umilkł, niespokojny, a po chwili napróżno stanowczej czekając odpowiedzi, rzekł:

— Z resztą mistrzu, rób jak chcesz i bądź zdrów. To mówiąc śpiesznie przelekniony się oddalił.

Twardowski powstał i chodził, rzucił łańcuch o ziemię i podeptał, potem podjął go i włożył na szyję, jakby się rozmyślił, a nakoniec zawołał Maćka.

— Maćku, rzekł, siadaj na koń i jedź ze mną.

— Mistrzu, zkadże konie!

— Jak to? nie ma koni?

— Nie było ich nigdy u nas.

Mistrz poszedł, wziął zgasty węgiel z komina i ująwszy go wymalował nim parę koni na białej ścianie izby. Potem rozkazawszy jeszcze raz Maćkowi siadać na mniejszego podjezdka, sam na większego nogę założył i wyjechał oknem na ulicę, zakławszy wprzód próg izby, aby nikt do niej wejść nie mógł w czasie jego niebytności. Malowane konie właśnie się wysuwały oknem, gdy Kraków się budził, a pracownicy ludzie zaczęli już pokazywać się na ulicach. Postrzeżono je i rano całe miasto wiedziało, że Twardowski wyjechał równo ze świtem na malowanym koniu.

ROZDZIAŁ XV.

Jako Twardowski dawał różne dobre rady ludziom.

Nie było jeszcze zupełnie ciemno, gdy Twardowski ze swóim towarzyszem, na wpół drogi porzuciwszy konie zmęczone, a posiadawszy na koguty złapane gdzieś we wsi na śmiecisku, przybliżali się do miasteczka Bydgoszczy. Jak tylko mistrz ujrzał opasujący je wał, bramy i bielejące domostwa, powitał je skinieniem ręki, i natychmiast wszystkie koguty i kury całego miasteczka i wszystkie sowy z dzwonnicy poddaszów i wszystkie niedoperze z piwnic i sklepów, odezwały się witając go nawzajem. Powstał ztąd tak wielki hałas, że zagłuszył dzwony, bijące na Anioł Pański. Zaczem wjechali przez bramę w miasto na kogutach siedząc, a lud zgromadzony na przyźbach domów, szedł za nimi i zbierał się tłumnie, wołając na dziwowisko niesłychane. — W towarzystwie tłumu, który ich otaczał, dostali się do gospody w rynku pod znakiem Zgorzelca, tu zsiadli ze swych rumaków, i udali się do izby gościnnej. Pod oknami gospody była już niemal cała ludność wołając, krzycząc, szemrząc i rozmaicie zgadując jacy to podróżni na kogutach przyjechali. Twardowski, aby się jej pozbyć, wysłał Macka z oznajmieniem ludowi zgromadzonemu, iż przybył wielki mistrz, czar-noksiężnik i nekroman, który czas jakiś tu zabawi, a tymczasem potrzebując spoczynku, zaleca wszystkim, aby się po domach rozeszli. Maciek wyszedłszy na ganek gospody, powiedział jak umiał, to co mu kazano; lud tymczasem wołał i wykrzykiwał:

- Niech nam jakie dziwo pokaże!
- Niech mnie uleczy!
- Niech mi da pieniędzy!
- Niech mego męża wskrzesi!

— Niech moją żonę naprawi!

Tysiąc głosów podobnych słychać było, a Maciek nie mogąc ich wyrozumieć, uszy zatknął i uciekł do gospody. Lud widząc, że się czarnoksiężnik nie pokazuje, powoli gwarząc rozszedł się przecie. Całą jednak noc rozprawiano o nowo przybyłym, radzono się o co go miano nazajutrz pytać, o co prosić, każdy wybierał się do niego i każdy znalazł z czem i po co. — Niepokojna to była noc w Bydgoszczy i mało kto zasnął przed świtem, niespokojność opanowała wszystkich i nikomu skleić powiek nie dawała.

Nazajutrz rano gospoda była pełna i drzwi alkierza, w którym był mistrz, obleżone, ale Twardowski nie w humorze radzenia, wyszedł kominem i usiadł na dachu, odetchnąć nieco świeżem powietrzem. I tu go, przecież spostrzeżono, poczęto wołać ze wszystkich stron, wzywać, prosić i krzyczeć, aż ubłagany narazcie zszedł do izby i kazał drzwi wszystkim potrzebującym rady otworzyć.

Naówczas to trzeba widzieć było, jak się tam ludzie cislali, co to była za wrzawa, jaki ścisk. Starzy i młodzi, wszystkich stanów, wiar i obojej płci, przychodzili jedni w nadziei pomocy, drudzy dla ciekawości.

Twardowski przypuszczał ich do siebie z kolei.

A naprzód wcisnęła się stara baba bez zębów, o kiju, z różańcem w rękę, książką pod pachą, z pręgą fioletową na nosie, od uścisku częstego okularów zostawioną, oszarpaną i obłoconą. Ta wdowiego czepca podnosząc nieco, odezwała się chropawym głosem:

— Kląniam się dobrodziejowi memu milemu.

— Mójże ty mileńki, kiedy ty taki mądry, dajże ty mnie męża. Już trzy roki jak mój nieboszczyk pochowany za miastem, a dotąd nikt się do mnie nie swata. Taki to teraz świat zepsuty, że tylko do młodych lgną wszyscy.

Mistrz jej odpowiedział.

— Wykop co masz w głowach łóżka zakopanego i wysyp w kufer stary, a pójdziesz za mąż prędko. Le-

dwie tych słów domówił, kopnęła się staruszka, a za nią w ślady czeladnik nieboszczyka jej męża białoskór- nika, i nim zaszli do domu, już się jej w drodze, oświadczył, a nazajutrz się zaraz pobrali.

Nastąpił młody, urodziwy chłopak, temu nie dał mówić mistrz, ale sam go wprzód zagadnął.

— Tobie pewnie potrzeba serdecznego lekarstwa?

— Aj prawda, odpowiedział chłopak kręcąc w reku czapkę i wzdychając, już rok i kwartał temu, jak kocham pannę Małgorzatę od Malchera złotnika, a tak jest twardego serca, że jej niczem poruszyć nie mogę.

Twardowski wziął go na sekret i rzekł mu po cichu:

— Weźmiesz zabitego niedoperza, tego o północy na młodym miesiącu zaniesiesz do mrówiska na smętarz i zostawisz go zakopawszy w niem, aż dopóki go mrówie tak nie obje, że tylko kości zostaną gołe. Te kości wykopiesz o północy, a będzie między niemi dwie, tobie potrzebne, jedna zagięta jak kluczka, druga jak widełki. Jeśli zechcesz, by cię dziewczyna kochała, przyciągnij ją kluczka, jeśli cię napastować będzie, odpechnij widełkami natrętną.

To rzekłszy odprawił go mistrz, a czeladnik pobiegł uradowany, i od niego to potem, ta wielka tajemnica rozeszła się po całym świecie, tak że doszła aż do naszych czasów.

Nastąpił gruby i otyły mieszczanin, który skrobiąc się w głowę i ściskając kapułę pod pachą, przestępował z nogi na nogę, szukać się zdawał języka w gębie, bo stał i milczał, próżno widocznie siłąc się coś powiedzieć. Biedził się i pocił, połą i rękawem czoło ocierał i chrząkał.

— Cóż to waści? zapytał go Twardowski.

— Ciężka bieda, odpowiedział wreszcie pokaszłując mieszczanin, od jakiegoś czasu oczarowali mnie. Mam słą wiedźmę sąsiadkę, która do nas coś ma i urzekła nam gospodarstwo, dobytek, wszystko, tak że licho wie po jakiemu się u mnie dzieje.

— To fraszka, odpowiedział mu mistrz. Zakop tylko

pod progiem domu piórko *in quo sit argentum vivum inclusum*, dodaj do tego garść bylicy i wyżlinu, a w chacie powieś S. Jańskie ziele, upewniam że żadne *maleficia* cię nie dotkną.

Uklonił się potrójnym nawrotem do ziemi mieszcza-
nin i spiesznie począł cisnąć nazad przez tłum do do-
mu; miejsce jego zajął średniego wieku człowiek, który
po łacinie mistrza pozdrowił.

— Cóż to waszmości potrzeba, zapytał go Twardo-
wski, że mojej rady zasięgasz, będąc jak widzę sam
lekarzem ?

— Wielkie zło, *celeberrime et sapientissime*. Ktoś
mnie oczarował, czuję po sobie te czary, które mi odej-
mują siły, zdrowie, spokojność, a na to nie mam le-
karstwa w mojej aptece. Próżno wartuję dzieła mą-
drych ojców nauki naszej, żadnej tam na to rady nie
znalazłem. Muszę dodać że ten urok wrzuciła na mnie
kobieta, której kochać nie chciałem i nie chcę, a którą
teraz kochać muszę skutkiem czarów.

— Łatwo ten urok rozpedzić, uśmiechając się, rzekł
Twardowski, mam na to pewną i niezawodną receptę.*)

„Si quis ad aliquam vel aliquem, nimis amandum,
maleficiatus fuerit, tum stercus recens illius quem vel
quam diligit, ponatur mane in ocrea vel calceo dextro
amantis et calciet se, et quamprimum faetorem sen-
tiet, maleficium solvetur“.

Zapisz to sobie panie doktorze. —

A doktor spiesznie dobył papieru, i umieściwszy
na nim cudowną receptę skwapliwie, uklonił się nisko
i wyszedł.

Wyrwała się natychmiast jakaś jejmość w potar-
ganym czepcu na głowie, rozczochrana, czerwona jak
księżyc gdy wschodzi, oszarpana, obłocona.

— Aj dobrodzieju ratuj! zawołała: Ty co wszystko
umiesz i wszystko możesz, zrób ty między nami zgo-
dę. Już rok jak żyjemy z sobą by tłuczek z makutą,
a kłóćim się, szarpiem, swarzym, bijem noc i dzień,

*) Wyjęte do słowa z dawnego rękopismu.

aż sąsiadom nawet spokoju nie dajemy. Mnie się zdaje że to on winien, a on powiada że to ja. On, nawet to bardzo dobre człeczysko i jać niczego kobieta, a jak się nas dwoje zejdzie, niech Bóg nie dowodzi co się dzieje! A gdybyś ty mógł dobrodzieju na to poradzić, już bym ja tobie dała, czegoś ty tylko żywie chciał, bo dali Bóg, dłużej w tym ogniu wytrwać nie można, choć by człek był aniołem świętym.

— Można dać temu radę, odpowiedział mistrz poważnie, postarajcie się tylko o samca wronę i wronę samicę. Jejmość noś zawsze serce samicy, twój mąż samca, nie porzucając nigdy, a zobaczycie, że zgoda do domu powróci.

— Pewnież to mój dobrodzieju?

— Najpewniej. Idź z Panem Bogiem. To mówiąc Twardowski uśmiechał się szydersko, tuląc swój śmiech w rękawie sukni.

— Tylko pamiętaj, dodał, przez pierwszy tydzień choćby cię mąż łajał, bił, choćby się jak nad tobą znęcał, zawsze mu ustępuj.

— Ustępować? he? zawołała kobieta, a jakże to długo?

— Tylko tydzień.

— Tydzień, trochę to długo, ale już ja na jegomościęcine słowo sprobuję.

Druga za tą kobietą cisnęła się do stołka, na którym mistrz siedział i płakała.

— Jegomościunni, powiedziała płaczliwie ocierając się fartuchem, mężysko mnie zwodzi, ma jakieś tajemnice przedemną, kryje się ze wszystkiem, nigdy mi nie powiedziec nie chce, ażem wyschła z tego żalu, że mi tak nie ufa.

— Jejmość jesteś ciekawa? zapytał mistrz.

— Jużciż, kto nie ciekawy, dobrodzieju? odpowiedziała kobieta, chyba kto nie żywy? A prócz tego, nie lepiejzeby to było, żebym ja wiedziała o wszystkiem, co się w domu dzieje? Tać to do mnie należy!

Twardowski jął się uśmiechać znowu, tak jak się prawie zawsze uśmiechał, kiedy komu radę dawał. —

Zapewne, pomyślał w duchu, lepiej będzie z tem djabłu. I szepnął jej do ucha:

— Rozplataj żywego dudka i połknij jeszcze drgające serce jego, a o wszystkim, o czem tylko wiedzieć zażadasz, będziesz natychmiast wiedziała.

Kobieta złapawszy radę w ucho, jak oparzona poleciała do domu.

— U mnie, rzekł podsuwając się stary jakiś mieszczanin eksburmistrz, w siwym kontuszu i w szafrańowym brudnym żupanie, u mnie, wielce mościwy panie — djabli w domu królują — ktoś ich nasłał. Jak tylko przyjdzie noc, zaczynają tańce, skoki po górze, koło domu, śpiewy, chichy! A ja tylko leżę w łóżku i spać nie mogę, a modłę się ciągle i boję się okrutnym sposobem, aż do białego dnia; bo o białym dniu wszystko to się kończy. Drzwi od ulicy wielkim stukiem trzasną, a potem już cicho, djabli swoje wytańcowali.

— Waszmość macie młodą żonę?

— A juściż młodą, odpowiedział burmistrz, alboż co?

— Nic to, nic, rzekł Twardowski potrząsając głową. Jeśli to czary tylko, zakadźcie trupim zębem po izbach, a ustaną; jeśli nie czary, to nie ma innej rady, tylko żeby albo twoja była stara, albo żebyś ty był młody.

— No! ale kiedy to być nie może, rzekł burmistrz wytrzeszczając oczy.

— Dla czego nie może?

— Możeż to być, żebym ja był młody, kiedy już się zestarzałem? zapytał znowu.

— Ściśle biorąc, mogłoby to być.

— Ale to pewnie bardzo trudne, kosztowne; — musi to być operacja jak nad robieniem złota?

— Niezmiernie trudna, odpowiedział Twardowski, nie myśl nawet o tem. Ja sędzę że u ciebie w domu pewnie czary tak stukają i hałasują, zakadź tylko trupim zębem i ruszaj z Bogiem.

Burmistrz milcząc i skrobiąc się w głowę odszedł.

— A zatęm, odezwał się Twardowski, dość już tych

rad, wy zaś reszta ruszajcie także do domu, nie mam więcej czasu.

Mimo tego wezwania, ciżba zalegająca izbę nie ruszała się, a mnóstwo naciskało jeszcze. Próżno mistrz rozkazywał i groził, każdy innym głosem, każdy innym zaklęciem, prosił, błagał, aby choć jemu jednemu poradził, dopomógł. Mięszały się głosy dziwaczne, wyciągały ręce, posuwały najrozmaitsze postacie; aż widząc że temu końca nie będzie, mistrz obejrzał się i spotkawszy w kącie starą wytartą miotłę, zawołał do niej, aby wszystkich precz wypędziła i drzwi za nimi zaryglowała.

Posłuszna, wnet ruszyła się, stanęła wystrzępiona już staruszka, i nuż w lewo i w prawo kręcić się i zamiatać gości na wielką kupę, ze wszystkich stron zgartując. Widząc że nie żarty, wynieśli się wszyscy popychając i tłocząc za drzwi, które miotła zatrzasnąwszy za nimi, stanęła w pośrodku izby, czekając dalszych rozkazów. Twardowski krzyknął na nią:

— Miotła w ką! .

I miotła poszła w ką! posłuszna.

Ledwie ten porządek uczyniony został, zaczął ktoś silnie i natarczywie do drzwi pukać, powtarzając coraz mocniej, coraz gęściej razy, od których aż się spróchniałe drzwi gospody kołysały.

— Kto tam? spytał mistrz.

— Przez miłosierdzie puście mnie, rzekł głos z za drzwi zebrzący, jestem biedny szlachcic, potrzebuję koniecznie rady mistrza — umrę tu podedrzwiami, jeśli mnie nie puście. Dawno już szukam kogo, coby mi dopomógł, muszę teraz koniecznie widzieć sławnego mistrza.

— Idź do licha i nie wrzeszcz mi nad głową, odpowiedział Twardowski.

— Nie pójdę, nie pójdę, będę tu piszczał pod progiem do jutra, nie odstąpię krokiem, muszę koniecznie widzieć się z mistrzem.

I jak jał tak jęczeć i modlić i prosić, tak nareszcie Twardowski dał się pokonać, i rozkazał go puścić

miotłe, ale tylko jego samego z tem, aby stała nawarcie u drzwi i wszystkim przystępu bronila do nich, nie zważając na stan, wiek, płeć, prośby, łkania, płacze i zaklęcia.

Wszedł zatem do izby bladej, chudy i wysoki mężczyzna, kłaniający się aż do stóp mistrza i płacziwym odzywający się głosem. Miał on na sobie wyszarzaną kapotę nie mającą już żadnego koloru, buty wykrzywione, czerwone od rosy i błota, dziurawe, czapkę pozszywaną z kawałków. Resztki koszuli wyglądające z pod kołnierza kapoty, świeciły gęstymi dziurami. Chcąc wzbudzić litość, nie można się było ubrać wymowniej.

— Cóż to waszmości tak dolega? spytał mistrz mierząc go oczyma.

— Nędza, mój królu, odpowiedział szlachcic, oddałbym duszę djabłu, żebym tylko mógł pobogacieć, tak mi już dokuczyła nędza, tak jestem biedny, tak — Ot, patrz tylko królu na łachmany.

I potrzasał łataną kapotą.

— Prawisz androny i chcesz mnie oszukać, rzekł mistrz, bajki to, bo masz pieniądze.

Szlachcic poczerwieniał, zbladł, wyprostował się, zakaszlał i zawołał innym głosem wcale.

— Ja?

— Wiedz, rzekł mistrz, iż przedemną nie ma nic skrytego, mógłbym ci nawet powiedzieć co do szeląga, ile kop groszy leży w twojej skrzyni w alkierzu pod czarną podartą oponczą.

Szlachcic potarł ręką po czole, ruszył ramionami, splunął, a gęstymi kroplami pot zaczął mu spływać po twarzy.

— Nie jesteś ubogi, jak mówisz — ciągnął dalej mistrz, jesteś tylko chciwy, nigdy ci nie dosyć tego co masz, chciałbyś więcej i więcej, a niczego nie używasz.

— No, to prawda, odpowiedział szlachcic po chwili namysłu, na co się mam przed waszmością zapierać, ale czyż to już tak bardzo co złego? A nie masz spo-

sobu, żebym się stał bardzo a bardzo bogatym?

— Są sposoby, rzekł mistrz, ale nie łatwe.

— Trudne! ba! odpowiedział szlachcic, ależ chcącemu nic trudnego.

— *Nihil difficile amanti*, odezwał się Twardowski, parodjując dziwacznym głosem znajome słowa Cicerona.

— Prawda? chciałabyś za pieniądze oddać djabłu duszę?

— A na co mnie ta dusza — rzekł prędko szlachcic, byle ją tylko chciał wzięść a mnie dać pieniędzy, z całego serca.

— Próbujże, ja ci dam sposób. Znajdź sobie gdzie w lesie chatę pustą i niezamieszkałą oddawna, do którejby od wsi i dworów pianie kurów nie doszło. W tej chacie zamknij się sam jeden, z jedną tylko świecą, na całą noc. Weź z sobą dziewięć sztuk srebrnych pieniędzy. Te pieniądze licz przez całą noc, bez ustanku, od jednego do dziewięciu i od dziewięciu nazad do jednego. Jeśli się nie omylisz ani razu do świtu, szatan ci da wielkie skarby, jeśli się tylko raz zająkniesz, albo zapomnisz, albo dwa razy jedno powtórzysz, czeka cię wielka bieda. Chcesz, próbuj tego sposobu, ruszaj sobie.

Szlachcic wysłuchawszy uważnie całej nauki, rozpytawszy się jeszcze o szczegóły, skłonił się do stóp mistrza i wyszedł. Twardowski śmiał się do rozpuku siadając po wyjściu jego na stolku.

— Dobrze im wszystkim poradziłem, rzekł sam do siebie, lecz nie ze wszystkiego djabeł będzie kontent, tak mi się zdaje — tak mi się zdaje!

Tylko co te słowa powtarzał, aż ci i djabeł wylazł z zapiecka, uśmiechający się wesoło, i jak się zdawało w najlepszym humorze.

— Zdrowia waszmości wielki mistrzu, rzekł, słuchałem tu z za pieca cały czas twoich rad zdrowych i winszuję sobie, żem tak skutecznego pomocnika znalazł, tak gorliwego o sprawę piekieł i niezmordowanego gorliwca. Za wszystko ci dziękuję, niczego nie wymając.

— Cóż to jest? chyba ci się co przestyszało? rzekł mistrz. Ja twoim pomocnikiem? chyba mimowoli lub omyłką! W czymże? powiedz mi proszę?

— We wszystkich swych radach, odpowiedział djabel, miałeś oczewiście na widoku dobro piekielne i nasz interes. Doskonale umiesz naprowadzać ludzi na zgubę, pozornie najzdrowszemi radami, lub niewinnemi tylko na oko.

— Ale ja o tem wcale nie myślałem, zawołał mistrz, świadczę się — świadczę się sobą samym djabie, cóżem tu w interesie piekła uczynił? ty tylko chcesz mię dreczyć lub żartować ze mnie.

— No! no! mów, jak ci się podoba, a tymczasem chcesz się przekonać że to prawda, co ja mówię?

— Najchętniej.

— Idź więc za mną i patrzaj na skutek, jaki twoje rady uczynią.

ROZDZIAŁ XVI.

Jako szatan ukazuje Twardowskiemu, na co wyszły jego rady.

Djabeł poniósł naprzód Twardowskiego do domostwa owej starej baby, która go prosiła o męża, a której mistrz doradził wykopać, co się znajdowało w głowach jej kózka. Czeladnik wprawdzie poślubił ją sobie zaraz, ale bił okropnie (widzieli to i inne rzeczy jeszcze, gdyż szatan ukazywał przyszłość nawet Twardowskiemu), była z nim najnieszcześliwsza, przeklinała swoje głupstwo i radę mistrza.

— A wiesz mistrzu, na czem się to skończy? zapytał go djabeł.

— Nie widzę i nie domyślam się, bicie kończy się na sińcach i nic więcej.

— Skończy się to na zbrodni, rzekł djabeł; będziesz li chciał widzieć, a zobaczysz; już do tego niedaleko. Stara szuka ziela, które ugotuje młodemu małżonkowi *certissime*.

Szli potem dalej do domku owego chłopaka, któremu Twardowski doradził, jakim sposobem miał pozyskać miłość u Magdy dziewczki Malchera złotnika. Chłopak sposobił się już do wesela, Magda za nim szalala.

— Ach! rzekł na to Twardowski — i tu znowu chciałbyś widzieć co złego?

— I tu, odpowiedział djabeł, widzę nieochybne źniwo dla piekła. Oto ci się pobiorą, ale ich miłość wymożona czarami, rozleci się prędko po ślubie, — natenczas pani młoda pomyśli o innym niegdyś jej miłym czeladniku złotnika, i będzie z tego 1 *Adulterium*, 2 *Homicidium*, po 3 *Damnatio*. Tego wszystkiego nie

byłoby pewnie, gdyby ja czeladnik ów poślubił; żyliby w zgodzie i pokoju bez grzechu, kochali by się jak się kochali; i tu więc musi ci mistrzu piekło podziękować.

Twardowski się zadumał.

— To są, rzekł tylko, paradoksalne przypuszczenia.

— To są matematyczne prawdy; odpowiedział djabeł. I szli znowu do domu mieszczanina, któremu Twardowski dał *antidotum* przeciw czarom. A djabeł ukazał mistrzowi, jak stara sekutnica, która wprzód czarowała tylko, widząc się niesilną w czarach, któremi nie więcej uczynić nie mogła, gotowała sąsiadowi napój, nie czarodziejski już, ale skuteczny, bo śmiertelny — truciznę.

— I tu patrz na czem się kończy, rzekł szatan, wybornie! Gdyby tylko czarowała, mniej by było złego, ale dałeś mu lekarstwo przeciw czarom.

Potem ciągnęli się dalej ku mieszkaniu doktora, któremu mistrz dał radę, jak się pozbyć miłości, narzuconej mu gwałtem przez dziewczynę zakochaną w nim. Doktor już był użył przepisanego lekarstwa, i dobrze mu poskutkowało, lecz dziewczka z rozpaczem rzuciła się w złe życie, związała z pannami fraucymeru S. Marka, aż paręście niedaleka była i zamtuza.

— Gdybys był tej tak skutecznej rady doktorowi nie podał, rzekł djabeł, on by był rad nie rad słuchając narzuconej mu passji ożenił się z dziewczyną; byliby żyli z nią cnotliwie; tak zaś, choć jedno z nich powędruje do piekła. A zatem i tu dobry skutek twoja rada przyniosła. Dziękuję za nią uniżenie.

— Czekaj, czekaj, odezwał się mistrz, jest gdzieś mieszczka, której dałem sposób pewny na ustalenie zgody w małżeństwie, bo się stadło nie godziło; obaczym czy i to na złe wyszło.

— Obaczym, oto tu właśnie, rzekł djabeł i wskazał z uśmiechem na domek niedaleko stojący.

Widać w nim było dużą izbę białą, w której jednym końcu ziewała kobieta, w drugim spał mężczyzna. — To jest owa zgoda, dodał, on pije, a ona go okrada — ustępują sobie i przebacząją wzajemnie.

Zgodni są, ale zgoda wiedzie ich oboje do niechybnej zguby. Póki się kłócili i pilnowali, on nie pił i musiał pracować, ona nie kradła i nie stroiła się w trzęsidlą, łańcuszki, czółka, kształciki i tym podobne, wiodące wiadomo do czego cacka.

— To już nie moja w tem wszystkiem wina, ale tylko twoja sprawa djable, rzekł Twardowski.

— Nie ja im dałem zgodę, odpowiedział ruszając ramionami Mefistofilis.

— Jednej jeszcze kobiecie, dodał mistrz po chwili, podałem sposób dowiedzenia się tajemnic mężowskich, ale o tem domyślałem się, że nie na dobre wyjść musiało.

— Właśnie wyrokiem sądów wójtowskich męża jej skazanego na gardło, kat w rynku ścina teraz, rzekł djabeł spokojnie; tajemnicą jego było, że z dwoma towarzyszami Gdańszczanami kuł fałszywą monetę. Dowiedziawszy się o tem żona, wygadała dobrej przyjaciółce, pod wielkiem zakłębieniem, sąsiadka przyjaciółki powiedziała żonie ławnika, ławnika żona złotnika żonie, żona złotnika burmistrzowej, a burmistrzowa szarą godziną mężowi, mąż wójtowi, i tak *finis bonus* pod szubienicą, to ci się gracko mistrzu udało.

— A tenże burmistrz, któremu zaleciłem kadzić trupim zębem od czarów?

— Próżno kadził i okurzał. Dla tego żona całe nocy z gaszkami się szamoce, kiedy mążysko sądząc że to djabli tańcują po górze, nie śmie końca nosa z pod kołdry wyściubić. Myśli on już znowu prosić cię żebyś mu dał młodość, jak przyrzekłeś podobno, albo żebyś jego żonie starość przyspieszył. Ale o tem potem.

— Chciałbym zrobić na nim próbkę wielkiego mego eliksiru i sposobu przywracania młodości, dodał mistrz.

— Jak chcesz, odpowiedział djabeł, wola twoja, skutki tylko nasze, i zawsze dla nas równie pomyslnie będą.

— Zrobiliście mnie więc niewolnikiem swoim i kmięciem? oburzając się przerwał mu mistrz.

— Wszak robisz co ci się tylko podoba!

— Ale skutki moich czynności wieżecie i obracacie na swoje.

— A któż na świecie kieruje zupełnie skutkami swoich czynności, rzekł djabeł pokornie. Działanie i skutek, jest to zupełnie celowanie i strzał. Niech jak chce strzelec celuje, przecież często strzała celu chybi, i głowy za nią nie dać.

Umilkł mistrz, bo nie było co na to odpowiedzieć.

— A szlachcic, rzekł po chwili, któremu doradziłem sposób pozyskania ogromnych skarbów, ten już bez wątpienia w siódme piekło postąpić musiał?

— Hm! o tym nieco wątpię, odpowiedział djabeł, trzeba będzie popracować.

— Zawsze mnie na przekorę! On! zawołał mistrz, żartujesz zapewne francie, ale żart niewczesny. Wiem ja z pewnością, że szlachcic ten jest na waszym szerokim gościńcu piekielnym.

— Tak się to wam zdaje, odpowiedział bies, bo wy rzeczy widzicie z ich pozorów, ale nas to więcej obchodzi, głębiej bierzemy. Jest coś w jego duszy, czego broni.

— Cóż takiego przecie? zda się że w niej nic nie ma prócz chciwości a łakomstwa.

— Większe jeszcze od chciwości, tchórzostwo, rzekł djabeł. Lecż dobrze żeś mi go przypomniał mistrzu, pójdziemy go śledzić; trzeba nad nim mieć oko.

Już była noc właśnie i szatan obejrzawszy się do kół, pociągnąwszy nosem na cztery wiatry, przewąchał zaraz, dokąd się szlachcic udał, dla przyprowadzenia do skutku tajemniczego obrzędu, przepisanego mu przez Twardowskiego. — W stronie północno-zachodniej był w lesie opuszczony domek, niegdyś gajowego, któren z całą rodziną swoją w ostatnim zginął morze, przyniosłszy zaraze z miasteczka, do którego po mąkę chodził. Stała buda pustkami od tego czasu, nikt w niej nie mieszkał, wiatery i burze rozchwiały ją potroszę, ale się jeszcze trzymała. Położona ona była opodal od gościńca, wśród głuchego lasu, ścieżka nawet wiedząca do niej niegdyś, zarosła pokraywami, łopuchy, i puszc-

czającą tam i sam leszczyną. Do koła osłaniała ją gąszcz, pokrywająca dzikiemi bzy, kaliną i tarnem dawny gajowego ogródek, i przypierała aż pod pochylone ściany. Płoty opadły już były i spruchniały na ziemi, w chacie ni drzwi ni okien, piec się nawet rozwalił i gruz z niego zasypały większą izbę. Druga tylko mniejsza miała jeszcze zabite spruchniałemi dylami okienko, i w tej się szlachcic usadowił. Znalazłszy w kącie rozbitą starą beczkę, położył na niej kawał okiennicy czy drzwi, przylepił ogarek świeczki na desce i od zmierzchu liczył wciąż swoich dziewięć szelągów. Gdy djabeł z Twardowskim przybyli pod chatę gajowego, ujrzeli go pochylonego nad robotą, z oczyma iskrzącemi, czołem spotniałem, drżącego, wybladłego, ledwie żywego, a jednak liczącego pieniądze tam i na odwrót bez ustanku.

Szum tylko gałęzi, i krzyk sów odzywających się zdaleka, przerywały głuchą ciszę puszczy. Najśmielszy byłby mimowolnie dostał śmiertelnych dreszczów w takim położeniu; dziwił się Twardowski, że szlachcic, którego djabeł nazywał tchórzem, mógł choć cały drżący, wysiedzieć nad swemi dziewięcią szelągami; a tak niemi zdawał się zajęty, że oka nawet nie zmrużył, ciała nie wyprostował na chwilę, nie obejrzał się, nie odetchnął, włosów spadających mu na oczy nie odgarnął — liczył tylko a liczył.

— A! rzekł djabeł, trzeba mu trochę przeszkodzić.

To mówiąc wlaź do izdebki kominem, siadł w kącie, i zaczął hukać głosem sowim.

Wzdrygnął się szlachcic, ale liczył dalej. Potem bies zakrzyczał piskliwie, jak niemowlę u piersi. Szlachcic stał się błydy jak chusta, ale swego nie porzucił. Nagle oderwał szatan kawał dachu nad głową jego, i rzucił go w ogródek z hałasem i chrzęstem wielkiem; na stół i wkoło szlachcica posypały się śmiecia, słoma, drzazgi, szlachcic nie wstał i nie ruszył się, ale z jego twarzy widać było, że prawie konał od strachu. Uspokoił się potem szatan chwilkę i

znowu z kąta, udając śmiech starej baby, wtórował nim jednostajnemu szlachcica powtarzaniu.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć. Dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Po chwilce znowu djabeł, machnąwszy ogonem, świeczkę zagasił; chciwiec choć pociemku liczył jednak ciągle bez omyłki.

— Uparte stworzenie! rzekł bies zapalając znów świecę, umiera ze strachu, a swoje robi. Zapalenie nagle świeczki nie uczyniło zmiany na liczącym, który ani się zająknął, kontynuował.

Prawie tak całą noc przyglądając się szlachcicowi przepędzili; szatan dnia czekał, na samem już prawie świtaniu wymęczony dobrze chciwca, podszedł pod okno i szyderskiego dobywając głosu, rzekł nagle:

— Hej! panie Bartłomieju, a nie omyliliście się czasem, aby raz?

— Nie! odpowiedział szlachcic.

— Liczcież dalej! rzekł szatan.

Szlachcic do pieniędzy znowu, ale zapłonął cały, bo był już zapomniat na czem stanął; przewracał szelągki po desce, bełkocząc niezrozumiale, język mu się mieszał, drżał coraz gorzej ze strachu, widząc przepadającą całonocną pracę i lękając się zapowiedzianej srogiej jakiejś kary. Powtarzał z wlepionemi w ziemię oczyma.

— Dwa, trzy, cztery; ale nie śmiało, urywano.

Djabeł śmiał się pod okienkiem.

— Mościpanie, rzekł po chwilce, zbiliście się z tropu. Zaledwie to wymówił, zatrzęsa się pusta chata, i ze wszystkich stron nalecieli do niej djabli. Ten z kijem, ten z cepami, ów z pięścią, ów z ozogiem, inny z łopata, wpadli na grzbiet szlachcica, który jak nieżywy padł pod gradem ich razów na ziemię, nie wiedząc co począć z sobą. Twardowski czy to z litości nad szlachcicem, czy przez złość ku djabłu, zawołał nagle:

— Wołaj kogo na ratunek!

Dopiero ogłuszony szlachcic wspomniat świętych

pańskich i N. Panne i krzyknął:

— Święci pańscy, Marjo Panno! ratujcie mnie nie-
szczęśliwego!

I ledwie to wymówił, odskoczyli piekielni oprawcy
i znikli jakby ich nigdy nie było.

Szlacheic porwał się z ziemi, szybko zgarnął swoje
pieniążki i rzuciwszy się we drzwi, uciekał co miał
tchu lasem.

— Otóż, rzekł Twardowski odchodząc do djabła, wi-
dzisz że nie wszystkie moje rady na waszę korzyść
wychodzą. Gdybym był nie podał mu myśli wołania
o ratunek, byłby przepadł pod waszemi razami; a tak
ocalony został i pewnie się poprawi teraz.

— Poprawi się? powtórzył djabeł ze śmiechem.
Prawda! poprawi się. Wiesz-że nawet dokąd on po-
szedł?

— Sądzę że prosto do Bydgoszczy, gdzie pewnie pod
ciężarem przestrachu nawróci się i wstąpi do klasztoru.
Są tam Reformaci.

— Są Reformaci i on wejdzie do klasztoru — od-
powiedział Mefistofilis, to prawda; ale czy to mu wyj-
dzie na lepsze?

— Ujdzie piekła!

— Ujdzie piekła! powtórzył szatan! O! wątpię, bar-
dzo wątpię! Postaramy się o pokusy dla niego, jakbym
już widział nawet wlokącego się po gościńcu piekiel-
nym, z tą miłością złota i chciwością, które go nie
porzucają do śmierci. Kto wie, czy nie lepiej by dla
niego było, gdyby był nie wołał na ratunek nikogo.

Mistrz spojrział z gniewem na szatana, odwrócił się
od niego i milcząc powrócił do gospody w Bydgoszczy,
gdzie kazawszy Maćkowi nikogo do siebie nie dopu-
szczać, zamknął się ze swemi myślami.

ROZDZIAŁ XVII.

Co mistrz we czwartek widział na Łysej górze.

Smutny był Twardowski, niespokojny, znudzony, Pierwszy raz uczuł on, że i tego co mu dał szatan, wiedzy wszystkiego, władzy wielkiej, nauki złego bez granic, nie dość było jeszcze na zapełnienie duszy. Lecz to uczucie wziął z początku za fałszywe i chwilowe.

— Nie! rzekł w sobie, ja tak czuję, bom jeszcze ledwie nowego życia skosztował, ledwie wiem jeszcze co mam i co mogę. Tysiąc jest jeszcze użytków z mojej nauki, do których jej nie zastosowałem, tysiąc rozkoszy, którym mogę rozkazać aby przyszły, otoczyły mnie i uczyniły mi szczęście, jakie sobie wybiorę. Nie jest to jeszcze ostatnie słowo, ani ostatni dzień mój, ani dno kielicha, któren ledwie dotknąłem ustami. Próbujmy co mogę, nasyćmy się czem mam. To wyrzekłszy klasnął Twardowski w ręce i zawołał:

— Pojadę na Łysą górę!

Był to właśnie czwartek, kiedy się tam wszystkie duchy i czarownice zbierają.

Był to sejm czarownic i duchów:

Ledwie pomyślał mistrz, już siedział na malowanym koniu i rzuciwszy garścią sen na Maćka, drzemającego w kącie izby, wyjechał kominem. Był już zmierzch, wiater dał z północy, księżyc czerwony otoczony chmurą, wychodził z pod ziemi powoli; do koła mistrza orszak jego leciał, nietoperze, sowy, pułhacze, dziwne jakieś i niewidziane po dniu stworzenia. W powietrzu słyhać było rozmowę wszystkich stworzeń, którą mistrz jeden rozumiał.

Spotkała go kukułka, ulubiona wieśniakom prorokini i mówiła mu:

— Dobry wieczór ci mistrzu, dobry wieczór! Dokąd to się tak śpieszysz? Po co jedziesz? Na co tobie ta ciekawość, po ciekawości smutek? Jedź, jedź, za kalinowym mostem, za trzema stogami, za trzema mogiłami i trzema krzyżami znajdziesz czego szukasz, choć nie znajdziesz czego szukałeś.

I poleciała kukułka.

A potem krakała mu nad uchem wrona:

— Kraa, kraa! Witaj mistrzu! Właśnie tyłkom co skończyła z braciszkami krukami trupa, który z twojej łaski ćwierciami rozstawiony był po drogach. Smaczne było jego serce, piękne jego serce, różowe i miękkie. — Dzięki ci mistrzu!

— Któż to zginął z mojej łaski znowu? spytał siebie Twardowski; to chyba ten który kuł fałszywe pieniądze. Mniejsza z nim, lećmy dalej.

Gonił mistrza niedoperz i witał go trzepocząc skórczanemi skrzydłami:

— Nie poznałeś mnie mistrzu? Jam ci to jest, który wiszę nad twojem okienkiem w Krakowie i skrzydłami memi od czarów cię zasłaniam. Uwolniłem się przecie choć na chwilę, polecę do czarownicy na Łysą górę.

Poleciał naprzód i zniknął w ciemnościach.

Nadleciała sowa i wołała:

— Uhuu! uhuu! czuję śmierć, polecę pod okno i uderzę o szyby i zawołam — pójdź, pójdź! A druga za nią goniła i mówiła:

— Czuję że się ktoś narodzi, polecę pod okienko i zaśpiewam — powij! powij! a śpiew mój tak biedną przestraszy, jakby jej śmierć zwiastował. Nie trzeba było siedzieć w ogródku księżycowych nocy z kochankiem — chłodne nocy księżycowe, niezdrowe powietrze, po roskoszach choroba.

Świergotały wróble, a mistrz ich rozumiał, jak mówiły do siebie:

— Polecim do stodoły bogacza, wyskubiemy kłosa,

wypijem mu w polu co znajdziem, musi choć mimowoli dać jałmużnę. — Skrzczała sroczka na płocie:

— Jada goście, jada goście! Jedzie pan na czarnym wozie, a na nim biały krzyż, a w wozie koni cztery, towarzyszczą mu księża! Gotujcie się na przyjęcie droga pańi, bo jedzie gość! jedzie gość do was, którego czcicie!

Wszystkie te głosy, mistrz lecąc nad ziemią, zbierał w ucho i w duszę, bo je rozumiał, a wszystkie były smutne.

Tymczasem w powietrzu mijał tłumy różnych duchów i postaci, jak on lecących na Łysą górę.

Tamą przesuwały się stare wiedźmy, o trzech garbach, o trzech zębach, na miotłach, na ożogach, na łopatach, z rozczochranemi włosami, rozpiętymi opończami. Skakały na kozłach, na czarnych kotach, na niedoperzach leciały.

Jedna z północy sunęła się w stepie, którą poganiała tłuczkiem, miała złote czółko na głowie, i jak wszystkie, garnuszek zawieszony u pasa.

Drugą wiozła żaba, trzecią krowa czarna, każda z nich śpiewała coś pod nosem, za każdą dymiły się spalone jakieś ziela, z garnuszka zwieszonemu u pasa.

Nagle przesunął się mimo Twardowskiego skielet biały wisielca z postronkiem u szyi; za nim leciało stado wron i kruków, krakając:

— Jeszcze masz ciało u boku, wiszą ci jeszcze po biodrach kawałki, oddaj nam ciało, oddaj nam nasze!

Potem ujrzał latawca i latawicę, którzy w czułym uścisku sunęli się na Łysą górę.

Potem chochlików małych, jadących tłumami.

Potem upiory blade w śmiertelnych całunach.

Potem wilkołaki, które wyjąc jak głodni wilecy szli za nimi. I wiele jeszcze dziwnych postaci przesuwało się koło niego, nim ujrzał wreszcie Łysą górę, której kościół na tle niebios jaśniejszem, czerniał w oddaleniu, a podnóże jej zarosłami okryte połyskiwało drobnymi światełkami poruszającemi się w różnych kierunkach, stojącemi, migającemi. Tu bowiem u po-

dnóża góry, zbierali się wszyscy od czasu jak wierchołek świętym przybytkiem Bożym został zajęty, nie perzucając odwiecznej schadzki, a ustępując jednak przed znakiem krzyża, błyszczącym na wierchołku.

Im bliżej był mistrz, tem wyraźniej tłum czarownic i dziwacznych postaci, oświecony tajemniczymi ogniami rozłożonemi po górze wśród zarośli, rozpoznawał. Wzlatując długo po nad głowami ich, widział i słyszał dziwne rzeczy, dziwne rozmowy, przypatrzył się osobliwym straszynom i potworom, nasłuchiwał się szyderskich śmiechów, brzęków i śpiewów. Niekiedy z koła wyrwały się widma, brały za ręce i unosiły w konwulsyjnym tańcu, podobnym chorobliwym ruchom paralityków. Wśród tłumu kręcili się rozsypiani tani i sam djabli, których zdradzał płomyk wahający się nad głową i nad sercem; nie ów bładny i czysty, którym cechują jenjusz, lecz czarny — dymny, smrodliwy.

Czarownice wołały:

— Lado, lado, lado didi!

I widać było ich tańce, ich wykrzywania, podskoki, z którymi otaczały ognisko, i warzący się w niem kociołek.

Z ciekawością przypatrywał się mistrz niemieszając z tłumem i zwolna do koła oblatywał górę, zamysłony, zadumany wśród tego wesela potępionych, które dziko w jego sercu brzmiało.

Straszna to bowiem była weselość, przez której łańchmany podarte przeglądała rozpacz, w której czuć było męki i śmierć.

Trafił Twardowski na szkołę.

Siedziały siedem bab, na siedmiu kamieniach grobowych, a do koła nich cisnął się tłum młodzieży. Każda zabierała głos z kolei i tłumaczyła, nauczała jak duchy sprowadzać, jak deszcz zatrzymać, jak krowom mleko odebrać, jak chorobę naprowadzić, jak osypywać, jak w zbożu zawiertki czynić, jak płaksy na dzieci nasylać itd. itd. Młodzież słuchała z uwagą, z ciekawością, z radością, i brała nauki do serca, bo nie się tak nie przyjmuje łatwo jak złe.

Dalej, w kole, czarownice pobrawszy się za ręce śpiewały pieśń, której dziwaczne wyrazy dla nich tylko były zrozumiałe. Warzyły one w kociołku napój miłośny, lubczyk — mieszając do niego włosy dziewczyny, kroplę jej krwi i łzę. — Szumowały go łapką niedoperza, rzucając weń różne zioła i dziwne słowa.

— Niech ten co się go napije, śpiewały, żyje tylko tą, która mu go dała, niech za nią jak cień chodzi, niech jej będzie posłuszny jak jej ręka, niech się dla niej da powiesić, ściąć, spalić i potępić, niech dla niej matkę i ojca zabije.

Pięknie warzy się lubczyk! Szum nad nim i piana, jak nad sercem dziewczyny miłość szumi, a męty na dnie, jak żal jej będzie tego co przeszło, gdy jutra nie stanie. — Słodko na brzegu jak w młodości gorzko w środku jak pod starość.

Szumi wiaterek, ognie błyszczą, sowy śpiewają — pójdź! pójdź! ale wiaterek nie uniesie, ogień nie spali, sowy nie wywołają wprzód kochanka, aż nie zaspokoi tej która mu da lubczyku.

Rośnie trawa u strumienia i kwitnie tylko w północ, a kwiat ma różowy co się raz w rok otwiera w wielką wigilję — wsypcie kwiatu do kotła, lewą ręką od serca. Dziewczyna go nosiła pod sukienką na piersi, i spaliła na popiół, na żar.

Włóście serce gołębia — turkawki, któremu strzelec zabił samkę, bo gołąb tęskni i zdycha za swoją. Niech i on tak wdycha i usycha, gdy się napije lubczyku.

Niedaleko znowu stare baby warzyły napój inny, czarowny, i siedząc nad kotłem, kiwały głowami, machały rękami, przeciągłym głosem wołały, jedna po drugiej:

— Kładnę kość ze starej koźnicy, niech kto napój wypije, uschnie jak ta kość, zżółknie i zaniemieje.

— Kładnę wosk ze świecy kościelnej, spalonej na pogrzebie, niech mu będzie w życiu smutno, jak było na smętarzu, kiedy świeca dogorzała.

— Kładnę z strzechy kościelnej garść słomy; kto

napój ten wypije, niech mu się w duszy lęgną zle myśli i smutki, jak wróble i sowy pod tą strzechą.

— Kładnę serce wisielca wyschłe na szubienicy, niech mu będzie tak, jak było tamtemu, gdy od księdza krzyż całował, i niech zginie jak on zginął, krukom na wieczerzę jego serce, wronom na obiad jego piersi, sępom i jastrzębiom cielsko jego na śniadanie.

— Kładnę pruchno z trumny, niech jak ona spruchnieje, niech w nim zgnije weselość i szczęście, jak w tej trumnie zgnił trup.

— Rośnie kwiat nad mogiłą, kwitnie w zaduszny dzień, czarno i bialo — rzucam kwiat do napoju i niech mu kwitnie na czole czarna myśl jak ten kwiat, czarny smutek i rospacz.

— Włócie serce sowy co się kryje w dzień a w nocy płacze, a ludzie ją zabijają i ptacy ją pędzają: niech i on tak będzie znieawidzony od wszystkich.

Mieszaly napój w kotle trupią kością i sypaly weń wszystką złość, którą miały w sercu; napój wrzał, szumiał i syczał i kipiał, aż nad brzegi. I która kropla jego padła na ziemię, wypalił, trawy, a zasychała czerwono jak krew.

Za temi inne było koło jeszcze, ale tu wśród szepotów i chichotania nie mógł mistrz dojść o co szło, a nie bardzo ciekawy, pominął nie dowiedziawszy się.

Niżej uczył stary upiór młodego upióra, jak krew ze śpiących wysysać, a stara zmore młoda zmore, jak dusić biednych siadając im na piersi.

Potem szło jeszcze wesele; żenił się kozioł ze starą babą; grali im muzycy na piszczałkach kościanych, i bębnił w bębny ludzką skórą naciągane.

Usłano im łożo małżeńskie na kamieniu grobowym i rozpięto namiot z całunu.

Tam i sam włóczyły się po górze duchy i mary pojedynczo, inni z djablami w parze, inne jeszcze szukając sobie towarzyszy zaczepiały wykrzywiając się miłośnie lub rzucały się na przechodzących. Byli tam młodzi i starzy, młode i stare, mnichy i żołnierze, szlachta i chłopstwo, mieszczeni i mieszczenie, lecz

najwięcej starych bab i upiorów. Wszystko to suwało się po zaroślach, w koło rozłożonych ognisk, gwarzyło i śpiewało, krzyczało i śmiało się przeraźliwie, targowało i kłóciło, przeklinało i wyzywało.

Gdzie niegdzie ślepi dudarze graли czarownicom piosenki i tańce; indziej biesiadowano pod krzakami, dobywając jadła i napojów z dwojaczków i butli z miodem i piwem. Mistrz postrzegając wszystko nie mieszał się do tłumu, ułatywał nad nim z wolna, ciekawie się wpatrując i przysłuchiwając, a czoło jego chmurne było i pomarszczone świadcząc o głębokiem uczuciu i myślach.

Nagle uczuł się trąconym w ramię a głos znajomy zabrzeczał mu nad uchem.

— Widzem tu tylko jesteś?

Był to szatan, *familiaris* mistrza.

Jakżeś mnie tu odkrył i znalazł? zapytał go zdziwiony Twardowski.

— Jak zawsze, szedłem w ślad za tobą.

— Jak zawsze, mówisz?

— Jak zawsze.

— Sledzisz mnie wiec jak swego niewolnika?

— Nie jak niewolnika, przepraszam, odpowiedział szatan, ale jak matka dziecko ulubione.

— Dzięki za piękne porównanie, kto wie jednak czem bym z dwojga z lichem być wolął.

I umilkli.

— Czemuż się nie wmięszasz do naszej zabawy? rzekł szatan po chwilce.

— Bawię się nie lubię, odpowiedział Twardowski poważnie, a nauczyć się tu nic nie mogę.

— A zawsze ta nauka! rzekł djabeł, zawsze ci ona mistrzu mózg psuje. Alboż człek ma się tylko uczyć?

— Mamże tu co robić, mogęż być tu komu potrzebny? przerwał Twardowski.

— Zawszeż człowiek ma tylko służyć; — odpowiedział mu djabeł.

— Cóż chcesz więcej, abym począł?

— Żebyś szalał i bawił się z nami, a życia póki ci służy używał.

— Używał życia! powtórzył mistrz ze śmiechem, na to zda mi się nie Łysej góry potrzeba i tutejszych twoich ludzi.

— Równie przecie obojętny jesteś i gdzieindziej.

— Jeszcze pora nie przyszła — odpowiedział znowu Twardowski. Człęk rozumny zwleka użycie świata, póki go nie pozna zupełnie.

— A zechce go użyć, gdy będzie po czasie, gdy sił mu zabraknie, znowu poszepnął djabeł.

Ta myśl mimowolnie utkwiała w mózgu mistrza, odpowiedział jednak zimno:

— Taki człowiek jak ja, wszystko może czego chce.

Djabeł spojrział tylko i parsknął w żółtą bredę swoją. Milczenie.

Sabat zbliżał się do końca, bliskie było kurów pianie, niektórzy już się wynosili, gasły ogniska, szumiało powietrze od wlatujących mar, klasztorny zegar powolnie bił godzinę. — Po chwili na folwarku kury raz pierwszy piąc zaczęły. Twardowski zwrócił się do Bydgoszczy, gdzie Maćka zastał jeszcze śpiącego.

ROZDZIAŁ XVIII.

Jako Twardowski odmłodził burmistrza Słomkę.

Rano było bardzo jeszcze, gdy już ktoś zapukał do drzwi mistrza, który noc całą strawiwszy bezsennie, siedział jeszcze u stoła, czytając w swej łuszy dziwne naciskające się uczucia.

Otworzyły się. Był to ów pan burmistrz, któremu Twardowski doradził kadzić trupim zębem, a rada ta nie pomogła, bo nie było czarów w domu, nie djabli w nim tańcowali i hałasowali na górze, ale jejmościny gachy, bo burmistrz był stary, a pani burmistrzowa młoda jeszcze, i bardzo a może nadto wesola. Poznał się wreszcie burmistrz na tem i tak mówił stanąwszy u drzwi:

— *Sapientissime!* wiem już co mi się w domu dzieje — młoda żona mi szaleje. Jeśli chcesz tej mojej biedzie zaradzić, albo mnie zrób młodym, albo ją uczyni starą. Pono to jednak bezpieczniej żębym ja odmłodził, bo to dobre przysłowie, że w starym piecu djabeł pali. Jejmość moja szaleć może jak przywykła, a ja na to nie potrafię dać rady. Jak będę młodym, jeśli mnie jejmość nie pokocha, to może przynajmniej gaskowie bać się będą. Wiem ja, mówił dalej burmistrz, iż ty wszystko mocą swoją możesz, uczyni też to dla mnie, jak waszmościna łaska.

— Rzecz to nie tak łatwa, ani ją tak z kopyta do skutku przyprowadzić można, rzekł mistrz poważnie. Przerobić człowieka starego na młodego, dzieło to trudne, długie i kosztowne.

— Ja już kosztów na to żalować nie myślę, odpowiedział burmistrz, gotów jestem gdyby mi zabrakło, zastawić się i sfantować, byle tego dopiąć; boć to

warto, byleby drugi raz w życiu być młodym. Ależ jakież to mogą być koszta, mój mistrzu? podchwycił prędko skrobiąc się po łysinie.

— Znaczne dosyć — rzekł Twardowski, potrzeba na to ziół rzadkich i drogich, maści zamorskich, potrzeba długich przygotowań; nim się wszystko przysposobi i pościąga z różnych stron, rok może upłynąć.

— Rok! zawołał pan Słomka, tak długo!

— Przecież warto na to poczekać, rzekł Twardowski.

— Zapewne, szeptał pod nosem burmistrz, ale jeśli ja umrę nim się to zrobi?

— Potrzeba też, mówił dalej mistrz, jednego zaufanego pomocnika. Tego ja znajdę w moim słudze. Waszmość ułóż swoje interesa i wybieraj się jakby w długą podróż. Znajdziemy tymczasem dom jaki wygodny na ustroniu, spokojny, gdzie nam nikt nie przeszkodzi. Waszmość jeśli cenisz swoje życie, powinienesz milczeć jak kamień i nikomu o tem wcale nie wspominać.

— Będę milczał jak grób, rzekł burmistrz z ukłonem. Co się tycze podróży, udam że pojedę za skórami do Wilna, co też nie raz już czynilem. Dom najmiemy za miastem, ja go sam najlepiej wynajdę, a ten worek, rzekł kładąc na stole zieloną kaletę, na pierwsze koszta wystarczy zapewne.

— Idź waszmość ze swojej strony się gotować, rzekł mistrz, a nie dowiaduj się do mnie aż za kilka miesięcy. Ja tymczasem przygotuję wszystko do wielkiego dzieła.

A w duchu pomyślał: — Pierwsza to będzie i ciekawa próba na tym opastym wieprzu, gdyby się nawet nie udała, nie wielka szkoda kawałka nadpsutego mięsa.

Burmistrz wyszedł uradowany; Twardowski tymczasem przecierając myśl jakąś w głowie, zawołał Maćka i rzekł:

— Znam twoją wierność dla mnie, i dla tego chcę cię użyć do wielkiego i ważnego dzieła. Nabędziesz nauki, z której kiedyś będziesz mógł korzystać, a tym-

czasem dasz mi dowód, że się nie mylę rachując na ciebie.

— Obaczysz mistrzu, odpowiedział Maciek.

— Mamy tu przerobić osłowieka.

— Przerobić?

— Tak Maćku, ty będziesz dopomagał do tego. Od jutra zaczniesz szukać potrzebnych ziół, przygotowywać ciecie i maści, których użyć wypadnie.

Jakoż nazajutrz zaraz kosztury wzięwszy w ręce i ubranie pielgrzymie, poszli obadwa za ziołami i potrzebnymi ingredjencjami. Nie tak to łatwo było pozbierać wszystko, co mistrz na długiej spisał karcie. Niektórych ziół i korzeni potrzeba było dobywać przy świetle księżyca, wszystkie prawie brano na młódziku, maśło które na pełni, potrzeba było ich wyszukać, jednych w kwiecie, drugich w ziarnie, innych gdy już wędły; potrzeba było jeszcze starannie je przechowywać i strzedz od zepsucia.

Za niektórymi przyprawami wysłał Twardowski daleko wiernego Maćka, dawszy mu kartę. Orzechów kokowych, rogu jednorożca kopalnego, pewnych części mumij, szukać należało daleko i drogo opłacać.

Ku tajemniczej odmłodzenia sprawie potrzebne też były niektóre części zwierząt osobliwych i rzadkich, trudno się wyszukać dających; lecz z mozolnym trudem i pomocą szatańską wszystkiego dostał Twardowski, nawet pewnej odmładzającej wody, która biała z siódmego źródła na niedostępnej górze, a której z niebezpieczeństwem życia naczepał.

Długi czas trwały same przygotowania, aż nareszcie mistrz dał znać p. Słomce, że wszystko było gotowe. Ten wybrał się już był jak w długą podróż, pożegnał żonę zalecając jej, aby o niego była spokojną, bratu porucił dom i sklep, a sam nocą przeniósł się do najętego na przedmieściu domostwa.

Wybrał Twardowski sam nów księżyca na wielkie owe dzieło. Naprzód dał jakiś usypiający napój burmistrzowi, który go całkiem na oko umorzył; to zaś dla tego aby nie czuł, co się z nim dziać miało:

Potem z wiernym Mackiem włożyli go do kotta i gotowali długo, śpiewając jakieś tajemnicze wyrazy; wyjęli wreszcie i smarowali zioły i maściami, kropiąc wodą cudowną.

Trwało to dni kilkanaście, lecz mistrz nie zupełnie rad był ze swej pracy i wśród niej, nie rozpaczając o skutku, poczynił sobie drugi raz uwagi. Przez cały czas roboty, dusza burmistrza, wyjęta z ciała, siedziała w dobrze zaspuntowanym słoju. A gdy wreszcie ciało zostało odmłodzone, świeże i gotowe na jej przyjęcie, wpuścił ją Twardowski ostrożnie w usta trupa, który natychmiast zwołna ożywać zaczął, poruszać się, rumienić i wreszcie powstawać ze stołu, przecierając oczy.

Maciek, który posłuszny robił wszystko co mu kazono, ale się nigdy takiego nie spodziewał skutku, osłupiał na ten widok. Mistrz był uszczęśliwiony i rad swojemu dziełu. Burmistrz odmłodzony, zdało się tylko że utracił pamięć i powoli ją dopiero odzyskiwał, gdy się dobrze na świecie rozpatrzył.

Zapłata już była wyliczona, zaczęł burmistrz, zabrawszy się z odzieniem swoim, prędko pośpieszył do domu, naliczywszy wprzód tysiąc tysięcy błogosławieństw Twardowskiemu.

Trochę niespokojny, dawszy mu obszerną naukę dalszego postępowania, Twardowski wysłał za nim na szpiegi wiernego Macka, który z powrotem przyniósł następującą relację:

— Gdy burmistrz zapukał do drzwi swojego domu, już był wieczór. W oknach kamienicy wszędzie błyskały światła, słychać było huczną muzykę, konie i kolasy u wrót czekające na panów, świadczyły że się liczne zgromadzenie u p. burmistrzowej bawiło.

— A jednak to ani święto, ani imieniny, ani urodziny spodziewam się, ani zapusty, rzekł burmistrz pukając zwołna. — Dziwna rzecz, ale czekaj jeno jejmość, będzie tu wszystko inaczej jak się ja tylko pokąże! mruczał pod nosem.

. Otworzono mu drzwi wreszcie, ale wierny sługa

stary nie poznał pana wchodzącego i pytał:

— Czego miłość wasza potrzebuje?

— Czego? ha! ha! Tadeuszu, odpowiedział burmistrz — widzisz, powróciłem z podróży.

Maciek wcisnął się i ciekawie przysłuchiwał.

Tadeusz wyrapiwszy ogromne oczy, patrzył, ale nie rozumiał nic jeszcze, ani go poznawał.

— Prowadź mnie naprzód do komnaty, od której u jejmości klucze.

— Co? co? co on gada? bąkał wpatrując się Tadeusz. Miałżeby to być nasz pan? aleć to jakiś młody, w samej sile wieku człowiek. Gdzieżby on zgubił ten odęty brzuch, co go nosił przed sobą.

Podstawiwszy świecę mało nie pod sam nos panu, począł sobie coś niby przypominać Tadeusz.

— Takimem żeć go widział kiedy jeszcze był młody, rzekł, ale z kąd mu u licha to odmłodzenie? I przecierał oczy mówiąc:

— Albo m ja głupi, albo pijany, albo to szatan, albo to czary.

— Ani to, ani to, ani tamto! odpowiedział burmistrz wstępując na wschody. Tylkom ja się odmienił.

— Ale jakimże u licha sposobem?

— A! to tajemnica Tadeuszu. Namysłiwszy się nieco szedł p. burmistrz na górę.

— Jejmość właśnie strojna i powabna, tańczyła *gonionego*, gdy jegomość wszedł uśmiechając się do izby. Muzyka grała od ucha, usłyszano przecie otwierające się ciężkie drzwi, obejrzano się nań. Starsi jeli sobie oczy przecierać i przyszli go pytać:

— Jesteś li waszmość burmistrza Słomki syn czy krewny, że tak do niego podobny?

— Ja to sam jestem burmistrz Słomka, odpowiedział im śmiejąc się — ja sam, tylko młodszy niż byłem.

— Waszmość burmistrz Słomka! zawołali, a toć, rzekł jeden, on ze mną w ławie zasiadał lat dwadzieścia, a waszmości ledwie się wąs sypie! szalony!

— Głos jego, ale twarz i ciało młodsze, rzekli inni.

Aż na hałas zbliżyła się pani burmistrzowa i pa-

trzała mu w oczy.

— Ładny zakaty chłopiec, szepnęła do siebie i dała:

— Kto waszmość jesteś, łaskawy gościu?

— Waścin mąż, moja rybko, odpowiedział burmistrz, ale młody i rażny.

— Mój mąż! ha! ha! Daj Boże, aby mój mąż był podobny do waszmości. Widzę na waszmości jego kontusz podobno i jego głos słyszę, ale nie ta daleko twarz i postawa!

Wszyscy zdumieni kołem stali przy burmistrzu. Muzycy nawet i grajkowie oczy wytrzeszczali, szepcząc między sobą.

— Jeśli się waszmość upieracie, żeście mój mąż, ozwała się po chwili pani burmistrzowa, powiedźcież mi przez łaskę swoją, jaki mam znak na lewej ręce?

— Czerwony znak krzyża świętego, odpowiedział nie ujawnawszy się burmistrz, wypieczony przez matkę, panią Katarzynę, gdy się uciekając czasu najazdu, we wsi na mamkach zostawiła. Nie prawdaż?

— Prawda! mogłeś się tego jednak dowiedzieć, rzekła figlarnie jejmość — ale powiedz lepiej, co mi dał mąż na drugi dzień po ślubie?

Burmistrz szepnął jej w ucho ostrożnie, nie chcąc niewiasty zawstydzic.

— Dałem ci pomnę, z dziesięć dobrych razów po grzbiecie.

Pani burmistrzowa zaczerwieniła się cała i zawołała.

— Ale z kądże u licha twoja młodość wróciła?

— Posłuchajcie tylko, rzekł Słomka siadając. Wszyscy zgromadzili się koło niego, a on jął im opowiadać obszernie całą swoją historją, zakławszy ich wprzódy na tajemnice św. Trójcy, żeby o tem więcej nikomu nie wspominali. Powiedział im, jak się z mistrzem ułożył, jak usnął, jak wstał młodym, ale za to zapłacił; potem jął czarnoksiężnika pod niebiosą wynosić, zachwalać jego osobliwą naukę i zreczność. Zdumiewali się przytomni i w głowy zachodzili. Niektórzy mając

go jeszcze za impostora, zadawali mu różne pytania, lecz wkrótce przekonali się, że był w istocie nie kim innym, tylko burmistrzem *in persona*, odmłodzonym cudowną sprawą mistrza.

Zaraz tedy żwawo wzięli się wszyscy na ożeść jego do kielichów i do tańca, odprawując jakby nowe, drugie wesele dwojga małżonków lepiej teraz dobranych. Odprawiono uroczyste burmistrzostwa do łożnicy, po czem wszyscy się rozjechali i rozeszli. Uważano że p. burmistrzowa rada była bardzo zamianie starca na młokosa, nie wiem tylko na jak długo. Brat zaś burmistrza, który spodziewając się że p. Słomka zemrze *improvis et stertis*, wyciągał ręce po dziedzictwo i wcześniej się nawet z przyszłą wdową o *gerade* targował, z bardzo kwaśną miną oddał mu rejestra i klucze powierzone.

Zaraz nazajutrz gruchnęła wieść po miasteczku i okolicy o odmłodzeniu cudownem p. Słomki; mianowicie zaś między staremi wielkiego narobiła hałasu. Gadano o tem z dodatkami, po wsiach, po zamkach, po dworach i miasteczkach, tłumy starców zgrzybiałych wlokły się do mistrza; ale Twardowski jakby przewidyjąc to zniknął.

U drzwi jego mieszkania siedział tylko posepny Maciek, odpowiadając wszystkim:

— Nie ma pana mistrza doma.

Dokąd się udał mistrz nie wiadomo, zapewne zdala, usunąwszy się od teatru samego, przypatrywał się swemu dziełu.

ROZDZIAŁ XIX.

Jako Maciek ciężko pokutuje za swoją chciwość.

W głowie Maćka wielkie dzieło, którego z mistrzem dokonał, stało się powodem długich rozmyślań. Dumał on nad tem, jak się to stało, jakimi sposoby, jakimi przybory, przypominał sobie najmniejsze okoliczności, i nieraz przychodziła mu do głowy myśl szalona, czyby nie godziło się spróbować, ażali nie potrafi sam doświadczenia powtórzyć.

— Doskonale wszystko pamiętam, myślał powtarzając każde niemal słowo mistrza. Znam ziola, czas ich zbioru, sposób urzędzenia; czemużbym to i ja nie miał spróbować tej sztuki? To by mi dało okrutnych pieniędzy, za te pieniądze kupiłbym sobie wieś pod Krakowem, byłbym panem jak drudzy, pojechałbym z pocztem na dwór królewski, ożeniłbym się z panną krakowską *), którą widziałem ongi u Panny Marji, a potem jadącą kolasa do zamku.

— Dla czegoż, mówił do siebie, nie miałoby mi się to udać, kiedy się to mistrzowi udało? Wszystko co on zrobił i ja zrobię łatwo, przypominając więc sobie zaklęcia, słowa, formuły magiczne, powtarzał Maciek w duchu:

— I ja to zrobię łatwo! zrobię pewnie!

Dziwił się tylko sam sobie, że chociaż pamiętał wszystko, nie wiele jednak rozumiał, co go wszakże mało obchodziło, był bowiem z tych ludzi, którzy słowa i formy za samą rzecz i jej istotę mają, nie patrząc reszty. Gdy tak siedząc na przyzbie rozmyślał, zatrzymał się jeździec u wrót domostwa, i przywiąza-

*) Wojewodzianka.

wszy konia do kółka, szedł ku niemu.

Był to widocznie dworzanin jakiegoś pana, suknie jego były barwiane widocznie; za nim jechało tylko pachole. Ubranie okazywało że odbył kawał drogi, okryty był kurzawą, parę pistoletów miał u pasa, lekką szablę u boku, głowę okrytą mycką z wyszarzanem piórkem, u butów ogromne żelazne ostrogi.

— Bóg z wami, rzekł do Maćka, mówiono mi w mieście, że to gospoda sławnego mistrza Twardowskiego z Krakowa.

— Nie zwiedziono was, ona to jest właśnie.

— Niech im Bóg da zdrowie za dobre ukazanie, rzekł dworzanin, wyjmując list z za nadrza. A jest w domu?

— Dawno go już nie ma.

— Nie ma? ależ powróci?

— Nie prędko, odpowiedział Maciek. — Czegoż to od niego żądacie?

— Jest tu do niego ważna sprawa od mego pana, starosty..... jest i pisanie do Twardowskiego. — Ale cóż to pomoże kiedy go nie ma w domu i nie prędko pewnie powróci.

— Może też ja co na to mogę, rzekł Maciek drżącym głosem podnosząc się. — Bom ci ja uczeń jego i zastępca. — A potem dodał cicho: co on może to i ja mogę uczynić.

— Doprawdy? przebaknął z niedowierzaniem dworzanin, doprawdy? a przeczytajcież to pismo.

Pismo było otwarte i Maciek tyle się tylko z niego dowiedział, że żądano pomocy mistrza w sprawie ważnej, którą miał opowiedzieć zaufany dworzanin, oddawca pisma.

Schował więc list za nadrę i spytał go śmielej:

— Powiedz-że mi waszność o co tu chodzi — pisanie to na waszności kładnie, że o wszystkim wiesz i opowiesz dokładnie.

— Jest to tak tajemna sprawa, że waham się jej komukolwiek wyjawić. — Jednakże jeśli jesteś uczniem i zastępcą mistrza...

— Każdy ci to poświadczy, jeśli chcesz, odpowiedział Maciek, wskazując ręką na miasto.

— Wierzę iż tak być musi, rzekł po chwili dworzanin i począł:

— Trzeba waszmości wiedzieć, że nasz pan starosta od lat kilku zachorzał gorzej niż kiedy. Nogi mu nie służą, oczy mgłą zachodzą, ręce się i głowa trzęsą, zęby lecą do ostatka, ledwie że nieborak duszy z kaszlem nie odda. A toć to mu przyszła chęć na tę nieodoleźną starość ożenić się.

— Ożenić się! powtórzył Maciek; hem, hem, ożenić!

— Tak, tak — a do tego jeszcze z młodą dziewczką pana kasztelana, blizkiego sąsiada i powinowatego swego; wszystko to w nadziei potomstwa, bo jako ostatni swego imienia i herbu, musiał by na swym pogrzebie kazać strzaskać tarczę herbowną, aby jej na potem nikt nie śmiał używać, a to mu nie w smak idzie. Aliście panna jejmość kasztelanka płacze a płacze, a sobie go wielce nie życzy za męża, bo starszy od jej ojca i mówi, że takie małżeństwo, byłaby to oczewista obraza Boska. A zatem i księża ichmość powtarzają w tą, od nich nabechtani. Jużeśmy nie wiedzieli spełna co z tem począć i jak temu poradzić, gdy się tu wieść rozeszła o panu burmistrzu Słomce, co to go pan Twardowski odmłodził. Powiedziano to i panu staroście. Zrazu nie wierzył, posłał potem po burmistrza, bo go kiedyś znał, a obaczywszy i usłyszawszy rzecz wszystką z ust jego, uwierzył z wielkiem podziwieniem. Aż w niego zaraz inny duch wstąpił i rzekł: — Choćby mnie to cały mój skarbiec kosztować miało, dokażę ja i na sobie tej sztuki. Zaczem wezwał mnie do siebie i posłał z informacją do mistrza, ofiarując łatwo dużą sumę, byleby mu to uczynił.

— Wieleż naprzykład? zapytał ciekawie Maciek.

— Tysiąc złotych węgierskich, odpowiedział dworzanin. Mam je nawet w pasie i u siodła częściami, jeśli by je zostawić wypadło mistrzowi, kazano mi je oddać pod jego oblig.

— Ha! ha! rzekł Maciek kiwając głową, mogę ja

tego bardzo dokazać sam i bez mistrza, bo i burmistrza nie kto młodził, tylko ja.

Te nieszczęsne tysiąc złotych spokusiły go tak bardzo, że się już nawet odważył głośno przyrzekać.

— Jeśli chcecie, dodał, pora po temu, mam maście i oleje, zabiorę je i pojedziemy. Postarajcie się tylko waszmość konia w miasteczku, a ja tymczasem co potrzeba przygotowuję.

— Ale — ale — bękał trochę niespokojny dworzanin, jesteś-że waszmość pewny, że dokażesz tego na co się podejmujesz? Idzie tu i o życie znacznego pana i o wasze własne.

— Jestem najpewniejszy, rzekł jękając się Maciek, który nie miał już czasu cofać się. — Bądźcie spokojni, w tem moja rzecz, i dodał spoglądając z ukosa na trzos u pasa dworzanina — nie pierwszy to raz zdarza mi się coś podobnego. Kiwnął jeszcze głową i dodając sobie ducha zawołał w pół do niego, w pół do siebie:

— Nie takie to my rzeczy robili.

— Pamiętajcież dobrze, dodał jeszcze raz dworzanin, że tu i o waszą skórę chodzi.

— No, no, idźcie tylko po konia na miasto.

Stało się jak chciał Maciek, którego w głowie potwarzając nieustannie wszystek porządek ostatniej roboty, niedawnej jeszcze i dobrze mu przytomnej, poszedł po słoiki i po flaszki, a dworzanin pospieszył za koniem. Zabrawszy co było potrzeba, wsiedli i pojechali.

Nad wieczór stanęli w zamku pana starosty.

Stał on na wzgórku piaszczystym i wyniosłym a nad okolicą panującym. Otaczał go mur i głęboka fosa, po rogach sterczały baszty okrągłe zwane rondelle, nakryte spiczastymi daszkami. Tam i sam przedarte w murze długie okna dla hakownic i szmigownic, inne dla większych dział służyły.

Wśród wałów i murów stały w części czerwone, w części szare zabudowania zamkowe, których tylko nierówne kominy wyżej muru okólnego wznosiły się. Pod zamczyskiem rozpotożone było miasteczko złożone z chałup mieszczańskich i kilku żydowskich w pół mu-

rowanych domostw. W pośród nich płynęła brudna rzeczulka, nad którą kołysały się biedne, poobcinane wierzby.

W rynku mieściny była drewniana stara cerkiew, osadzona drzewy, czerniejąca zdala, za nią na wzgórkach bielał parafialny kościółek. Z poza dachów zaś żydowskich wysoki łamany dach bożnicy sterczał, zakończony błyszczącą gałką u wierzchu.

Taka to była stolica starostwa...., do której po tęgiem błocie wjeżdżali dworzanie z Maćkiem. Na ich przybycie spuszczone most, otwarto wrota i chociaż tego wieczora sam pan się nie ukazał, Maciek był gościnnie przyjęty czem tylko zażądał. Najadł się tego, napił nie gorzej i w osobnej obszernej izbie sklepionej układał się na dobrem łożu na spoczynek. Całą noc jednak spać nie mógł, w głowie swej przewracając i przypominając robotę, do której się gotował, trochę już niespokojny o siebie, że się za śmiało puścił. Skutkiem zapewne tych gwałtownych wysileń umysłu pomieszało mu się i poprzewracało w głowie w najlepszy sposób, jednakże nie stracił jeszcze zupełnie odwagi, a myśl o tysiącu złotych dodawała ubywającej.

Nazajutrz kazał sobie dać drugą izbę, wannę, stoły i wziął się do przygotowań. Starosta jeszcze się nie pokazał. Maciek ucierał maście, zawsze smaczno zjadał, popijał wesoło, ale jak przyszło do snu, sen go nie brał, bo był niespokojny, pragnąc jak najprędzej skończyć rozpoczęte dzieło. Było jednak wiele jeszcze przygotowań przed zaczęciem, które się ledwie we dwa dni ukończyły. Cały ten czas nie widział starosty i ledwie dwa razy przechodząc się po zamku słyszał jego kaszel wkomnatach. Drugiego dnia oznajmiwszy że wszystko gotowe, poszedł obejrzeć zamczysko. Mimowolnie przychodziło mu na myśl, że jeśli się nie uda dzieło, trzeboby sobie zapewnić środki ucieczki; próżno jednak z tą myślą zamek oglądał. Trzeba było mieć skrzydła ptasie, żeby tego dokazać. Maciek się bardzo zmieształ odkryciem, ale się jeszcze nie cofnął.

W wyznaczonej godzinie, wsparty na ramieniu dwo-

rzan, wtoczył się starosta. Na widok starca śmiertelny dreszcz przeszedł po skórze Maćka. Wstyd tylko z jednej, chciwość z drugiej, głupstwo z trzeciej strony utrzymywały go w przedsięwzięciu.

Oddalili się wszyscy i natychmiast Maciek dał starcowi usypiający napój, którego wybornie skutkowało natychmiast. Gdy jednak już ciało w kocioł miał wrzucać, przypomniał sobie, że z niego wyjąć trzeba było duszę. Uczynił to, ale z pośpiechu zapomniał naczynia w które ją zamknął zaszpuntować, i swobodna dusza uleciała.

Wszystko dalej szło pomyślnie, lecz gdy już przyszło nazad duszę w ciało wpuścić, aby odmłodzone ożywiła, Maciek jej nie znalazł. Próżno kręcił się, wołał, szukał, dmuchał i chuchał, byłby dał i swoją gdyby mógł. — Trup pana starosty leżał odmłodzony i świeży, ale bez duszy. Męczył się ciężko Maciek i biedował dni kilka, aż widząc wreszcie że nic z tego być nie może, postanowił już uciekać. Poznali wszakże słudzy po skłopotanej minie, po przeciągniętej nad obietnicę i zakreślenie czasu robocie, że лихо w niej jakieś być musi. Tak pilna straż ściśle otaczała zamek, że się wymknąć nie było podobna.

Gdy się go dopytywano kiedy się robota skończy, odpowiadał zawsze — jutro — posyłał po nowe ziło, składał zwłokę na to lub na owo — nie było już nadziei chyba w ucieczce.

— Licho mnie spokusiło wdać się nie w swoje, myślał, siedziałbym był lepiej spokojnie. Te tysiąc złotych przyjdzie mi samemu gardłem zapłacić.

Ciężko mu tedy było na sercu i nie widząc już żadnego ratunku, chybaby się cud nad nim pokazał, sposobił się na śmierć. Jednego wszakże wieczora, gdy się słudzy pospali, wymknął się jakoś z zamku i dopadł bramy, która nie pilnie była na on czas strzeżona, przesunął się przez most, wyleciał w pole; ale nieprzytomny, co się miał ukryć gdzie w bok uskoczywszy, poszedł drogą. — I to go zgubiło.

Wnet obejrzawszy się słudzy poszli za nim w pogoń

i schwytali go na staję ledwie od miasteczka, a związawszy odprowadzili do zamku i posadzili w wieży. Dano znać krewnym i urzędowi. — Zjechali się prędko kollateralni starosty dziedzice, nie bardzo płacząc i kontentując się westchnieniami, które z lada piersi bez wielkiego mozółu wydobyć łatwo. Sprowadzono księży, a gdy w wielkiej sali odbywały się żałobne wigilje za duszę, która z faszki uleciała, w drugiej sali zasiadał sąd, który *primo impetu*, nie wiele myśląc, wydał wyrok na Macčka, jako na czarnoksiężnika — bardzo ostry, który jednak z pewnych przyczyn zmiętygowano na stos prosty i leciuchne spalenie bez żadnych innych mąk.

Pogrzeb odbył się wspaniale, na którym za trumną, w łańcuchach, z pochodnią w rękę szedł Maciek, dziwowisko tłumy. Równie wspaniale gotowali się dziedzice pana starosty spalić czarnoksiężnika, jako sprawcę jego śmierci.

Tak Maciek dla tysiąca złotych, na które się połąkomił, miał iść na stos. Dzień już nawet był wyznaczony, w rynku nawieźli dREW mieszczanie, sprowadzono kata co go miał palić. Było to w sobotę, w wigilję śmierci, nazajutrz sprawiedliwość ludzka miała go upiec na węgiel.

Maciek pobożny, bo wychowany w Krakowie, gdzie od dzieciństwa wszystko do niego nabożeństwem przemawiało, w ostatniej chwili pomyślał, że jest drugi świat i inny jeszcze ogień; poprosił o księdza. Choć pomagał mistrzowi do szatańskich jego spraw, on sam nie widział nigdy szatana, złości się swoich uczynków przez głupstwo nie domyślał, nie zaparł się był Boga, a skrucza przyszła w ostatniej godzinie.

— Zasłużyłem na to co mnie czeka, wołał płacząc, zgine przez głupstwo moje.

Te słowa mruczał właśnie w kątku ciemnicy, gdy drzwi wieży otwały i wszedł ksiądz jakiś podróżny, bo proboszcz i wikary miejscowy nie wrócili byli jeszcze z pogrzebu, powiódłszy ciało starosty do rodzinnych grobów u Augustjanów w Brześciu Litewskim.

Ciężko płakał Maciek klęcząc do spowiedzi, otworzył wreszcie usta i zawołał łkając:

— Ojcie! zgrzeszyłem bardzo.

Przerwał mu śmiech z pod kaptura mniszego wychodzący, a w tej chwili z okienka wieży padający na twarz księdza promień światła ukazał mu oblicze mistrza.

Na ten widok załękł się bardziej jeszcze Maciek i padł na ziemię twarzą, bo sądził że go sroga zemsta czeka i kto wie co jeszcze, za wmieszanie się w sprawę, która do niego nie należała wcale.

— No, Maćku, rzekł Twardowski, ślicznieś sobie poradził, jesteś o krok od stosu i żadna siła ludzka już cię ocalić nie może. Wpadłeś jak mysz w pułapkę.

— Ach! wiem o tem, zawołał, ale mnie tę przekłete tysiąc złotych skusiły, i głupia moja zarozumiałość, mistrzu.

— Zawsześ był uczciwym chłopcem i dobrym sługą, dodał mistrz, po cóż ci było wdawać się w to czego nie rozumiesz i rozumieć nie możesz?

— Nie wymawiaj mi już panie, odpowiedział z płaczem, pójdę na śmierć, ale srożej od bliskiej śmierci gryzie mnie moja niewdzięczność, żem chciał przed tobą, mój dobroczyńco, ubiedz te nędzne tysiąc złotych.

— Cóżbyś ty mi zrobił, czem byś mi zawdzięczył, gdybym cię jeszcze ocalił?

— Co? rzekł uradowany Maciek podnosząc się. Mistrzu! cóż ja ci zrobić mogę? moja dusza byłaby twoją na wieki, cały byłbym tylko dla ciebie!

— Przysiężesz mi, że będziesz służył wiernie, i że spełnisz każdy mój rozkaz, bodajby najcięższy, do litery?

— O! mistrzu, przysięgnę i dochowam przysięgę — pójdę z tobą choćby do piekieł, wszędzie, zawsze będę twoim więcej niż sługą, niewolnikiem, psem.

— Pamiętaj na co przysięgłeś i chodź za mną, rzekł mistrz, ale jeśli złamiesz przysięgę, śmierć cię nie minie.

— Bodaj spadła na moją głowę pierwszej chwili, kiedy pomyślę cokolwiek przeciw tobie, mistrzu.

— Teraz więc chodź a milcz.

To mówiąc wziął go za rękę, i otworzywszy drzwi

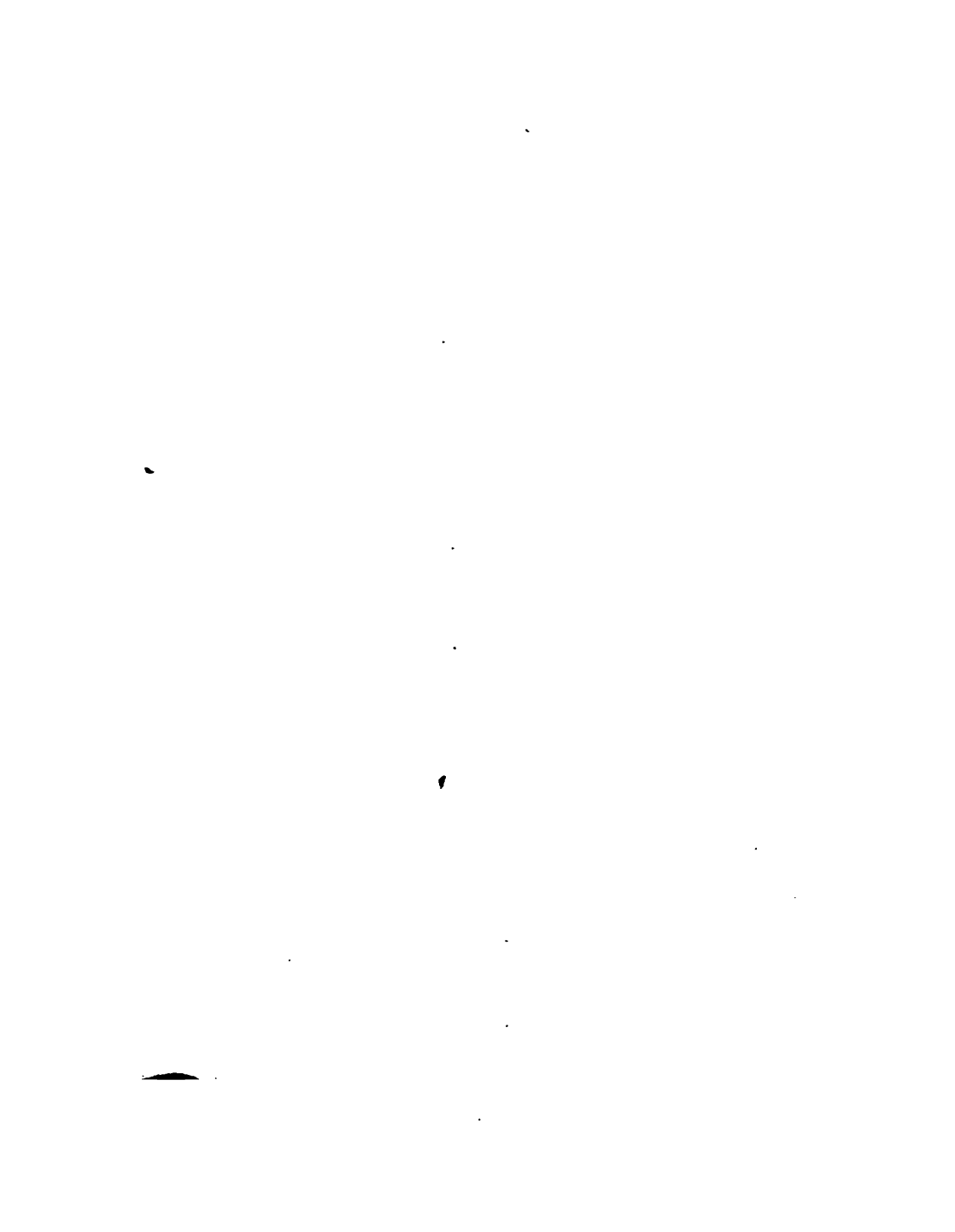
wyszedł. Dziwił się Maciek, że ich straż puściła, ale bardziej jeszcze zdumiał i osłupiał, gdy po chwili znalazł mu z okna kamienicy poglądać w rynek mistrz.

— Spalenie czarnoksiężnika, którym ty jesteś, rzekł, przyspieszono, patrzaj co się dzieć będzie.

Widział Maciek na własne oczy swoje, siebie drugiego, swoją postać, Maćka, wiedzonego na śmierć; czuł się ocalonym i bezpiecznym, nie pojmował tego i płakał nad tamtą swoją postacią, patrząc na smutną jej minę. Chciał pytać o wytłumaczenie mistrza, lecz nie śmiał. Tłum wielki ludu szedł za skazanym, patrząc na męczeńską śmierć jego. Mistrz także z Maćkiem prawdziwym stał i patrzył. Wwiedziono Maćka na stos, przywiązano do pala, podłożono ogień; aż gdy już buchnął i płomienie objęły stos, postać Maćka zmieniła się nagle w kul słomy. Lud ujrzawszy to dziwo, uciekać począł żegnając się — zerwał się wicher, rozniósł stos po miasteczku, płonąć zaczęły domy, a gdy Twardowski z Maćkiem uciekali, za nimi świeciła czerwona łuna płonącej mieściny i słychać było słabnące coraz krzyki w oddaleniu.

— Pamiętaj-że na co przysięgłeś, rzekł mistrz do Maćka, bo teraz znowu powrócim do Krakowa.

Koniec tomu pierwszego.



ZBIÓR POWIEŚCI
J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

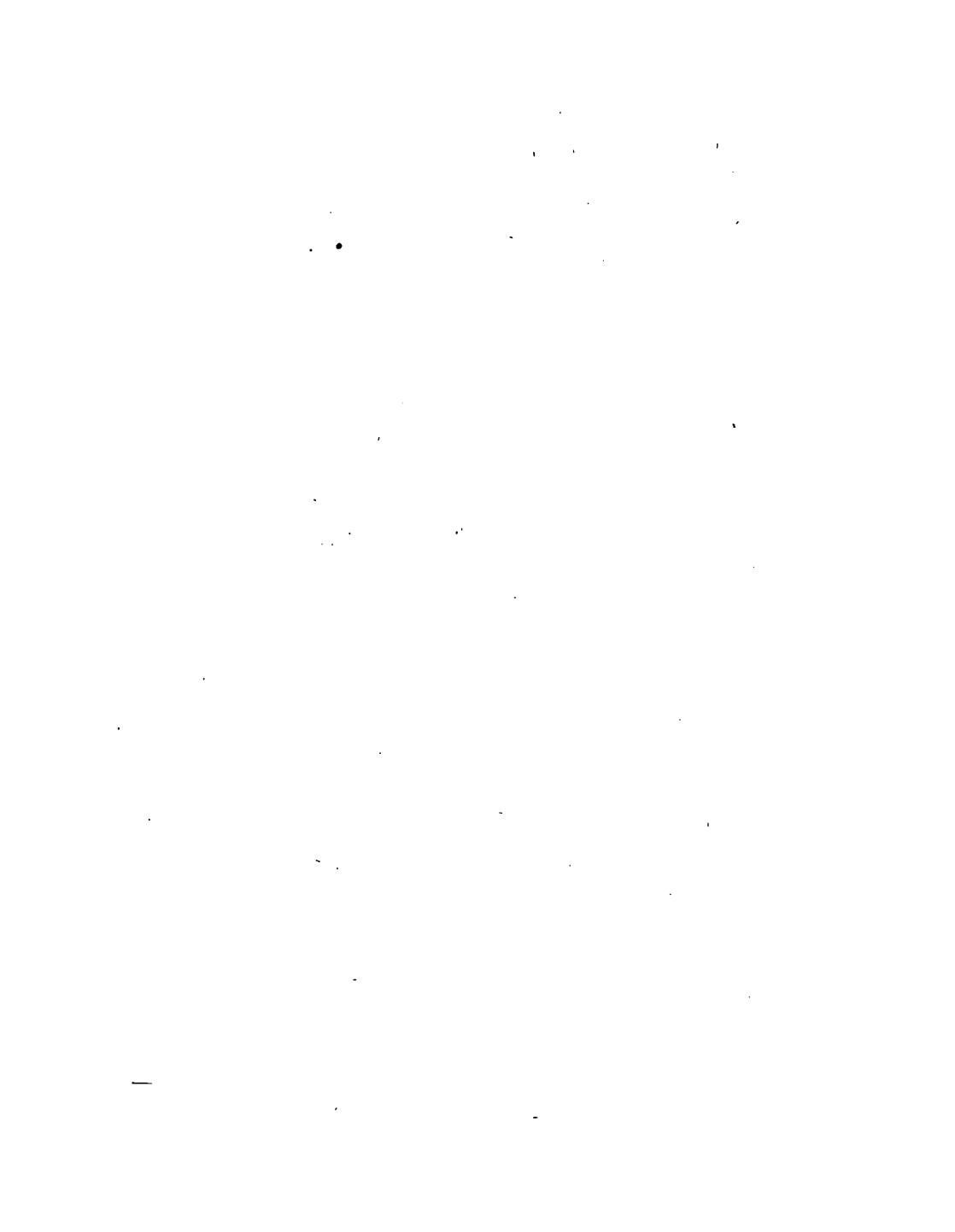
Ogólnego zbioru tom sześćdziesiąty trzeci.



ZBIÓR POWIEŚCI
J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom sześćdziesiąty trzeci.



SKICHI OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

MISTRZ

TWARDOWSKI

POWIEŚĆ

Z PODAŃ GMINNYCH

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Autora.

Tom II.

LWÓW.

**W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 10.**

1874.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glöckberga.

**Nakładem Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.**

ROZDZIAŁ I.

Jako Twardowski chciał użyć świata.

Znowu nasz mistrz siedział w swojej izbie w Krakowie, i znowu jak niegdyś na Krzemionkach, dręczyły go dziwne myśli i żądze. Czuł znowu że mu wiele brakło do szczęścia.

— Wszakże, mówił do siebie, mam naukę, której tak gorąco pragnąłem i władzę w rękę wielką — czegoż brak mi jeszcze?

I ze śmiałością mędrca, który się nie lęka zbadać głębi swojej duszy, Twardowski patrzył w nią, jak lekarz, który patrzy na chorego jęczącego od bólów, na pozór widocznej nie mających przyczyny, a pragnie dojść siedliska choroby.

— Coż mi jest? myślał: Nie mam-że władzy i nauki? Jest że jakie szczęście na świecie, któreby przechodziło szczęście pochodzące z uczucia niezmierniej władzy i pojęcia otaczającego świata?

A szatan niewidzialny szeptał mu w ucho:

— Jest jeszcze inne szczęście, którego ty nie doznałeś. Znasz świat i możesz wiele, ale nie *użyłeś* niczego.

Na tę myśl, która jak błyskawica przesunęła się po jego głowie, wstrząsł się mistrz, bo to była *myśl-matka*, z której całe pasmo nowych dla niego wyobrażeń o życiu wysnuć się miało.

— Potrzebaż, mówił do siebie — potrzebaż koniecznie użyć, żeby być szczęśliwym, jak bestja, jak zwierze, jak ten tłum, co nie pojmują świata, używa go jednak i — stęka. Nie lepiej — że *pojąć* wszystko, a niczego nie tknąć, nie wmieszać się w tłum, nie skalać się, stać wyżej wszystkich rozkoszy, które człowieka

niewolnikiem ziemi i ciała i świata czynią? Potrzebał koniecznie, abym ja, wyższy od ludzi nauką i władzą, zrównał się z nimi *użyciem* świata, zniżył się jak oni, do napicia z brudnej kałuży?

— Któż mię zapewni, że potem będzie mi dosyć? Któż mię zapewni, że raz puściwszy cugle, wstrzymam się i nie zapragnę wypić tej czary aż do mętów i gorczy, leżących na dnie?

— Warte - li te rozkosze, abym się zniżył do nich? Toć to jest, albo nie, co w istocie dręczy mnie i niepokoi?

I myślał, i patrzył, i przekonywał się mimowoli, że próbując szczęścia ziemskiego, zostawało mu jeszcze spróbować użycia świata.

— Ha, rzekł do siebie, nie trudno mi będzie użyć świata! — I śmiech szyderski rozległ się w tej chwili tuż obok. Był to głos szatana.

— Ty tu znowu, szatanie?

— Zawsze, mistrzu! Słucham ciekawej rozmowy twojej duszy z ciałem i śmieję się słysząc to dumne: nie trudno mi będzie użyć świata.

— Jest-li to śmieszne? z czegoż się śmiałeś tak głośno?

— Bo ci ta myśl przyszła właśnie w porę, jaką przepowiedziałem. Spójrzij na siebie. Jesteś złamany nauką i pracą, myślami, niepokojem; duszą, która się w tobie jak lew w klatce uwięziony bije i tłucze. Twoje włosy, nie z wieku lecz z pracy opadają z głowy jak dojrzały owoc, więdną, schną i siwieją, twoje oczy opasały się czerwoną obręczą, tem piętnem mozołu lub rozpusty; twarz ci zapadła i zmarszczyła się jak pergamin stary, ciało nabrało zgięcia jak łuk, który, choć mu stronę odpuszczają, chyli się z nałogu. Przywykłeś i przyrośłeś do twej ciszy naukowej, znasz księgi, ale znasz-że ludzi, znasz-że ty kobiety, bez których użyć świata nie potrafisz? Czy potrafisz dać sobie radę ze światem, mędrze, coś go tak głęboko zbadał? Ja jestem pewny, że pierwsze dziewczę wiejskie w pole by cię, w praktycznym życiu, wywiadło.

Z kolei Twardowski, pewien siebie, zaczął się śmiać głośno.

— Najlepszy śmiech ostatni, rzekł djabeł podtuliwszy ogona, zobaczymy kto się w końcu rozśmieje, zobaczymy! Ale mistrzu, przestrzegam cię, że znać świat jak mędrzec, i znać go jak ten co go używa, wcale to co innego. Weź kwiat; powiesz mi mądrze wszystkimi języki świata jego nazwiska i własności lekarskie, ukryte w nim siły; ale czy spleciesz go w kształtny wieniec jak prosta dziewczyna, czy potrafisz go przyprowadzić jak kuchmistrz, lub prosta kucharka?

— Jak z tym kwiatem, tak ze światem, mój mistrzu; inaczej patrzy mędrzec który bada, inaczej człowiek który używa.

— Alboż sztuką użycie, kiedy tyle głupców to czyni nie zastanawiając się nawet.

— Głupców! zapewne — rzekł szatan, ale ci głupcy są *w tem* mądrzy; całe życie świecąc ciału i użyciu świata jak zwierzęta, już dobrze wiedzą co czynią. Zobacysz mistrzu, że ci za późno przyszła ta myśl, którą ci dawniej podawałem. Bo żyć na świecie a nie użyć go, choćby jak głupcy i zwierzęta, jest to jeszcze nie znać i świata i siebie z jednej strony.

— Alboż to tych tajemnic, rzekł mistrz, siłą rozumu domyśleć się, przeczuć ich i instynktowo w nie się wcielić nie można?

— Wszystko to dobre w książce — teorje — a od teorji do praktyki tak daleko, że chyba nieroztropny człowiek mógł wymyśleć poczynanie życia i nauki od teorji. Jest to naumyślne psucie i zwichnienie siebie, gdy kto rozumuje nad działaniem, nad życiem, wprzód niż działa i żyje. Za teorją służy człowiekowi instynkt przyrodzony, wszelka inna śmieszna i nieużyteczna, może szkodliwa.

— Paradoksa! odpowiedział Twardowski; zresztą, zobaczymy!

Szatan uśmiechnął się i zniknął, a Twardowski znowu padł w swoich myśli objęcie. Gniewało go nie pomału to ciągle szpiegostwo szatana, i ciszej jeszcze,

ostrożniej, snuł myśli swoje w głębi duszy, nie otwierając ust nawet.

W skutek tych rozmyślań i rozumowań wypadło, że mistrz żałować potroszę zaczął lat swoich młodocianych straconych na nauce. Djabeł dawno wiedział że tak być w końcu musi.

— Co na tem zyskałem? myślał. — Trochę sławy. Któż nie wie co to sława? Jest to zapach, który dziś rozchodzi się w powietrzu, a jutro ginie pomieszany ze smrodnym jakim wzywem. Co mi z tej sławy kiedy, i ona nie zaspokaja duszy, kiedy i tej mało mi jeszcze. Najgłupszy z ludzi szczęśliwszy jest w objęciach kobiety, niż ja w moim wieńcu. Szkoda tamtych chwil, szkoda, bo całe mojego życia siły, najjaśniejsze dni, przeznaczone do użycia świata, zeszyły na ciężkim znoju, a w zapłacie zostawiły mi sterane zdrowie, wspomnienie płowe i blade, i sławę, śmieszne słowo, wynalezione dla omamienia ludzi na ich ogłupienie. Rodzaj fałszywej monety, za którą niby wszystko mieć można, a której nikt nie przyjmuje. Religja sławy jest najdziwniejszą z przyjętych przez ludzi wiar; każda religja płaci czemś za wiarę, obietnicą nagrody — sława niczem, gorzej niż niczem, bo odurzeniem. Cóż to sława? Ze mnie pokazują palcami, że o mnie szepeczą głupcy? że się na mnie patrzą gdy idę? A jednak iluż to jest takich, którzy mnie i imienia mego nie znają, iluż tu jeszcze nie myśli i nie mówi o mnie? — Na jedno wspomnienie ludzi, ileż to zapomnienia! Dla tak nędznej zapłaty, wartoż ofiar tyle?

I Twardowski tak myśląc a narzekając, wzdychał nad straconem życiem, nową sobie wcale przyszłość rysując. — Postanowił iść inną drogą i spróbować użyć wszystkiego. Nie wątpił on, że wszystko ku niemu się nagnie, że go świat w miłośne chwyci objęcie i różane wyściele mu łożę. Ale się omylił mocno, sądząc że można począć używać świata, gdy się użyło i *sużyło* na nauce i pracy lata młode.

Rzucił więc księgi w kąć i wyszedł w ten świat, aby go obejrzeć okiem żądry, jak go wprzód oglądał

okiem mądrości i wiedzy. Całkiem to inne było spojrzenie, które mu nieznany jeszcze, nieprzeczuty nawet, nowy świat odkryło. Oko mędrca skielet tylko świata, oko kochanka życie, ruch i duszę widzi. Każdy przedmiot inaczej mu się teraz wydawał, we wszystkim szukał on użytku i rozkoszy, pokazała mu się więc strona świata rozkoszna i piękna, ale z nią razem przyszło uczucie wewnętrzne, mówiąc mu, że nie miał organów na użycie świata. Wszystkie pięć zmysłów jego niewprawnych, niewyuczonych, stępiących męcząc, wyrwały się bezsilnie, podrażnione, jak paraliż do skoków. Smutny to był stan i smutne myśli i żale przeszłości.

Widział kobiety-aniły, do których się nigdy nie zbliżył; a czuł on że one nie mogły go kochać. Bo miłość nie jest nigdy tak bezinteresowną na świecie naszym, aby dając wszystko nic nie brała. On zaś cóż jej mógł dać? Ciało bez wdzięku — serce bez siły i ognia — zagaste oczy, żądze wielkie, ale nieusprawiedliwione młodością i bez tłumaczy. Widział nie raz kobietę-aniola, na którą patrząc duma się o niebie, a czuł że nie mógł ulecieć z nią do nieba, które mu przypominała, jedną nogą do piekieł już będąc przykuty. Widział kobietę-rozkosz, z usty stworzonemi do pocałunku, z lubieżną piersią, z pałającym wzrokiem. Lecz i ta mogłaż być dla niego? Cóż dla niej mógł znaczyć chudy, bezsilny, zużyty nad księgami mędrzec? — chyba gorzką na poranek zgryzotę. Zgryzoty i miłość gdy się raz spotkają, miłość musi uciekać prędko.

Widział młodziuchne dziewczęta, których wejrzenie wzbudza myśli o raju niewinności i miłości pierwszej. Lecz gdzież był węzeł współczucia między nim a niemmi? Widział dojrzałe dziewczę, co śmiało w świat patrzy, bo czują że mu są potrzebne, konieczne jak chleb, lecz ich nadzieje z jego zimną mądrością nie umiały się pogodzić.

Widział jeszcze te dziwne zjawiska kobiety, wpół-więdłe, już na łodydze, w tym wieku, który młodość zamyka, a jeszcze nie zaczyna starości; widział je okiem

żądzy, bo ma swój powab także tych lat kobieta; ale kobieta taka nie wybierze wywiedłego nad księgami, łysego i uczonego do pary; jej potrzeba jak Dawidowi odświeżyć się, odżywić, tchnieniem młodem, przypominającym jej lata, o których z rozpaczny myśleć nie śmie i nie może.

Widział Twardowski szczęście bogaczy, ów przepych, wytwory, owo życie sybarytów i neronowskiego Rzymu, życie w miękkości, w rozkoszy, w poszukiwaniu przyjemnostek i wszelkiego rodzaju wygod, widział te pieczęty ciała, chciał być użyć ich; lecz zmysły jego nie były przygotowane do takiego szczęścia, do którego z kolebki losy kotyszą człowieka, lub umyślnie na to go stwarzają.

Widział zastawne wytwornemi jadły i napojami stoły, lecz chociaż czuł rozkosz podniebienia, łechtanego i zaspokajanego, w myśli, choć pojmował to bardzo, on, co dotąd jadł tylko aby żyć, czuł że nie potrafi w całej rozciągłości nauczyć się użycia tej rozkoszy.

Tak przechodziły mu przed oczyma wszystkie świata rozkosze kolejno, a każda, mijając go, plwała mu w twarz i wołała:

— Idź stary i zużyty człowiecze, nakryj się dziurawym płaszczem dumnej twojej nauki, i żyj z mólami twoich książek; jesteś za stary.

Tak powoli przekonał się Twardowski, że opuścił chwilę dogodną użycia świata, że prawda była przy djable, a przy nim został żal tylko; przekonał się że trzeba było młodych zmysłów i serca i nieużytych w ciągłej walce sił, aby się nasycać; przekonał się że gdy połowa jedna upajała się, druga konać musiała z próżnego pragnienia. On należał do tej drugiej połowy.

Smutny, ze spuszczoną głową, poglądał i myślał.

— Nie ma już nic dla mnie? nic-że mi nie pozostało? Niemasz-li sposobu, ratunku? Dałem duszę djabłu za szczęście, alem się omylił w wyborze szczęścia — obłąkała mnie nauka. Pozostaneż tak niez-

spokojony po użyciu świata ciałem, jakem pozostał używszy go i zbadawszy myślą? Wielkie pytanie! Życie byłoby tylko gorzkim żartem z nas biednych???

Pierwszy to raz Twardowski zchodził do takich myśli i czuł się upoko zony, a naówczas, jakby mimowolnie, przyszły mu do głowy chwile wiary i młodości, daleko już za nim siniejące w oddaleniu; przyszło mu na myśl życie jego niewinne, słodkie, ucznia i dziecięcia, mimowoli uczuł, że *to tylko* była chwila szczęścia, bo to był wiek nadziei.

— Wiec *nic* tu nie ma, tylko *nadsieja* wszystkiego? myślał. Nadzieja, i najmądrzejszy kto robi sobie nadzieje, a niemi żyć umie, nie tykając i nie pragnąc rzeczywistości — wreszcie, mam i ja nadzieję jeszcze, nadzieję użycia świata; będę nią żył, czekając lepszego.

ROZDZIAŁ II.

Jako Twardowski kochał i pożądał swojej młodości.

Jeden z wielce uczonych profesorów, medyków Akademji, będąc przypadkiem żonaty, miał sliczną córkę, może także przypadkiem. Imię jej było Hanna, twarz jej anielska! Wyobraźcie sobie blade oblicze, jakby anioła na obrazie, złote włosy, wejrzenie omdlałe czarnego przytem oka, wejrzenie, które każe myśleć o niebie. Na ustach dziewczyny panował figlarny uśmiech młodości, co nie zna jutra, we wszystko wierzy, w siebie, w szczęście, w ludzi, w cnotę, nie rozumie egoizmu, pojmuje poświęcenie i przeczuwa już cenę jego w życiu.

Taka to była Hanna, którą Twardowski wybrał za kochankę. Głupi starzec, myślał że się z nią zgodzić potrafi, że on ją a ona jego pojmie, kiedy ich rozgrządzał cały świat różnicy, całe morze rozdziału, całe wieki.

Piękna Hanna, co tak mocno czuła serce w sobie, gdy ją spotkał młodzieniec, gdy zdala spojrział na nią rumieniać się i mówił do niej wymownym językiem młodości — oczyma: ja cię kocham; piękna Hanna odskoczyła zdziwiona gdy się mędrzec zbliżył do niej, woniejący zbutwiałemi księgami, przesiąknięty nauką, dumny sławą, zimny, mądry, suchy, błady i pomarszczony. Myślała jednak że to był przypadek. Lecz gdy raz i drugi i trzeci zbliżył się do niej, gdy już wątpić nie mogła, lękać się zaczęła i myślała:

— Toż to mój przeznaczony?

Bo wiadome przysłowie naszego ludu — że Bóg dziewczce męża, chłopcu żonę przynajmniej — a obojemu śmierć — i prawda!

Nie zrażał się oziębłością Hanny mędrzec, choć mu było smutno, że ta miłość, którą mógł lada gaszek obudzić, spała w sercu dziewczyny na widok jego. Nawczas dopiero postrzegł, że mądrość jego nie była zupełna, bo ten jest tylko mądry wedle świata, kto zna świat ciałem, nauką i sercem, użył go, pojął i uczuł. Twardowski znał świat tylko jednym zmysłem niejako.

Tymczasem szedł dalej — nie tracąc jeszcze nadziei, że się podobać potrafi. Dosiadywał uparcie przy pięknej Hannie, ale napróżno. Wielkimi oczyma patrzyła na niego, a głośną sławę jego czytając z pomarszczonego czoła, zdumiewała mu się, dziwiła, kochać jednak nie mogła. Nie śmiał także Twardowski inaczej swej miłości, tylko zagasłymi oczyma okazywać, tak czuł całą śmieszność swojego położenia. A jednak ufał w siebie. To już było proste osłepienie egoizmu. Uwodził się mistrz, jak wszyscy zakochani uwodzą, mówiąc sobie:

— Może jutro, może kiedyś.

I odchodził bez nadziei i powracał znowu; jutro jednak spodziewane daleko było, a Hanna coraz zimniejsza i bardziej przelekniona, bo się lękała aby ją ojciec za suchego i nudnego mędrca nie wydał, okazywać mu zaczęła wstępt, oziębłość; i wprzódy poufała jak dziecię, rozmyśliwszy się głęboko o ile mogła, usteczka różowe skrzywiła, czoło białe zmarszczyła, milcząc niespokojna lub na wszystko trzęsąc tylko głową.

Twardowski siedział jednakże przy niej, co dzień się zbierał mówić jej o miłości, i co dzień do jutra odkładał; tak mu się to zawsze równie śmiesznem, trudnem, niewczesnem zdawało.

Nareście, gdy rozogniony przy niej odezwał się z jakimś strzelistym oświadczeniem, piękna Hanna rozśmiała mu się w oczy, prosiła go bardzo żeby z niej nie żartował, a potem zostawując mu pomieszenie i wstyd — uciekła. Twardowski odszedł pełen złości i gniewu, klnąc wszystkie kobiety w powszechności i każdą z osobna, odszedł do siebie, zamknął się i du-

mał, czyliby nie dać miłośnego napoju upartej niewieście, aby go gwałtem pokochała, albo nie użyć którego z tych tysiąca sposobów, które tak łatwo drugim podawał. Lecz jeszcze za mało i za chłodno kochał ją, żeby się miał rzucić do takiego sposobu; chodziło mu raczej o spróbowanie, czyli mógł wzbudzić miłość, i dla tego także niezem sobie dopomagać nie chciał, wszystko chciał być winien sobie. Widząc że z Hanną ciężka bardzo sprawa, porzucił ją bez żalu wielkiego, albowiem miłość jego była w głowie nie w sercu, a z głowy łatwo ją wypędzić.

Myślał potem, nadto była Hanna młodą. Szukał więc dojrzałszej niewiasty.

Łatwo ją znalazł. Była to córka burmistrza i rajcy krakowskiego Wejgla, mniej daleko piękna od Hanny, ale rozumniejsza od niej i dobrze od tamtej starsza, dwadzieścia kilka lat bowiem przyznawano jej urzędownie, a według wszelkiego podobieństwa czułość rodzicielska choć trochę odkraść musiała, dla dziecka wygody i własnej może; bo p. burmistrzowa rada też była za niezwiądną jeszcze uchodzić. Sądził Twardowski, że ta lepiej go oceni i przyjmie; omylił się grubo. Starsza była doświadczona, śmielsza, a że się koło niej (to jest talarów ojcowskich) wiele młodzieży zwijało, odpowiedziała mistrzowi od razu całą prawdę.

— Waszmość o tem już nie myślcie, jakby sobie serce niewiasty pozyskać, minął ten wiek. Nie umiesz waszmość szablonkować z kobietą, zestarzałeś się na księgach i myśleniu, ożeniłeś się z mądrością, nie idźże darmo do niewiast. A potem, sami powiedźcie, nie śmiesznież by to było, żebyś waszmość kochał i chodził za podwiką jak mlókos?

Gorzka to była prawda, której Twardowski i słuchać nawet nie chciał. Uciekł więc prędko od Wejglówniej, pomyślawszy:

— Rajca bogaty, złem się udał — uboga będzie pokorniejsza, ta ma złotem swoim nabitą głowę.

Ale i ubogiej nie chciało się także mistrza, bo i ubodzy umieją cenić ten kwiat jedyny na pustyni ży-

cia, który się zowie miłością. Jeśli nawet która udawała miłość, w nadziei że zyska co od niego, Twardowski widział, że pod tą błyszczącą zwierzchnią sukienką była inna podszewka.

Tak powoli próbując, tracił coraz nadzieję, i wreszcie powiedział sobie, że próżno było, gdy włos przyprósza siwizna, myśleć o gachostwie i niewiastach.

• Zaczem rzekł w sobie:

— Czas pomyśleć o odmłodnieniu, abym dokonawszy je, zaczął świata używać.

Zawołał zaraz do izby Maćka, a zamknawszy ją, tak do niego mówił:

— Przysiągłeś mi, kiedym cię od pewnej śmierci wybawił, że mnie we wszystkim słuchać będziesz, co ci rozkażę — pamiętasz-li to?

— O! pamiętam i dotrzymam! rzek Maciek składając ręce.

— Ponów mi tę przysięgę.

— Nie potrzeba ci tego mistrzu, dość jednej; ktoby jedną mógł złamać, złamałby dwie bez trudności.

— Zestarzałem się, rzekł po chwili mistrz, czuję że czas mi nabrać nowych sił i nowego życia w odmłodzeniu. Ufam ci i powierzę tobie moje ciało. Dam ci przepisy jak sobie z niem masz postąpić, niech się to dokona w najgłębszej tajemnicy — niech nikt się nie dowie sposobu jakiego użyjem. Sposób ten jest całkiem inny od tego, któren ci pokazałem wprzód, a którego ty tak nieszczęśliwie zachciałeś sam spróbować. Słuchaj i uważaj. Na tej karcie wypisane są szczegóły.

Dasz mi naprzód napój usypiający, na samym nowiu księżyca, poczem obmywszy ciało moje naleźycie, osmarujesz je maściami i zioły, które do tego są już zdawna przygotowane, a to w takim porządku, w jakim stoją słoiki na półce. Między każdym balsamowaniem ma upłynąć dzień, a po każdej maści obmyjesz ciało moje wodą z siedmiu krynic. Potem gdy wszystkie siedem maści wysmarujesz, obmywszy raz jeszcze ciało, włożysz je w przygotowaną cisową trumnę i pochowasz w ziemi świętej na smętarzu. Pilnuj zaś

żeby grobu człowiek chciwy albo zwierz nie odkopał, bo by po mnie było i po tobie Maćku także. Licz potem dni troskliwie, a gdy ubiegną trzy lata, siedem miesięcy i dni siedem, wyjmiesz przygotowanych na to siedem świec z trupiej tłustości i zapaliwszy je, odkopiesz ciało moje, które już będzie odmłodzone.

Skończywszy Twardowski, powtórzył to jeszcze Maćkowi raz i drugi i trzeci, kazał sobie powtórzyć kilka razy próbując czyli spamiętał, i spokojniejszy, jał jeszcze różne drobne przestrogi dawać względem obejścia się z ciałem. Zostawił prócz tego opis na piśmie dokładny lecz aby Maciek przez nieostrożność nie wydał tajemnicy komu, napisał pewnym sympatycznym atramentem, który za użyciem tylko wiadomych środków czytać się dawał. Obiecawszy wręczcie Maćkowi wielkie bardzo nagrody za dokładne wypełnienie przepisów, odważył się nie bez niespokojności oddać w jego ręce.

Maciek spełnił co przyrzekł najdokładniej.

ROZDZIAŁ III.

Jako Twardowski odmłodził i co potem uczynił.

A gdy spełniły się trzy lata i siedm miesięcy, przez który czas Maciek pilnie strzegł grobu mistrza, porastającego co dzień wyżej murawą i zielskiem, siódmego dnia po siódmym nowiu zapalił siedm świeczek z tłustości trupiej i poszedł na smętarz. Rozstawiwszy światło do koła, sam kopać zaczął, a po niemałej pracy usłyszał nareszcie motykę stukającą o wieko trumny. Tę gdy wyjął na ziemię i zamkniętą na klucz otworzył, z wielkiem podziwieniem swoim ujrzał Maciek, nie już odmłodzone ciało mistrza, jak się spodziewał, lecz drobne dzieciątko, żywe i zdrowe. Wziął je więc na ręce pocziwy sługa i zasypawszy dół ziemią, zaniósł do domu.

Myślał już starać się mamki temu nowemu obywatelowi świata, lecz że była noc, napiwszy je mlekiem tylko i utuliwszy w łóżku, sam znużony pracą spać się także położył.

Nowe i nie mniejsze podziwienie, gdy nazajutrz rano ujrzał, że dziecię samo już wstawało i chodziło, a choć jeszcze małe było jak półtoraroczne, widocznie jednak w oczach rośło. W ciągu siedmiu dni to dziecię stało się młodzieńcem, i dziwnym cudem był to, choć młody, ten sam jednak Twardowski. Też same rysy twarzy, też sama nauka, ten sam charakter, pamięć zupełna przeszłości, ale młode i czerstwe ciało, ale żywe namiętności i wielka żądza użycia świata.

Maciek się dziwił i milczał.

Dawni Twardowskiego znajomi poznali go, choć pod tą nową postacią, i to podobno najdziwniejszem ze wszystkiego było, bo wszyscy widzieli w nim wielką

zmianę, a tak oczy ich i serca otumaniał, że młodszym go oczewiście postrzegając wierzyli, jednak że był ten sam co wprzód.

Zabierało się na całkiem nowe życie.

Twardowski najął wielką kamienicę w rynku krakowskim, przyjął na jurgielt czeladź liczną, skupił bogate do domu obicią, naczynia srebrne i złote, napenił drogiemi winami piwnicę, stajnię kosztownemi koźmi, sprowadził z Niemiec złożone kolasy. Zapyłone księgi w kąć poszły.

Z zimnem przewidywaniem starca, a gorącą żądzą młodzieńca, sposobił się on do użycia świata, otaczając się naumyślnie wszystkim, co przez zmysły jakakolwiek rozkosz dać mogło. Bogactwu nie zabrakło przyjaciół. Ze stołu nie schodziły nigdy prawie pełne i kurzące się misy srebrne, roztruchany wina pełne. Gdy nie stawało pieniędzy, djabeł bryłami przynosił srebro z Olkusza. Już Maciek nawet biedny, patrząc na to, zazdrościł poczynał, a nowo zjawione bogactwa mistrza, kładnąc na karb odmłodzenia, począł myśleć, czyliby kogo tym samym sposobem nie potrafił odmłodzić, aby się z nim potem przyszłemi bogactwy podzielić.

Ale mistrz od czasu ostatniej nieszczęsnej Maćka próby ze starostą, miał na niego oko pilne, w chwili kiedy ta myśl już mu w głowie zakwitać poczynała, zawołał go jednego ranka do siebie, i jednym czarnoksiężkiem słowem zaklął go w pajaka.

Biedny Maciek uplątał sobie zaraz siatkę w oknie i na muchy czatować zaczął.

Tymczasem mistrz odmłodzony sposobił się jakeśmy powiedzieli do nowego życia. Dom jego już był jednym z najwytworniejszych w mieście, dwór nie tłumny, ale czeladź doborna, dorodna, pod jednostajną bogatą barwą. Wielcy panowie zazdrościli nawet jego bachmatów i fryzów, które pod wyszywanemi dywdykami chodziły, a których mistrz posiadał łatwo, albo je do bogatej kolasy zaprzęgał. Ściany jego mieszkania okrywały

obrazy, bogate rzeźby z słoniowej kości, kosztowne makaty. Stół jego był najwytworniejszy, i chyba może królewskiemu ustępował, zamorskie korzenie i przyprawy wozami szły na kuchnię. Wszystko to tak mu mało kosztowało, tak łatwo przychodziło, — *Chcę!* mówił tylko i miał — wszystko, co mieć można za pieniądze.

Nie dziw że patrząc na te zbytki ludzie szeptali, iż w tem była diabła sprawa. I nie mylili się, bo djabł widząc go na dobrej drodze, szczerze dopomagał do zbytkownego, sybaryckiego, cielesnego życia.

Wśród takiego zbytku oddania się życiu miękkiemu, rozkoszom, zabawom, roztargnieniom świata, wśród tego zapomnienia o dawnym celu swoim, Twardowski jednak, ilekroć się spotkał z jakim znajomym akademikiem krakowskim, nie odbiegał dysputacji, i zawsze równy sobie, z jednaką mocą umiał w naukowych przedmiotach rozprawiać, niepokonany w dysputacie, niewyciężony w argumentach. — Pierwsze wyrzeczone słowo wyciągało z jego duszy cały szereg myśli, rozumowań, domysłów, cytacyj, które sypał jak z worka.

Jednakże to wszystko zostawało za nim, tak jak przeszłość, której wprawdzie nie zapomniął ze wszystkim, ale którą już skończył, i zamknął wrota jej za sobą. Czuć już w nim było więcej światowego niż uczonego człowieka. Z ludźmi próżnemi, którzy o kobiecie, koniu i kielichu mówić tylko umieją z uczuciem i wiadomością rzeczy zupełną, Twardowski nie dawał nawet czuć że znał coś więcej i coś ważniejszego nad to, co ich wyłącznie zajmowało. Dziwili się pufali przyjaciele jego i współbiesiadnicy, z tej kategorii nieuków światowych, że tak z mądrości stawiono tego, który nigdy zwyczajem niedowarzonych mędrków nie wnosił rozmowy uczonej przy nich. On bowiem jak głupi pedant nie mieszał w rozmowę lekką stołową gęstej czkawki uczonej, tak nudnej dla ludzi światowych. Umiał, choćby dochodziły rozmowy uczonej granicy, nie tknąć jej nigdy przy profanach, umiał na

pozór skorupę tylko przedmiotów widzieć, i umysł swój doskonale nagiął do potrzeb i pojęć tych, z którymi obcował. W tem była prawdziwa jego wyższość i najpotężniejszy skutek odmłodzenia — miał bowiem teraz dwie twarze i dwie postacie. Zachował starą swoją naukę dla mędrców, a młody, młodością swoją nadany pozyskał nowy charakter światowego człowieka. Sława jego teraz stała się też dwutwarzą jak był charakter. Jedni sławili w nim bogatego człowieka umiającego żyć dobrze, drudzy niezwykłego i nieporównanego mędrca. Twardowski nie porzucił nawet i nie zaniechał praktyki doktorskiej, która do niego mnóstwo ludu ściągała i wielkie mu pieniądze przynosiła zyski.

Stał się więc u pospólstwa dziwowiskiem, o którym najsprzeczniesze rozsiewano wieści, najdziwaczniejsze bajki — każdy bowiem inaczej go i po swojemu cenil i chwalił.

Spotkał się młody chłopak hulaka, zwykły gość za stołem mistrza, z poważnym akademikiem, zwykłym jego rozpraw uczonych słuchaczem.

— Co to za wyborny, przyjacielski człowiek, mówił młody, jaki wesoły, jak żyje wspaniale, jakie ma wina i kuchnią.

A drugi mu przerywał, mówiąc:

— Co to za mędrzec, co za niezrównany filozof! Musieli się potem wzajemnie pytać siebie.

— O kim-że to waszmość mówicie?

— O mistrzu Twardowskim, wielkiem świetle akademji krakowskiej, *almae matris*, która go na świat wydała.

— A ja o Twardowskim, bogatym lekarzu, który tak żyje wspaniale i zawsze ma stół otwarty. Jest-li to ten sam?

— Niechybnie ten sam; bo nie ma dwóch Twardowskich na świecie.

Jego więc imię miało dwie sławy tak oddzielne, w dwóch odmiennych całkiem towarzystwa sferach, że one prawie dwie oddzielne osoby wystawiały, a pewnie dwóm osobno byłyby dostatecznie wystarczyły.

Mimo żądy, z jaką Twardowski chciał użyć świata, jeszcze go był ledwie z jednej strony dotknął. Towarzystwo młodych ludzi, ciągle ucztowanie, wesole zabawy, paradowanie po mieście, nie stanowiły użycia świata zupełnego; bo któż, co nie znał miłości kobiety, a raczej kilku i więcej kobiet różnych miłości, może powiedzieć, że świata użył? W rozumieniu też Twardowskiego, najgłówniej mu nie dostawało do tego życia miłości; nie mógł się teraz tylko na wybór i początek zdecydować. Trudny był wybór i kiedy teraz był młodym, kiedy za nim latały wejrzenia, wabiły słowa, nęciły uśmiechy — on był zimniejszy, chciał żeby szła, w którego objęcia miał oddać siebie, swą duszę i rozum, godzien był tej ofiary przynajmniej.

Teraz już ani piękna Hanna, ani Wejglówna, ani żadna z dawniej znanych, które nim pogardziły, a teraz byłyby mile i chętnie przyjęły zaloty, nie zyskały ani nawet spojrzenia. Mijał je wesolo się śmiejąc, udając że nie poznaje, albo zuchwale im się przypatrując, z szyderskiem natężeniem wzroku.

Twardowski marzył sobie na początek dziewicę czystą i niewinną jak słońce — takiej u nóg chciał złożyć pierwszą swego życia miłość. Chciał znaleźć w przyszłej kochance wszystkie doskonałości, aby je swej dumie poświęcić, chciał doskonałych wdzięków ciała, usposobień umysłu niepospolitych, nareszcie pewnego położenia w świecie, rodu. Ktoby się tego spodziewał! Tak jednak było! Wieśniaczka, mieszcza nie byłyby go zaspokoila; chciał czegoś wyższego, pręczuwając dopiero teraz, że ród i wychowanie wielce od siebie kobiety różni; że wdzięki prostej wieśniaczki, bez tej szaty, jaką je okrywa dostatek i wykształcenie, są tylko kawałkiem pięknego mięsa.

§ Szukał Twardowski.

Tymczasem któż wie co się działo w nocy? Nieraz widziano koło jego kamienicy przebiegające piękną Strelimussę, sławną miłośnicę Reginkę i wiele innych podobnych. Młodzież nieraz na wieczorne uczty do niego wiodła z sobą swoje jednodniowe kochanki. Twardow-

ski nie opierał się temu wcale; nim miał poznać wielką miłość do której się sposobił i gotował w duchu, próbował tej łatwej miłości zwierzęcej; bo i ta ma swoje roskosze, gdy więcej ciało niż dusza miłości pragnie, w chwilach, gdy zwierzem bardziej niż człowiekiem jest człowiek.

Często sam jeden puszczał się Twardowski szukać przedmiotu swojej projektowanej miłości, o której dżiwie w przyszłości marzył. Czuł on coraz bardziej, że go jednogodzinne miłości nie zaspokoją, że potrzeba mu wielkiej passji, któraby po nim przeszła jak hebel po szorstkiej i najerzonej tarcicy. Ale nic go tak w żadnej nie uderzało dziewicy, aby jej nad inne pożądał, ażeby czuł się dla niej gotowym do długich i wielkich ofiar, do nadzwyczajnych starań i poświęceń. Nie znalazł żadnej, za którąby poszedł wiedziony na nitce, posłuszny jak dziecko — i to go martwiło razem i zastanawiało.

— Jest-li co we mnie, przez co w każdej z nich postrzegam wady i plamy, a dla żadnej nie mogę czuć tej wielkiej miłości, o której marzę, na którą się zbieram, której do życia potrzebuję? Jest-li to zbytek mojej nauki i odczarowujący jej skutek? Albo czyli w istocie nic jeszcze godnego siebie nie spotkałem? Może — i może? bo któż tak zna siebie, żeby za wszystko co się z nim dzieje mógł przysiądz?

Wielki mędrzec przykrzył sobie jednakże, iż owa miłość spodziewana nie przychodziła. Ale gdzież jej w istocie szukał? po ulicach, po rynkach i po domach zepsutych ciągłym przebywaniem dworu krakowskich mieszczan, gdzie same zalotnice zabiegały mu drogę, wdzięcząc się i uśmiechając. Twardowski nie tego potrzebował, i choć pięknej kobiety uśmiech przyjmował *tym czasem i tym czasem*, udawał miłość, szukał jednakże, gdzieby się z niezaspokojenymi żądzami udać.

Tak to było po odmłodzeniu.

Maciek tymczasem przadł siatkę swoją w oknie i czatował na muchy, biedny sługa.

ROZDZIAŁ IV.

Jako Twardowski pana wojewodę wskrzesił, i kogo tam widział?

Był to wieczór grudniowy, niebo wypogodzone, jasne, błyszczące, przymrozek biały leżał po dachach kamienic. Z kominów wywijają się prosto w niebo jak długie sznury' czarne dymy. W oknach tam i sam świeciły i migają światełka. Cicho było w ulicach Krakowa, tylko piosi jacyś ludzie wracali śpiewając z gospod i karczem i domów — Na ratuszu dzwoniło gaszenie ogniów (których jednak nikt gasić nie myślał i tylko okiennice przymykano) — straż nocna wychodziła z Wachthauzu, a od zamku wrzawno, pędziły kolasy i poczty panów do gospod w mieście.

Po winiarniach, karczmach i łaźniach opóźnieni opilecy szumieli jeszcze, a gdzieniegdzie rzesistszei z okien bijące światła dowodziły, że tam biesiadowano. Słudzy w przysionkach i roztwartych sieniach leżąc na ziemi grali w kości, inni trzymali konie luźne, inni pochodnie. Tak właśnie było i przed mieszkaniem mistrza, a w mieszkaniu także szumiąca biesiada wesola.

W wielkiej izbie trzaskający ogień płonął na ogromnym marmurem wykładanym kominie. Wzdłuż tej sali w pośrodku stał stół dębowy, do koła jego ławy usłane kobiercami wschodnimi. Stół zasłany był spadającym do ziemi szytym we wzory obrusem. Na nim kurzyły się misy srebrne, z potrawy korzennemi, polewkami. — Było to pierwsze dopiero danie; ledwie jeszcze poczynając, piwo roznosić i w kubki rozlewać

słudzy mieli. Gospodarz siedział w końcu stoła podparty na rękę, z uśmiechem gościnnym i uprzejmym zapraszał gości swoich do jadła.

Twarze i postacie które stół otaczały, nie były z dawnych poważnych znajomości mistrza, przeciwnie, były to tylko ożywione młodociane fizjonomie, stroje wykwintne, wąsy do góry, oczy błyszczące, usta rumiane. Żwawo wiązała się i krzyżowała pomieszana ze śmiechami rozmowa o kobietach, o koniach, o wojnie, o winie, o swawoli, Bóg wie o czem jeszcze — ani słówka o księgach. Mistrz mięszał się czasem do rozmawiających, z szyderskimi po większej części żartami, które pasibrzuchy głośnym śmiechem potakującym przyjmowali.

Gdy tak wesoło gwarzą i jedzą i piją i biesiadują, po wschodach słyhać chód prędki śpieszącego się człowieka. Wszyscy umilkli.

Twardowski dosłyszawszy tego, podnosząc głowę, rzekł z cicha:

— Któż to jeszcze do nas przybywa tak późno, czy nie ten wieczny maruda p. Jacek?

Ale nie był to ów stary Jacek, który pozjadał zęby smaląc cholewki do młodych dziewcząt i zawsze się chwalić musiał przed wszystkimi niesłychanem swem szczęściem do kobiet; był to zdyszany pacholek czy dworzanin jakiegoś pana, który wpadł po chwili na salę i ogromnym a zdyszany głosem zawołał.

— Mój pan umiera!

— Wieczne mu odpocznienie! odpowiedziało kilku biesiadników ze śmiechem młodym i potężnym.

— Któż tam taki? spytał po chwili zimno Twardowski — jak śmiesz nie opowiedziawszy się przerywać biesiadę?

— Mój pan! wojewoda! wojewoda umiera! powtórzył sługus z rosnącą niecierpliwością, mocno przekonany, że na imię wojewody wszyscy twarzami upadną.

— Choćby stu wojewodów, rzekł znowu któryś biesiadnik — wieczne im odpocznienie — a ty idź sobie

precz ze swoją śmiercią, którą nam do kielicha rzucasz, niezgrabny.

Wszyscy się śmieli znowu.

— Jest tu doktor Twardowski? ja po niego jestem przysłany; rzekł sługa zmieszany.

— Wiedz waść, odparł jakiś młokos, odwracając się na ławie, że Twardowski nie przerwie sobie biesiady, żeby ocalić życie takiemu wicherzycielowi jak twój wojewoda, którego ciało i dusza razem kielicha dobrego wina nie warte.

— Zapewne, zapewne! zawołali wszyscy, nie radzi przerwaniam biesady, któraby obumarała bez gospodarza.

— Ale pan wojewoda obiecuje tysiąc florenów złotych, jeśli go mistrz zastanie tylko pośpieszywszy przy życiu, jeśli umarłego to pięćset, jeśli go ocalić potrafi, dwa tysiące.

Na to wszyscy jakby uderzeni po głowach umilkli, a Twardowski odwrócił się nieco.

— Mamże jechać moi mili goście? spytał.

Trzeba wiedzieć, że tak znaczna na owe czasy obiecana suma wszystkich dziwiła, a Twardowskiemu chodziło bardzo o to, ażeby swojej zamożności, inne źródło, nie kieszeń djabła pokazał. Nie tak więc dla pieniędzy, jak raczej dla oka, myślał że wypadnie pojechać i spytał o to swoich gości.

Goście milczeli i spoglądali jeden na drugiego. Żal im było ucztę rozerwanej; nie jeden zazdrościł mistrzowi tak wielkiej sumy, którą tak łatwo mógł nabyć; nareście jeden po cichu szepnął:

— Gdybym to ja był na waszmości miejscu, pojechałbym niezawodnie.

— I ja! rzekł drugi z innej strony.

Miał ochotę odpowiedzieć im mistrz jak Aleksander Wielki, ale po chwili namysłu zawołał, podnosząc się:

— Bawcież się tu u mnie moi mili, a ja pojedę. Pan Mateusz zajmie miejsce gospodarza; otwarte piwnice — jedzcie i pijcie zdrowi; wychylcie tylko puhar odjezdnego i pomyślnych skutków podróży. To mó-

więc podniósł kielich za zdrowie gości i pożegnawszy ich odszedł. Rozkazał zaprządz parę koni do lekkiej niemieckiej kolasy, wziął z sobą czterech sług konnych w bogatej barwie, aby wojewodzińskim zamożność swoją pokazać, kazał zapalić dwie pochodnie i śpiesznie wyjechał.

Całą noc otulony płaszczem, dumając, prowadzony przez sługę, dążył do wioski pana wojewody, oddalonej o kilka mil złej drogi od Krakowa.

Kto nie wie jak się to duma, mając niebo pogodne i gwiazdy nad sobą, ten nie pojmie, co było rokosznego w tej nocnej podróży. Nad rankiem już stanęli u celu, ale zapłakana służba w bramie podwórca znać dała, że wojewoda już żyć przestał. — Mistrz odciał zaraz wracać, zaproszono go jednak do zamku i krewni zmarłego przyjęli uczciwie; nawet mu obiecanych pięset florenów wyliczyli, lecz Twardowski ich nie przyjął.

Zdziwiło to krewnych, którzy po sławnym lekarzu nie spodziewali się takiej bezinteresowności. Pamiętano jeszcze sławnej pamięci Laskarisa — Balińskiego, który na ubogich i bogatych nakładał takie podatki, i tak sobie płacił suto, wprzód jeszcze niżeli za próg domu ruszył.

— Wojewoda umarł, rzekł Twardowski — nic tu już po mnie, raczcie ugościć sług moich i dajcie mi spocząć — to całą nagrodą będzie za odbytą podróż i przerwana biesiadę. Więcej przyjąć sumienie mi nie dozwala!

Chodziło mu o sławę! Dobrze sobie radził.

— Lecz prawda - li że wojewoda umarł? rzekł po chwili namysłu.

— Ach! aż nadto prawda, na nasze nieszczęście, odpowiedział płaczący w kącie wojewody bratanek, któremu on za życia wiele świadczył, a nic nie zapisał.

— Gdzież ciało jego? spytał mistrz obojętnie.

— Stoi już na katafalku! odpowiedział znowu, ocierając oczy, bratanek.

Twardowski pokiwał głową, usiadł i zamyślił się głęboko.

— Nie można by zobaczyć zmarłego? rzekł.

— Na cóż się to przyda waszmości, odpowiedział jeszcze bratanek; cuchnie już nawet, tak go lekarstwy żydzi i baby napchali.

I płakał gorzko.

— Już go nie wskrzesisz!

— Jeśli prawdziwie umarł, odpowiedział spokojnie Twardowski.

— Ale zkądże waszmości przychodzi ta wątpliwość, rzekł bratanek zdziwiony i poruszony. Dla czegoż waszmość o śmierci jego wątpisz? Ja sam byłem przytomny gdy konał.

— Każ no waszmość wynijść księżom i ludowi z sali, niech ja ciało obejrzę, rzekł uparcie mistrz.

— Ale na cóż się to przyda? spytał bratanek, który nie pojmował żeby być mogła jeszcze jaka nadzieja.

— Nie wiedzieć do czego — to niepodobna! — przerwał dziedziczący po wojewodzie, a dopomógł mu spodziewający się po nim w senacie krzesła.

Jednakże, gdy mistrz stał przy swoim, przez wzgląd na języki i oczy ludzi, wprowadził choć opierając się Twardowskiego do izby obitej czarno, odkryli mu wieko trumny szkarłatnej, stojącej na bogato wysłanem łożu śmiertelnem. Mnóstwo złotych świec jarzących płonęło do koła. Wojewoda leżał w trumnie z wpadłemi oczyma i policzki, z siwą głową i wąsami. Usta miał otwarte i sine, skórę żółtą i pomarszczoną, kości zdawały się wyglądać z pod niej.

Twardowski wziął trupa za rękę powoli i długo pomyślawszy, odezwał się głośno:

— Wojewoda nie umarł.

Krzykiem podziwienia rozległa się komnata, ale niektórzy oburzać, inni śmiać się zaczęli.

— Żarty z nas stroi, rzekł dziedzic, cóż to za gadanie! Myśli trupa wyjmować, nie damy. —

Poskoczył bratanek, rozepchał wszystkich, zaczął ga-

dać, przekonał tłum zdziwiony, jął się kłócić, i gdy tu wrzawa, mistrz tymczasem korzystając z chwili, wyjął kazał ciało z trumny, przenieść je do sypialnej komnaty, puścił krew, która z podziwieniem wszystkich wytrysnęła, otarł czemś czoło i nos, podniósł powieki umarłego i w usta wlał napój czarny.

Naówczas z podziwieniem przytomnych dały się czuć lekkie poruszenia piersi — oczy się obróciły, usta drgnęły, serce zapukało. Wszyscy odskoczyli, a wojewoda zakaszłał i poruszać się zaczął po łóżku stękając.

Bratanek padł na kolana, inni puciekali, inni krzyczeli, zgiełk powstał straszny na zamku, hałas się rozlegał, rozjeżdżali się jedni, zbiegali drudzy, co oddawali co pobrali, tamci przygotowania pogrzebowe ściągali, księża ze spuszczoną głową odjeżdżali do pobliskich klasztorów. Wpadła wdowa do izby, weszły dzieci młodsze — Twardowski wszystkich odprawił, położył starca w ciepłym łóżku i zaczął go dopiero z choroby leczyć.

W ciągu trzech dni wojewoda był zupełnie zdrów, a na stole w izbie mistrza leżał trzos skórzany, mieszczący w sobie trzy tysiące florenów. Bratanek ze łzami ścisnął go i całował.

Twardowski wśród tej powszechnej radości i dzięków ponury został i smutny, a gdy siadł do kolasy swojej, za którą wiedziono konie powodne, dar wojewody i bratanka, oglądał się często jakby mimowolnie na zamek, wdychał i brwi marszczył.

Oczewiście coś go gryzło.

Była temu przyczyna. Drugiego dnia pobytu w zamku, Twardowski wyszedł po bezsennej nocy przejść się po ogrodzie, ogołoconym z liści i pokrytym szronem, aby się świeżem orzeźwić powietrzem. Kiedy tu zadumany przechadza się, spotkał dziewicę w ubiorze dość wytwornym, idącą z drugą podeszłego już wieku kobietą.

Spojrzał na nią — cofnął się, osłupiał, patrzył i patrzył jeszcze, i patrzył i stał.

Zdało mu się że ją gdzieś widział. Kiedy? gdzie? nie umiał sobie wytłumaczyć i przypomnieć. Rysy te jednak były mu znajome.

Znajome? Gdyby je znał, mógłby je zapomnieć? Nie były mu one znajome, ale wyraz twarzy tej dziewczyny miał coś tajemniczego w sobie, coś jakby znajomego dla mistrza, jakby długo oczekiwanego, przeczuwanego. — Nie była to piękność mieszczańska, która żyć poczyna tak młodo i tak zwawo życie zjada, nie były to owe rysy piękne a jednak zepsute serce zwiastujące i czemś nieszlachetnem nacechowane — owszem, twarz jej była życia dojrzałego, w samej sile, pełna, a razem wyrazu jakiejś wyższości i dumy. Czoło miała wyniosłe, białe i gładkie, oczy czarne, ognia pełne, usta małe, ledwie znaczne, różowe, pogardliwie nieco wzniesione. Chód jej i postać godziły się z twarzą. Był to chód królowej, była to postać wielkiej pani.

Nie umiał sobie wytłumaczyć mistrz, dla czego tyle kobiet przejrawszy ku żadnej nie uczuł tego co dla tej, a żadna go jednak tyle co ta nie przestraszyła.

Kobieta przechodząc ledwie na niego rzuciła okiem, ledwie spojrzała i to tak tylko jak patrzała na mur, na ziemię pod nogami, na drzewo. Powróciła do zamku.

Twardowski pośpieszył za nią, dowiadywać się od sług, kto ona była. Miarkując z postawy, wziął ją za córkę wojewody, ale prędko się dowiedział, że wojewoda tak dorodnej córki w domu nie miał. To go trochę pocieszyło, bo już czuł że wielka owa spodziewana miłość przychodziła do niego.

— To — sierota, szlacheckiego rodu, którą pan wojewoda wziął na opiekę, do domu swego. Ma ona tam krewnych jakichś w Krakowie, i wkrótce zapewne do nich powróci.

Twardowski pilnie się badał o krewnych, zapisał sobie ich nazwiska; a choć czatował i na pannę, żeby ją drugi raz zobaczyć, nie mógł się już z nią spotkać

nigdzie. Przestraszała go jej mina dumy pełna, ale zapalony wmawiał sobie, — jeśli nie przez miłość, to przez szatana, mieć ją będę! przez krew, przez śmierć, przez zbrodnią, przez truciznę, przez zdradę — ale musi być moją! Na wszystkie piekiel męczarnie klnę się, będzie moją ta królowa!

I w takich to myślach, oglądając się na czerwone mury zamku, odjeżdżał do Krakowa.

ROZDZIAŁ V.

Krewni panny Agnieszki.

Nie w smak w Krakowie były mistrzowi witające go biesiady przyjacielskie i tłumne zgromadzenia — myślał tylko o pięknej swojej sierocie, i cały zajęty myślą zbliżenia się, poznania jej, wysyłał szpiegi, dowiadywał się ażali nie przyjechała, chodził szukając wieści o jej krewnych, o niej samej. — Jej nie było jeszcze, lecz ukartowawszy plan swój, Twardowski miał czas poznać się z jej krewnymi, do których powrócić miała, aby potem miał wstęp do domu gotowy, jako dawniej już znajomy, i aby jego stosunki nie wydały tak oczewiście zamiarów. Z mocnem więc postanowieniem zabrania przyjaźni koniecznie, udał się tam mistrz.

Ci krewni byli to wprawdzie mieszczenie, ale przyjęci do szlacheckiego herbu Poraj, bo się zwali Porajami. Familia ich tego czasu znacząca była w magistracie krakowskim, bogata, choć bogactwo zebrała handlem, dom miała zasobny i należący do pierwszych w mieście. Szlachta chociaż trochę Porajów z wysoka traktowała, gdyż dziad łokciem mierzył, czego dowodem żywym był jeszcze sklep w ich kamienicy na dole, w którym prawda nie handlując, tylko go już najmowali, — szlachta mając wzgląd na to że przestali się zajmować zupełnie, a mieli jedną i drugą wioskę w pobliżu Krakowa, z której służbę sprawowali, poczyniła się codzień chętniej bratać z niemi. Głową domu był Stanisław, stary, jak to zowią wyga, świadom dobrze wszystkiego w powszechności, co za jego czasów zaszło, gawęda nienasycony, nieprzezwyjęzony, niepokonany, umiejący na pamięć wszystkie wesołe ba-

jeczki i wierszyki latające po świecie, rozprawujący zawsze głośno, lubiący wesołość, śmiechy i towarzystwo podobnych sobie. Pan Stanisław w chwilach wolnych od gawędy, nie znosząc próżnowania, pisał kronikę anegdotyczną swojego czasu, dniami prawie (niestety! zaginęła!) lubił odczytywać z niej przy zdarzonej okoliczności kawałki, a mianowicie te, w których moralne rozumowania poparte były i przyprawne jakby zamorskimi korzeniami, cytacjami Seneki, Titusa-Liwiusza, Tacyty, Owidjusza i Virgiliusza, których pism ledwie że na pamięć pan Stanisław nie umiał.

Biorąc ściśle, był to człek powierzchowny tylko, deklamator więcej niż filozof, wesoły gaduła bardziej niż zastanawiający się nad rzeczami, historyk (a szał mu bardzo o tytuł historyka); próżny przytem był, bo lada pochlebcy wierzył, lada panegiryk go do szpiku kości poruszał. Tak zaś łatwo wierzył w zasługi drugich jak w swoje; lada samochwał, który się przed nim pod niebiosa wynosił, u niego łatwe zyskiwał współczucie; potem zaś już, gdy o kim się uprzedził, trwał w swoim zapamiętaniu i bronił gorąco swoich ulubieńców.

Pani Barbara, zacna jego małżonka szlacheckiego lecz ubogiego domu, wysoko bardzo swój niepokalany klejnot szlachecki i kolligacje ceniąca, zakochana w starym już mężu, jak to za dawnych czasów praktykowało się czasem, kiedy nie nowina była ujrzeć parę siwych gołębi, kochających się po młodemu, pomimo lat późnych — pani Barbara, w skutek przejęcia się asymilacji jakiejś i przywiązania, wierzyła także w p. Stanisława, jako w najrozumiejszego, najuczciwszego swego czasu człowieka. Zdawało jej się, że nad niego nikogo na świecie nie było, ani pod względem umysłowych zdolności, ani co się tyczy przymiotów urody nawet cielesnej; choć p. Stanisław Bóg wie jak już wyglądał. Wielka gospodyni z pękiem kluczków u pasa spędziła cały swój żywot, i położwszy się nawet w spokojnem małżeńskim łożu, śniła jeszcze o małdrzykach, antypastach, o apteczce, przez sen kłóciła

się ze sługami, wykrzykując tylko niekiedy do męża; mój kotku! P. Stanisław poważną staropolską miłością na affekt jejności odpowiadał, szacował wysoce jej przymioty gospodyni i żony, czasem skłaniał się nawet w dowód uczucia pocałować ją w czoło; lecz w wielkie tylko święta! Nad tem zaś najgorliwiej pracował i mózg suszył, aby swojej współtowarzyszce nabić głowę wielkim rozumem i ważnością swoją, aby jej wpoił pewien rodzaj adoracji dla siebie.

I nie była to zła zasada, na której oparł teorię małżeńskiego pożycia.

Pan Stanisław z panią Barbarą byli bezdzietni; uboga sierota, którą Twardowski ujrzał w zamku wojewody, była krewną pani Barbary. Opiekował się nią wojewoda, dopóki żyła jego córka, której współtowarzyszką i przyjaciółką była panna Agnieszka; po śmierci jej, czasem jeszcze przybywała do zamku wojewody, swego dobroczyńcę zobaczyć i miejsca, w których najśłodsze przeżyła młodości chwile; resztę czasu spędzała w Krakowie przy pani Barbarze.

Lecz mówmy już o pannie Agnieszce. Była to cudna w swoim rodzaju dziewczka. Przyrodzenie dało jej bardzo wdzięczną postać, kibić wspaniałą, oczy czarne, a nadewszystko coś tak szlachetnego i wyniosłego wyrazu w twarzy, iż każdy zdawał się mały przy niej i z bojaźnią mimowolną na nią poglądał. Charakter też p. Agnieszki, odpowiadał w pełni powierchowości obietnicom. Na owych czasów kobietę była zupełnie niepospolitą zjawiskiem. Choć sierota i uboga, ceniła się niesłychanie wysoko; zdawało się jej, że przynajmniej kasztelan jaki powinien był wejść z nią w ślubny dozgonne. Lekcewazyła mieszczan, śmiała się z pięknych chłopców, których zwała *łatkami* dla dzieci, gromiła gachów, odróżając ich od siebie żarty i grochowymi wieńcami.

Jednakże była uboga i sierota — ale piękna i szlachcianka.

Nad wszystko dziwiła w pannie Agnieszce jej niepraktykowana uczoność, która zapewne także nieco

dumy jej dodawała. Ceniąc wysoko księgi i nauki, natomiast prawie zakazany dla kobiet owoc, oddzielną jakąś wydawała się istotą, pośrednią między kobietą a mężczyzną. Prawdziwą jej rozkoszą było chwycić za słowa, prześmiewać i pylić nieuków i półmędrków. Prędko pomimo jej wdzięków uciekła od niej młodzież, pierzchnęli gaszkowie do innych łatwiejszych dziewczek, i w dwudziestu pięciu latach, których dochodziła właśnie, już ją byli wszyscy niemal opuścili.

Wymawiał jej to surowo p. Stanisław, który znowu wzorem kobiet uważał panią Barbarę; a pannę Agnieszkę za jakieś *monstrum* tylko.

— Za co waszmość panna odrzuciłaś tylu zacnych mieszczan, tylu ucziwych kupców. Toć to już teraz nikt się o jej rękę nie zgłosi. Twarz gładką prędko lata poorzą, troski marszczkami zasieją, łzy doły pokopią, osiądziesz panna na wieki.

Ona mu odpowiadała:

— Wolę ja zostać jak jestem, niżli żyć z jakim głupcem.

— To za grubo! głupcem? Śmiesz ich tak nazywać? Zacni to przecie ludzie o nią się starali, a niektórzy z nich i nie bez nauki.

— Życzę im szczęścia gdzieindziej i wielbieli łatwiejszych odemnie — odpowiadała zimno Agnieszka.

— Cóż jednak poczniesz i myślisz z sobą dalej?

— Jeśli mnie waszmość dobrodzieje moi opuścicie, wejdę do klasztoru.

— Hm! hm! odpowiadał p. Stanisław, po cóż o tem opuszczeniu mówić! Nie myślimy przecie o tem, widzisz sama, a jeśli podaje ci refleksje, to nie w innej myśli, tylko aby cię nakłonić do ustalenia losu swego; bo kobieta póty nie może być bezpieczną, póki losu swego nie odda w ręce mężczyzny.

Zwał ją p. Stanisław pospolicie — *hic mulier*, a chociaż za rodzaj *monstrum* w porównaniu z p. Barbarą uważał, miał jednak dla niej jakąś słabostkę, bo ona cierpliwie słuchała jego kroniki i cytacyj.

Jakieśmy widzieli z tego urywku rozmowy, p.

Agnieszka, ze swej piękności jeszcze nie zwiędłej i rozumu tak niepospolitego naówczas w jej pici i stanie, wysoko się niezmiernie ceniąc, z góry bardzo na świat patrzyła, mało się wreszcie troszcząc o to; że jej lat przybywało, że ją opuścili mężczyźni; pocieszając się księgami i szyderskim przekonaniem o nikczemności tych, którzy ją ocenić nie potrafili. — Może jeszcze miała nadzieję — bo i najpoważniejsi i najrozumniejsi niemi się ludzą.

Taka to była ta piękność, którą na pierwszy rzut oka pokochał Twardowski tak gorąco, tak gwałtownie, jak dotąd jeszcze nikogo.

Wróciła nareszcie panna Agnieszka do Krakowa, a przez przekupionych wcześniej sług, zaraz się o tem dowiedział Twardowski. Tegoż zatem wieczora, jakby nic nie wiedział, w licznym poczcie, w bogatym stroju, nie raz się przejeżdżając w źwierciedle, udając że jedzie z odwiedzin na wsi, zajechał do p. Stanisława.

Zwyczajem swoim zasiedli do uczonej rozmowy, do wesółych gadek, któremi gości swoich tak obficie raczył gospodarz. Weszła i p. Agnieszka do izby, bo tu krośna jej stały u okna przy krośnach pani Barbary.

Naówczas zapoznał ją gospodarz ze swoim gościem, szeroko rozwodząc się nad jej pochwałami. Panna Agnieszka przypomniała mistrzowi, że go widziała już w zamku wojewody. — To polechtało dumę mistrza i napełniło go otuchą. Nie postrzegł, że wspomnienie o zamku wojewody wywiodła panna dla tego tylko, aby się ze swemi związki pochwalić.

Uradowany dobrym początkiem mistrz przysiadł się do niej.

Inna to była wcale dla niego, niż dla pospolitych gachów, niewiasta. Zdziwił się mistrz, który już wiele o niej słyszał, i bardzo się jej lękał, znajdując ją tak wesolą, tak miłą, gdy się spodziewał tylko dumnego szyderstwa. Lecz mądra, o mądra była panna Agnieszka, a Twardowski ślepy! On nie widział, że ona nie młodego, przystojnego zalotnika i kochanka, ale sławnego w nim przyjmowała mędrca, czeząc

w jego osobie bóstwo swoje — żądzą sławy i wzniesienia się. Łagodną mu była i powolną, bo w nim znała wielkiego człowieka — pochlebiało jej że ten dziw wieku, siedział przy niej i z nią na słowa walczył. Dumna dziewczyna, ze swej strony już nawet snuła projekta wplątania go w miłości, tak jak on chciał ją wplątać. Ale z tą różnicą, że ona czyniła to tylko przez dumę, a trochę może marząc i o bogactwach mistrza, o których dziwy pletli; on zaś był na ten raz szczerze i zapalczywie rozmiłowany w niej. Zdawało się pannie Agnieszce, że jeśli kto to ona powinna go była usidlić — największa z kobiet (tak się ceniła) najślawniejszego z mężczyzn. — Wszystko czem kobieta zręczna pociągnąć może, wejrzenia, słowa, pochlebne wyrazy, wszystko użyte zostało. — Mistrz pełen radości odjeżdżając z przed bramy kamienicy p. Stanisława, jeszcze mocniej palił się żądzą posiadania tego cudu wdzięków i mądrości, które pozyskania nierównie mu się teraz łatwiej wydawało niż wprzód.

Oboje zarówno marzyli o sobie. Dobry był początek. Lecz gdy mistrz rozważał jej wdzięki, jej twarz, kibić, chód, szlachetną postawę — ona myślała tylko o jego wielkiej sławie, imieniu i bogactwach. Była to zimna kobieta, której tylko powierzchowność szczęścia i częste uwielbienia tłumu wystarczały do życia. Bardzo się mylił Twardowski, czytając w jej oczach zaród miłosnych ogniów — była w nich duma, upodobanie blasku, pragnienie wywyższenia się, ale ani śladu namiętności cielesnej lub serdecznego przywiązania. Uczucia te przyschły w zarodku, a piękna Agnieszka, tak była zajęta wielkościami, iż dla pozyskania ich wszystko by była w życiu poświęciła, marząc nie raz we śnie, marząc nawet na jawie o koronach, o oklaskach, o podziwieniu tłumu, sławie i bogactwach.

Jak mógł tak wielki mędrzec tak bardzo w wyborze i poznaniu charakteru kobiety omylić się? — tego nie wiem. Szatan to chyba mógłby wytłumaczyć, który zapewne zaród namiętności w serce jego rzucił, mając w tem swój tajemniczy rachunek.

ROZDZIAŁ VI.

Jako szatan radził Twardowskiemu w jego miłości.

Poczęły się od tego pierwszego poznania coraz widoczniejsze miłostki, z którymi się obie strony nie kryły. Mistrz nawet biegał do kościołów, aby ją częściej widywać, chociaż ile razy chciał, widywał ją w domu; uczeszczał także na przechadzki i całkiem prawie swój czas tej miłości poświęcił. Każdy dzień zbliżał ich i poufalił z sobą. Dziwił się tylko mistrz sobie, znając nieco lepiej kobiety, czem się to działo, iż panna Agnieszka, o której życzliwości dla siebie nie mógł wątpić, tak go onieśmielała, iż dotąd o miłości wyraźnie słowa jej wyrzec nie śmiał. Ale cóż tu by były znaczyły słowa, przy tak jawnie już zaloty wykrywających czynnościach?

Panna Agnieszka zaś, nie tylko że nie była umyślnym powodem tej nieśmiałości mistrza, lecz sama niecierpliwie oczekiwała oświadczeń, a często nawet wyprowadzać go na nie próbowała. Mistrz zaś czy to z nieśmiałości jakiejś dziwacznej, choć gorzał miłością, czy z jakiej rachuby — nie wiem — zwlekał stanowcze słowo.

Odbywała się w nim niepojęta walka.

Z jednej strony stawał do boju szatan ze swoim natchnieniem, z drugiej miłość — uczucie zawsze mniej więcej szlachetne i prawe. Walka toczyła się o to, czyli mistrz miał się żenić, czy tylko kochać? czy panna Agnieszka miała być jego żoną czy tylko kochanką?

Łatwo każdy pojmie, że gorącej miłości niedość było przemijającego tytułu kochanka. Zdawało się mistrzowi (jak się to wszystkim w takim przypadku

zdaje) że z równą siłą kochać ją będzie wieki — chciał więc mieć ją żoną.

Szatan mocno się temu przeciwił, i on to zapewne oświadczenie stanowcze swojemi podmuchami wstrzymwał.

Mistrz, mówił mu, miarkuj się, rozważ, to niesłychane dzieciństwo, stracisz na sławie, stracisz na szczęściu, zwiążesz sobie ręce jedną kobietą, dasz jej prawo do twego życia, czasu, zatrudnień, majątku, wszystkiego; uczynisz się dobrowolnie lichym niewolnikiem jednej ładnej twarzyczki, z swobodnego króla! Nie dziwię się że jej żądasz, że ją chcesz posiadać, ani się temu przeciwie — ale na cóż te śluby? na cóż dozgonny węzeł, który tylko bez niebezpieczeństwa może wiązać uczciwych mieszczan i godnych pasibrzuchów? ci bowiem potrzebują niewoli, nie potrafili być żyć bez postronka na szyi. Miarkuj tylko mistrzu, chciej rozważyć całą sprawę, nie będzie-li to małżeństwo rodzajem przeniewierzenia się piekłu z twej strony?

— Masz moją duszę, ja mam tymczasem moją wolę, odpowiedział Twardowski, daj mi pokój, uczynię cò zechcę.

— Tać! zapewne, rzekł szatan — ale na bok interesa piekła, mówię tylko w twoim własnym. Chcesz-li ty koniecznie biedy, kłopotu, niewoli, dzieci i życia w troskach i znoju, zaprzedanego za dwa kwadransie śmietanki a długie lata mętów paskudnych? Chcesz-li żeby ci nawet niewolno było być szczęśliwym jak ci się podoba, gdy wszystkiem będziesz się musiał dzielić na dwoje?

Znasz-że ty zresztą tę pannę Agnieszkę, wielkie twojej wyobraźni cudo?

— Doskonale! odpowiedział mistrz. — Jest to jedyna na ziemi kobieta, której ciało równie jest piękne jak dusza. — Naczynie i napój odpowiadają sobie.

— Doprawdy? zawołał szatan ze śmiechem; cha! cha! sama zapewne uosobiona doskonałość, porachuj się z sobą, czy cie potrafi uszczęśliwić? Czy ona się

zgodzi z tobą? Tyś zwykł do swobody, ona do regularnego życia, jak zegar ratuszowy, który swoje dwadzieścia cztery godzin wybiwszy, znowu od pierwszej niechybnie zaczyna. Ty dotąd nie znałeś nocy i dnia, nie znałeś koniecznego przeznaczenia godzin tej nieznośnej niewoli, nie znałeś żadnego musu, jadłeś, piłeś, spałeś, dumałeś gdy ci się podobało. Na potem będziesz tylko o tyle swobodny, o ile ci pozwoli twoja pani. Wyliczą ci godziny snu, jadła, kochania, uścisków, myśli i pracy. Każą ci iść spać gdy się jejmość położy, jeść gdy będzie jadła, cieszyć się gdy będzie wesola, płakać gdy będzie smutna, ścisnąć gdy zapagnie uścisku. Nie będziesz już sobą, będziesz tylko jej cieniem, dopełnieniem jej, glossą przy tym żywym tekście. Gdy siedniesz dumać o wielkich przełmniętach, ona ci pod nos podetknie podarty twój kubrak, z wymówkami za zbyt prędkie jego znoszenie; gdy zaśniesz po trudach małżeńsk.ego życia, zbudzi cię pytając, co jutro będziesz jadł, opęta cię, obejmie, usidli, zwiąże i umęczy.

— Dajże mi pokój z twemi przywidzeniami niewoli, rzekł Twardowski. Nie chcę jej mieć inaczej tylko ślubem.

— Przyznam ci się, odpowiedział ljabel, że inaczej jak wykradzioną mieć nie będziesz, bo choć ona cię żąda gorąco, choć p. Stanisław cię lubi — wiesz zapewne że pod tym tylko warunkiem zapisuje jej z żoną całe swoje mienie, aby szła koniecznie za ich krewniaczka, bogatego kupca. Jest on tak przynajmniej bogaty jak ty w oczach ludzi. Żadna zaś kobieta, nie rzuci pieniędzy dla miłości, chyba piętnastoletnia przepiórka, twoja zaś ma coś więcej podobno nad piętnaście. Jeśli masz łaski u niej, to tylko dla sławy twojej; ona cię kocha, boś wielkim człowiekiem, a zapewne nie szkodzą i wieści chodzące o twej zamożności. Co się tycze jej, ona się ku tobie sklonić może, ale mówię ci przyczyny dla których nie zgodzą się jej krewni.

— Więc ją wykradnę, rzekł mistrz, ale muszę się

ożenić — ona inaczej, ręczę, nie zechce być moją i nie będzie.

— Hm! rzekł djabeł po namyśle. Trudna z wami rada. Biercie przynajmniej gdzie ślub w lesie, w pustelniczej chacie, albo w jakiej na rozdrożu opustoszałej kaplicy. Ja się już dla was za księdza przestroję; ty będziesz mógł powiedzieć, żeś mnie tam wezwał z klas:toru od św. Bernardyna.

Twardowski zamilkł, nie na to nie odpowiedział, spojrzął na djabła i spuścił oczy, djabeł mówił dalej nie zmieszany.

— Nie wszystkoż ci to jedno?

— Oszukiwać!

— Miłość uczyniła cię mistrzu do zbytku trwożliwym. Dość na tem, że ślub będzie wedle formy, a gdy zechcesz ją potem porzucić.

— Porzucić! ja ją porzucić! zakrzyknął Twardowski wielkim głosem.

— No, no! nie krzycz tak bardzo i nie dziwuj się mojemu śmiałemu przypuszczeniu — powiesz jej potem, że djabeł ślub dawał. No — i kiedyż ją wykradniesz?

— Powoli, powoli! odpowiedział mistrz, jeszcze z nią o tem ani słowa nie mówiłem, ani słowa nawet że ją kocham.

— Zda mi się, że już chyba nie powiesz, jeśliś tego dotąd nie uczynił, rzekł djabeł — ale możesz się obejść bez słów, jeśli cię one tyle kosztują. Można pismo posłać. Nadewszystko, dodał życzliwy doradzca, szafuj bez końca obietnicami zapisów, pieniędzy i t. d. — To nigdy nie szkodzi z temi ziemskimi aniołami. Potrzebują one złocić sobie skrzydełka, żeby się wydawały piękniejsze, a nie ma pozłoty gdzie nie ma złota.

ROZDZIAŁ VII.

o dziadach i babach i jak Twardowski użył starej Kachny.

Twardowski po odejściu djabła, a raczej tylko po zniknięciu jego, (gdyż szatan podobno nigdy go nie odstępował), rozważył dobrze jak mu postąpić wypadło, uczuł że nie będzie mógł się nigdy zebrać na śmiałość oświadczenia pannie Agnieszce, i postanowił wyprawić do niej pismo.

Ułożył więc je, i w niem odmalował swoją gorącą miłość, zresztą widoczną oddawna; przyrzekał jej złote góry dostatków, niebieskie swobodne życie bez końca, szczęście bez chmury. — Uznał słuszną djabelskiej rady i nie zaniedbał także wysoce podnieść stan swego majątku, zapewniający im i wybór rodzaju życia i zupełną swobodę, bez żadnych obowiązków pracy. Nareszcie proponował Agnieszce, aby w sobotę z nieszporu, który u panny Marji kończył się zwykle o zmroku, dała się uwieść w przygotowanej kolasie ludziom na to nastawionym. Zareczał Twardowski że natychmiast ślub wezmą i prosił wręście, aby czyniąc wybór między bogatym i młodym głupcem, a bogatym i młodym filozofem, przeważyla też na szali przyszłość jednego i drugiego i nadzieje ich obydwóch. Chociaż wiem pewnie, że diabeł tego listu nie dyktował, ostatni jednak argument, gotówbym z trafności jemu przyznać.

Gdy pismo zostało skończone i czytelnie na liście papieru białego wykaligrafowane, tym charakterem XVI wieku, tak czystym a jednak niewyraźnym; zakłopotał się znowu mistrz wyborem posłańca, któremu by je powierzył, aby pięknej oddał Agnieszce z przyzwolta

ostrożnością, tajemniczo, roztropnie, ani przybyciem swem w niezwykłą porę, ani postacią swą nie obudzając podejrzeń, które p. Stanisław przenikliwy i niedowierzający z natury łatwo mógł powziąć, gdyż się już poniekąd i zalotów domyślał i wiedział jak krewna jego nie życzyła sobie kupca za męża.

Po długim namyśle wpadł Twardowski na szczególny wniosek. Wybrał na to poselstwo starą żebraczkę, babę, znaną w całym Krakowie z gadatliwości i mniemanych czarnoksięzkich wiadomości, we wszystkich domach dobrze przyjmowaną, znającą wszystkie progi od chat przedmieścia do pałaców i zamku, pośredniczącą nie w jednych miłostkach. Nim poznamy naszych czytelników osobiście z tą postacią charakterystyczną owych czasów, której podobne i podobni składali w narodzie klasę oddzielną, pośredniczącą między ludem a klechą i księdzem, pozwólmy sobie odskoczyć w bok i pogadać o dziadach i babach.

Żebracy stanowili w Polsce jak wszędzie, od najdawniejszych czasów (bo od pogańskich jeszcze) osobną klasę, obyczajami, zajęciem, uprawą umysłową, fizjonomją swoją, od innych wielce różną. Poznanie tej klasy dziś nawet nie jest bez ważności dla historii obyczajów. Oni niejako pośredniczyli między ludem a duchowieństwem, jeszcze zaś bardziej między ludem a klechą. Od klechy do dzwonnika, od dzwonnika do dziada a kruchty, nieznaczone tylko było przejście. Z jednej strony dziad-zebrak, opierał się o lud z którego wyszedł, z drugiej o kościół i stąg kościelnych, do których się liczył, żyjąc także z modlitwy i jałmużny. Żebracy stanowili niejako ostatni poziomy szczebel stąg kościelnych, byli ludu lekarzami, doradcami, swatami, kumami; od kolebki do mogiły, dziad i baba co chwila potrzebni byli dla chłopka. Baba przyjmowała dziecko gdy się narodziło, baba obmywała zziębłe ciało gdy umarł, kładła go w trumnę i śpiewała nad nim wigilje, których nie było czem księdzu zapłacić, a żebrakowi dzban piwa i garnek kaszy nagradzał. Cokolwiek więcej w istocie mając oświaty, a udając ta-

jemną wielką naukę, składającą niby tradycyjalny skarb kasty, wygrywali żebracy przed ludem łaknącym cudownych pomocy, pokładającym w nich nieograniczoną wiarę, dla tego że lud zawsze gotów jest chwycić wszystko, co mu podaje jakkolwiek polepszenia nadzieję.

Różne były przemysły żebraków, różne przez nich używane sposoby wciskania się do domów, przypochlebiania wszelkim stanom i różnych lat ludziom, wzbudzania litości, wyżebrania jałmużny. Tym, którzy wierzyli w czary i sympatyczno-tajemnicze leki (a któż w nie jeszcze w XVI wieku nie wierzył, począwszy od biskupów, aż do króla?) przysługiwali się zioły, maściami, napojami, zamawianiem i t. p., pobożnym płacili za datek modlitwą, do bogatych wołali o litość zmyślając sobie rany, choroby, boleści, kalectwa, częstokroć zrecznie naśladowane. Najpospolitsze żebraków choroby bywały: — *Boża kaśń*, *obłakanie*, niemota, głuchota, ślepotą, wrzody, rany przykładaniem jaskieru zrobione, choroba ś. Walentego, zwana pospolicie Walantym.

Strój dziada bywał rozmaity, najpospoliciej jak najędźniejszy łachman go okrywał, płaszcz łatany, umyślnie obdarty. Dodatkiem do niego bywały szczudła, bielagi czyli sakwy, *katwica*, pudło zgięte noszone na plecach; odkryte i poranione nogi, obnażone piersi, potargane włosy, twarz dziko wykrzywiona, oczy krwią zaszele, broda rozsunięta na piersiach, głowa związana łańdą szmatą dziurawą, kij czyli kostur w rękę.

Inni udawający pielgrzymów lub istotnie pielgrzymujący z Polski do Rzymu, wcale się odmiennie odziewali, aby się od pospolitego żebractwa odróżnić. Oni stanowili arystokracją dziadowską. Nie wychodzili inaczej z kraju jak z listem od rady miejskiej lub innego urzędu pod pieczęcią danym; miewali też przepisaną sobie drogę na papierku, o którą się wszędzie troskliwie wypytywali. Ci ubierali się jak inni prawie pielgrzymi obcych krajów, nosili ciemne szerokie płaszcze, tłumoczki ze skóry na plecach, kapelusze ze

sznurkami, u pasa wiszące paciorki, czasę miedzianą do czerpania wody, w rękę wysokie maczugi. Chodzili najczęściej parami, długo wprzód wędrując po kraju, nim się puścili do Rzymu. Księża, gdziekolwiek przybyli, zalecali ich z ambon litości zgromadzonych jako podróżujących w celu pobożnym. W czasie nabożeństwa siadali w kruchtach kościelnych, modląc i śpiewając, przekazując pisane supplikacje, które rozdawali wchodzącym i wychodzącym, wielkim głosem dla zwrócenia uwagi intonując pieśni pobożne. Niżej powiemy o miejscach, do których żebractwo najwięcej uczęszczało.

Inni byli dziadowie chodzący po kraju z puszką, skarboną, po kweście dla pogorzałych i podupadłych kościołów, na dachy, na organy, na szpitale i t. p. Nosili oni puszkę na szyi zwieszoną i stawali po plebanjach wypraszając sobie także, aby ich plebani z ambon zalecali. Historje dziadowskie wzmiankują nieraz o wytrzeszanych puszkach kwestarskich i podstawionej ręce zamiast skarbony.

Inni jeszcze byli kalecy z profesji, udawający lub czasem istotnie chromi, głusi, ślepi i niemi. Ci którzy mieli *Bożą kań* albo tak zwaną chorobę Walantego, starali się najpotężniej rzucić, krzyczeć, targać w czasie samego nabożeństwa — w kościele, leżąc na smętarzu, aby okrwawiwszy się, prędzej litość pobudzić.

Drudzy odkrywali rany żebrząc, albo udawali szalonych, wyjąc, krzyżąc niezrozumiale, wywracając oczy, bełkocząc. Byli i tacy, co po wsiach i odosobnionych miejscach, upatrzawszy dogodną porę, gdy w chacie *samogo* nie było, przywiązawszy sobie kawał wilczego ogona, wyjąc jak wilcy, przychodzili udając wilkołaków. Postrzegłszy ich gospodyni, zapierała drzwi i okna z wielkim strachem, podawała co prędzej gomółkę. Wilkołak nie chciał chleba, wyjąc groził że pójdzie w pole do bydła, jeśli mu co lepszego nie dadzą na zaspokojenie głodu; aż wytargował lepszą strawę u niebogi. Czasem gdy mu się udało napaść wieśniaczkę samą jedną, wpadł nim drzwi zaparła, zżymając się i oczyma łupiąc, mruczając coś pod nosem, rzucając szczy-

ptami proszek jaki w garnki; aż dobrze przestraszywszy i matkę i siedzące za piecem dzieci, odszedł z czem tylko chciał. Ztąd to poszło pewnie, że dzieci dziadami nie raz straszą, i nie bez przyczyny.

Było czasem ich interesem dostać sobie dziecię, aby nim także do litości nad swoim stanem pobudzić — kradli je więc, gdy swojego nie mieli. Rzadko się to jednak zdarzało, bo młodsze żebraczki dość płodne, chętnie sprzedawały zbywające dzieci starszym.

Byli i spokojniejsi, co woleli siedzieć nie włóczęąc się nad drogami. Na to wybierali oni pospolicie miejsca u źródeł, za cudowne mianych, u figur i Bożej-Męki, na ludnych gościńcach. Tu modląc się, jęczeli, podawali wodę przychodzącym, pokazywali drogę nieświadomym. Wśród puszczy nie raz na rozdrożu, u starej figury, widziano chatę zawaloną w ziemię, mchem porośłą; na szelast przychodnia ukazywał się z niej siwy staruszek podparty na kosturze i wyciągał rękę.

Niektórzy stale się trzymali kościołów, zostawali dzwonnikami, posługaczami, a na przyległej wsi mieli przywilej leczenia ludzi i koni.

Baby strój, z małą odmianą był taki jak dziada — łachmany, *łoktusze* zwane ich językiem, u pasa zawsze nieodstępny garnek, służący równie do okadzania od czarów i złego ducha, jak też do składania danej sobie strawy.

Baby siedząc pod kościołem śpiewały *Różany wiadnek*. Ich głównem zatrudnieniem było babienie, czary, leki, pilnowanie chorych ubogich szlachcianek przy pługach. W tym ostatnim przedmiocie chlubiły się osobliwzszymi tajemnicami; wyraz *babienie* nawet śludem jest tych ich zatrudnień w języku. Baby i dziady najlepiej znali wszystkie ludu przesady, wszystkie złe i dobre wróżby, wszystkie ostrożności, jakie należało zachowywać, aby zło do domu nie weszło. Nosili z sobą świeczki woskowe, zioła różne (jak wyzlin i bylicę naprzykład) maście na rany, wódki — kropili obory i stajnie, pasieki i barcie, wróżyli z dłoni młodzieży jak cyganie, po lasach wiązali drobne gałązki zapustów. obiecując z nich ogromne drzewa za trzy lata

i t. p. Oni to uczyli lud, że kto próżną konew spotka, ta mu wróży nieszczęście, że gdy co kracze w nocy na dachu, zapowiada także jakiś smutek, że we czwartek po południu nie godzi się praść kądzieli, ani w piątek piec chleba, że rydel nie powinien nigdy stać w izbie, ani próżna pokrywa na stole, że źle jest izbę na wspak zamiatać, że nie dobrze ciężarnym niewiastom za pogrzebem chodzić (w tem mogło być postrzeżenie nie próżne); radzili także czarownicom po śmierci łamać palce, żeby upiorem nie wstawały, żegnali chmury od gradobicia, żegnali dojnice i garnki dla obfitości w domu. Oni leczyli ludzi, oni leczyli bydło od najpospolitszych u nas jego chorób — *Kurdziela*, *Napaści* i *Nogcia*. Sposób jeszcze jakim rady podawali, mina tajemnicza, w obrzędach powaga jak przy najważniejszym akcie, mimowolnie wzbudzały wiarę u ludu. Lud też przypisywał im niesłychaną władzę, nieograniczone wiadomości, wiedzę wszystkiego — nie zawsze nawet za przyczynę tego podstawił szatana, owszem u niektórych żebraków widział w tem pełną tajemnic nagrodę Boską, za ich niedzne życie, cierpienia, upodlenie, ubóstwo. Nie umiem bowiem inaczej wytłumaczyć wiary w ich modlitwy, z wiarą w ich cudowne leki i zamawiania.

Baby pospoliciej niż dziadowie, trudniły się wszelkiego rodzaju lekarstwy i czarami, nigdy one, nie okurzywszy przynajmniej izby od *stego*, nie wychodziły z chaty, w której im dano jałmużnę. — Lud bojąc się jakiego nasłania, dawać musiał zawsze. Oprócz tego dawniej, kiedy jeszcze stany wszystkie mniej się od siebie oddzielały i więcej z sobą połączone były, pomagały do strojenia się ubogim szlachciankom, piekły ich twarz, uczyły brwi i włosy farbować, znały i udzielały miłośnych napojów, przynosiły zioła (często potrzebne) pomagające niepłodnością rozpustnemu życiu, także inne rzeczy tenże skutek wywierać mające, jako trzaski z trumny, mech z kościelnego dachu itd., które kładzono do łóżek — były powiernicami wszystkich dolegliwości, wiedziały wszystko, wpływały do

wszystkiego, co się w obrębie ich wędrowek działo. Złamał kto nogę — one zażegnywały ranę od ognia i puchliny, i one leczyły wrzody i wyrzuty, one umiały niepotrzebny płód zniszczyć, zapobiedz aby go nie było więcej, znały znowu sposób zaradzenia niepożądaney niepłodności kobiet a niemocy mężów, godziły, kłóciły małżeństwa, dawały rady względem wychowania dzieci. Nie raz namawiały na złe dziewczęta i ułatwiały chłopcom umizgi, przenosząc z obu stron poselstwa, namawiając, sprowadzając i t. p. Dziady czasem znowu zmieniając się w wendetarzy, trudnili się przekupstwem, tu żebrząc o łachman, lub chwytając ukradkiem, tam go znowu sprzedając. — Handel ich zależał na starem odzieniu, obówiu, świnkach, kurach; lecz najglówniej-szemi jego artykułami były różne leki, wódki, maście, wody z cudownych źródeł, świeczki, które przedawali na odpustach, wyrabiane z wosku nogi, rece, serca — na wota do kościołów, krzyżyki drewniane. Wieśniacy wszystko brali i za wszystko płacili, czasem uboższa szlachta.

Każdą prawie babę miało pospólstwo za czarownicę — wierzył lud że one wszystkie, wywróciwszy koszulę na nice, w czwartek na młodziku wylatywały z izby średnim oknem lub kominem, na ożogu, na podgórską granicę, że się udawały dla jakichś obrzędów na rozstajne drogi, że się stawały gdy chciały niewidzialnemi lub przybierały różne dziwaczne postacie zwierząt, kotów, kóz i t. p.; że mocą ziół jakichś otwierały zamki, po powrozach mogły wdrapywać się na wysokości, chodzić suchą nogą po wodzie; że miawały zachwycenia, w których widywały cudowne rzeczy; że najpospoliciej zmieniały się dwa razy w miesiąc, raz na młodziku, drugi raz gdy księżyc schodził; że w nocy przybierały czasem postać śmierci, w południe przy-południcy, wieczorem wiedmy lub latawicy. Latawiec, duch zły, był z nimi w szczególnej zażyłości i zgodzie, on także mienił się w różne postacie, sławny był z tego, że za prośbą lub umową nosił z cudzej spiżarni wszystko czego mógł dostać dla swoich przyjaciół.

Lecz już dość wreście tego wyliczania — jeszcze

jedno i najgłówniejsze pono po babieniu zatrudnienie bab, było — obmywać umarłych, kłaść ich do truny i śpiewać nad nimi wigilje. Ledwie kto w chacie powieki zawarł, jedni ze strachu, drudzy z przywiązania nie mogli ostatniej oddać mu posługi, biegł parobek po babę, która zawsze do tego była gotowa, gdyż to było może najzyskowniejsze z jej zatrudnień.

Powiedziałem już że lud lękał się bab, którym przyznawał władzę narzucania paraliżu, głupoty, febry i t. p. wywarami z różnych ziół, zbieranych w pewną doterminowaną porę.

Baby i dziady po dwoje lub troje włóczyli się niestannie z odpustu na odpust, z jarmarku na jarmark; rzadko razem szli w większej liczbie, bo by sobie sami przez to szkodzili. Ślepy ze swoim przewodnikiem, chromy i towarzyszy, głuchy z chromym, chromy ze ślepym, dziad z babą przyjaciółką, chodzili dzieląc się jałmużną zebraną, niekiedy drąc i kłócąc się o nią. Na odpustach niezliczone ich ćmy zasiadały smętarze kościelne, śpiewając, wykrzykując, ukazując rany, ofiarując świeczki na sprzedaż, maści i leki, ziola, udając *Kań Bożą* obłakanie, paraliż. Dzień zaduszny jest i po dziś dzień, jak był zdawna, wielkim dniem w roku dla żebraka, dniem najsutszej jałmużny za dusze zmarłe, którą każdy daje, bo każdy ma kogoś na tamym świecie, po kim płacze, za którego pragnie modły zakupić

W Polsce najstawniejsze stekiem żebraków miejsca były — Częstochowa, nowa Kalwarja, św. Krzyż na Łysej górze, Leżajsk, Staszówka, Szczepanów, Gniezno na św. Wojciech, Pilzno na św. Jan, Rzeszów na sławny jarmark, Jarosław na N. Pannę Zielną, Przeczyce na św. Michał, Leki na św. Bartłomiej, Chełm w Lesie, Zawady za Dębicą, kościół św. Piotra koło Dobrzechowa i t. d. W Zawadach była niejaki czas figura ukrzyżowanego Zbawiciela cudowna, z której boku woda ciekła, a tę dziadowie roznosili i przedawali, gdyż lud wielce jej był chciwy. Prócz tego pielgrzymowało dziadostwo daleko w cudze kraje za chlebem, a najpo-

spoliciej do sąsiadów, wyrobiwszy sobie list pod pieczęcią. Tłoczyli się oni do Węgier, pod wielkim strachem (jak powiadali) przebywając napelnione hultajami Bieszczady; do Siedmigródzkiej ziemi, do Wołoch; szli zdrowsi nieraz do Kozaków i tam przystawali, inni do Szląska, do Moraw. Niektórzy przy zebraniu trudnili się też przeprowadzaniem koni kradzionych, należąc do cygańskiej ligi, częstokroć nawet mniej świadome ich kupy wiodąc po kraju ubocznemi gdy tego było potrzeba manowcami.

Stykali się oni nieraz z możniejszą klasą, której byli potrzebni, do przenoszenia tajemnych korespondencyj, do szpiegowania wojsk, osób i t. p. Tak jeden z nich w XV wieku, przenosząc listy od Zygmunta cesarza do Krzyżaków, zmarł w drodze i tajemnica się wydała, inni (bo było ich więcej) umknęli. Tak książę Siemion Stucki przekradał się przez dobrze strzeżone bramy Lwowa do przyrzeczonej sobie księżniczki Halszki Ostrogskiej. Tu napomknem o zwyczaju trzymania do chrztu dzieci możnych przez dziadów, aby się hodowały. *)

Najpoetyczniejszą postacią u nas byli żebracy ślepi, dudarze i geślarze, chodzący po wsiach i dworach z pieśniami narodowemi ludu i nabożnemi. Powiadają że zyskowna ta żebranina tak dalece była dobrym chlebem, iż zwykle syn po ojcu geśle dziedziczył, a z nią ślepotę, umyślnie w dzieciństwie zrobioną.

Najrozwiązlejsza klasa włóczących się dziadów miała służący jej, mianowicie do porozumień we względzie kradzieży, oddzielny i właściwy swój język, o którym wspominają dawni pisarze nasi, że nim rozmawiali niezrozumiani od nikogo. Był to język ich rzemiosła, który, jak język flisów, jak język myśliwych, miał i swoje własne wyrazy (poczęści) i więcej jeszcze składał się z pospolitych, którym nadawano dziwne znaczenie.

Z tego cośmy tu już napisali, łatwo poznać, jak że-

*) J. Żochowski.

bracy wielkie miejsce zajmowali w życiu prostego ludu, jak wielki nań wpływ wywierali. Baba przyjmowała rodzące się dziecię, baba matkę dozierała przy położu, często bywała kumą, nie jeden raz potem swachą, nie jeden raz lekarką, a gdy umarł starzec, baba znova omywała go, kładła do truny i śpiewała wigilje. Proste przysłowie — gdzie djabeł nie może, tam babę pośle — maluje jak wiele mogły baby. Gadki też gminne rzadko się bez pośrednictwa dziada lub baby obchodzą, tych tajemniczych postaci, niewiadomo gdzie urodzonych i nieśmiertelnych, bo zawsze po sobie następujących bez przerwy i końca.

Obyczaje tej klasy były, jak najdziwaczniejszą mieszanią nabożeństwa i przesadów, modlitw i występków. Usłużne żebractwo miało jakąś popularną gadkę na wymówienie każdego wystętku, tak właśnie jak miało lekarstwo (mniemane) na każdą chorobę za kawałek chleba i kilka groszy; uspokajało nie jedno sumienie i nie jedną bojaźń chorobliwą rozpędzało. Tajemnicze życie, wiek, obyczaje, tradycjonalne o nich powieści, wszystko w oczach ludu okrywało żebraków jakimś urokiem dziwnym, natchnąć umiało wiarę w gusta ich, bojaźń i uszanowanie pewne dla nich.

W istocie często straszna była zemsta tych ludzi, których z trudnością dotknąć mogły prawa, a żadna nie wstrzymywała pospolicie wiara i sumienie. Nieraz rzucili ogień pod stodołę, ziele szkodliwe do jadła. — Jednym słowem, żebracy wówczas, tacy jakicześmy odmalowali, byli dla ludu ciągle niezbędnymi, czasem niebezpiecznymi, ustawicznie nasuwającymi się.

Inny nieco był żebrak właściwie miejski, lecz tylko o tyle, o ile wpływał na niego odmienny nieco rodzaj życia i otaczający go ludzie. Żebrak miejski trochę oświeceniwszy, równie zepsuty, przebieglejszym był jeszcze od innych.

Żebracy w miastach prędko zbierać się zaczęli w kształt bractw, czyli cechów uprzywilejowanych. Mieli oni swoje wpisy, księgi, pisarza, urzędników, skarbone, biczowników, pilnujących aby obcy przybyśse

miejskim chleba nie odbierali, zasiadając pod kościołami za jałmużną, lub włócząc się po mieście. Już w XVI wieku poksztalciły się takie bractwa u nas, mające swoją gospodę do schadzek w mieście, obowiązane starać się dla członków swych o księdza przy skonaniu i pogrzeb choć w polu. Przybywający do miasta litownicy, którzy o okup jako więźnie, albo o pomoc jak pielgrzymi dopraszali się, prosząc o zalecenie ich z ambon, stawić się byli obowiązani wprzód do gospody brackiej i papiery swoje okazać, w mieście nie wolno było ran odkrywać i dzieci nosić. Co cztery pospolicie niedziele odbywały się schadzki, których protokół pisano. W czasie głodów tylko i morów, gdy niezwykły był napływ ludu do miasta, porządek ten ustawał.

Ubdzysz szpitalni mieli sobie wyznaczony czas siedzenia na ulicach, pospolicie około Wszystkich świętych i Wielkiej nocy. Starszysznę obierano z dzwonników, cerkiewnych, zborowych kościelnych.

Należący do bractwa siadywali niekiedy w budkach, umyślnie skleconych, przy kruchcie kościelnej.

W ogólności żebrak w mieście mniej miał swobody, baczniejsze magistraty nie dawały bróździć, pod karą pręgierza, chłosty i wygnania z miasta; w razie dowiedzionych czarów, lub tylko intencji — palono bez przebaczenia. Swobodniejsze było życie żebraka na wsi, w ciąglej wesołej od proga do proga pielgrzymce, po znajomej okolicy, gdzie często w starym dziadku starą witano znajomość. Że wpływ żebraków był demoralizującym dla ludu, niewątpliwa — nie jeden dał się im nawieść do zbrodni, nie jeden patrząc na nich zasmakował w próżniactwie, tułactwie i żebraniu; nie jednemu pomogli oni do ukrycia bezkarnego pierwszej zbrodni, co było zachętą do dalszych.

Oprócz tych, o jakicheśmy wspomnieli stosunków z możniejszą klasą, przypomnijmy te, jakie się zawiązywały przy często w XV i XVI wieku zdarzających się uctach dla żebraków, przez panów, duchownych, mianowicie biskupów, dawanych. Do tych policzmy i obrzęd wielkoczwartkowy.

Oświecenie tej klasy na czem właściwie zależało? Na umiejętności pieśni pobożnych, modlitw, litanij i t. d., znajomości tradycji miejscowych, gadek, przyśpiewów, pieśni ludu; tradycyjalnych także formułach czarnoksiężkich i guślarskich; na poznawaniu ziół i niejakim ich własności różnych pojęciu. — Oto podobno wszystko. Dodamy tylko że baby uczyły się praktycznie usługiwać położnicom.

Taka to była ta klasa ludu, z której mistrz wybrał postankę do panny Agnieszki.

Znał cały Kraków starą Kachnę, brudną, garbatą, lecz wyszczekaną, wszystko wiedzącą i chytrą babę. I lud na przedmieściach, i panowie po swoich kamienicach, witali ją jak znajomą. Jednym rozdawała leki, obiecywała modlitwy, drugich bawiła wesołemi plotkami i dowcipną gawędą, której nikomu, w często nawet przytomnym nie przepuszczała. Nie prosiła ona jałmużny, ale przychodziła po nią jak po swoją należność, targowała się jak o zapłatę. Słowem, długie lata praktyki żebrackiej, pewna znajomość ludzi z powierzchowności ich (którą zawsze dziadowie i handlarze mniej więcej posiadają), przytem pobożność i nie splamiona dotąd żadnym wielkim występkiem opinja, nadawały jej śmiałość i jakiś całę odrębny postępowania sposób, który w skutek wymienionych przyczyn nikogo już nie dziwił.

Zwołał ją mistrz gdy szła przez ulicę.

— N. Panno Częstochowska! zawołała drąc się po wschodach; czarnoksiężnik chce czegoś odemnie! No! no! to coś osobliwego, nigdym się nie spodziewała, że mu się mogę zdać na co!

— Niech będzie pochwalony! rzekła wchodząc do izby z niskim ukłonem.

Mistrz zaczął od wrzucenia jej w rękę obfitej jałmużny. Stara potrząsnęła nią na dłoni i spoglądając w oczy Twardowskiemu, spytała:

— Wszystko dla mnie?

— Wszystko dla ciebie! odpowiedział mistrz, ale nie darmo.

— Wątpię żebyś choiał modlitwy albo lekarstwa. W pierwsze nie wierzysz, a drugiego i sam masz, podostatkiem.

— Zgadnij-że czego chcę od ciebie.

— A pokaż no mi dłoń, rzekła stara wyciągając rękę.

Twardowski podał ją z uśmiechem.

— No! no! odezwała się po chwili Kachna potrząsając głową; chodzi tu o jakąś dziewczynę, szyję bym dała.

— Zgadłaś stara! Chodzi o to żebyś to pismo odniosła pannie, która mieszka w kamienicy p. Stanisława Poraja, jego krewnie Agnieszce.

— Wołałabym pójść z tem pismem do panien fraucymeru królowej starej, jak do tej panny! Aj! dumna! bo duma! rzekłbyś że się urodziła na królowę. Bardzo się boję mój dobrodzieju, żebym tem pismem w łeb nie dostała i ze wschodów nie spadła.

— Bądź spokojna! szepnisz jej tylko od kogo! Chodzi tylko o to, aby cię nikt oddającą pisma nie zobaczył, albo nawet nie uważano, że masz do niej interes.

— O! mój dobrodzieju! odpowiedziała Kachna, czy mnie pierwszy raz! Jakem była młodszą, tom się ja umizgała, bo to mi teraz tego garba narosło; prosta bylam jak trzcina. Teraz na starość ludziom pomagać, i to jakoś łechce po sercu — kiedy ezłek pić nie może, patrzy przynajmniej jak drudzy piją. Już to nie chwając się, w całym Krakowie i na Podgórzu, bo i w całej Polsce, nie ma do tego zręczniejszej ode mnie. Znają mnie tu dobrze wszyscy, a nie jeden, choć starą i śmierdzącą, ucałował za dobrą nowinę. Bądźcie dobrej myśli, sprawię się należycie. Byłaby głupia, żeby z waszmością jeszcze stroiła ceregiele.

— Tylko pokornie z nią, zdaleka, bo wiesz że dumna jak królowa! rzekł mistrz — a nadewszystko ostrożnie.

— Bądźcie tylko spokojni! poznam ja ptaszka po

piórkach, a człeka po wejrzeniu — wiem z której strony począć! A wszystkie one, dobrodzieju, jednakowe, tylko każda z nich, jak wielkanocne jaje, inaczej po wierzchu malowana — w środku dalibóg to samo!

I śmiejąc się wyszła.

ROZDZIAŁ VIII.

Jaka była odpowiedź panny Agnieszki.

Niecierpliwie mistrz powrotu Kachny wyglądał, ale tego dnia nie przyszła. Nazajutrz dopiero po cichu, niby pacierze klepiąc, wcisnęła się na wschody, a tak tam krzyżąc pasowała się z broniącą jej przystępu czeladzią, że głos usłyszawszy mistrz, wybiegł sam z komnaty. Ona jęła dopiero sługi łajać, a mrugać na mistrza, aby ich porozpędzał.

Skinął Twardowski — ustąpili. Dopiero kiwając głową i wlepiwszy w niego szare oczy zaczerwienione, rozwinęła plachtę brudną, z której wydobyła zwinięte pismo.

Porwał je skwapliwie mistrz i z bijącym sercem czytał.

Zgadnijcie co w niem było.

Agnieszka przyjmowała podany projekt, ale pod przysięgą ze strony mistrza, że zaraz ślub wezmą. Kto by był sądził z pisma mógłby sądzić, że miłość tego cułu u dumnej dziewczki dokazała. Nie tak jednak całe było! Sercu jej dogadzały bogactwa narzeczonego i jego wieka sława.

Nie posiadając się z radości, Twardowski jakby oszaalał, rzucił starej Kachnie kiesę z pieniędzmi. Porwała ją chciwie baba z iskrzącymi oczyma, ale chwając go pod suknię i fartuchem do skórzanych kieszeni, te jeszcze słowa powiedziała:

— Źczęść że wam Panie Boże! boście warci szczęścia, i umiecie biednemu ciężką pracę nagrodzić, nie tak jak drugi, co jeszcze nałaje i nawymyśla, żeby mu mniej dać uszło. Ale bez uroku (i tu splunęła) choć *wissa* bardzo piękna, teraz ja się jej przypatrzy-

łam, ale do paralusza dumna. Na kiegoście bo kaduka pokochali się w tej królowej. Niewygodne to szczęście, co mu się kłaniać raz w raz potrzeba i klęczeć przed niem.

Twardowski dał jej znak ręką aby zamilkła, i nie nie odpowiedziawszy, wpadł nazad do komnaty. Z wielkiem podziwieniem swoim zastał w niej bernardyna, który z pokorną miną stał za stołem.

— A waszmość co tu robicie i którądyście tu weszli? spytał zdziwiony, stając na progu.

— Gotów jestem choć zaraz ślub dawać, odpowiedział zakapturzony mnich. Potem zsunawszy kapturę i ukazując szyderskie rysy szatańskiej twarzy — dodał:

— Wszakże masz już słowo panny Agnieszki.

— Zkądże o tem wiesz?

— Wie już o tem cały prawie Kraków, bo stara Kachna idąc, komu mogła śpiewała tę nowinę w uszy po drodze.

— A niechże ją ubiją, tę starą zmiję! krzyknął mistrz porywając się i wybiegając na wschody. Ona mnie zgubi swoim językiem. Do soboty jeszcze dwa dni.

Wnet wysłał sługi, ale ci nie dognali Kachny, która wpadłszy do najbliższej gospody, pić ze swemi poczęła i już zabierała się z pozyskanym posagiem, a garbem w dodatku wyswatać za młodego ślepeca, który jej się bardzo podobał.

Powrócili z niczem, gdyż szukali na ulicach, gdy ona piła w karczmie pod bokiem. Mistrz srodze się frasował.

— Nie bój się niczego, odpowiedział mu djabeł, od tych którym ona to rozplecie nie dojdzie wiadomość do p. Stanisława, a panna Agnieszka pewnie ci słowo strzyma. Daj tylko Boże, abys z nią był tak szczęśliwy, jak dziś masz nadzieję. Co ja, to płaczę nad tobą żal mi żeś się tak dał związać i opętać! Ale kiedy już masz ginać, dla jednej nocy wesołej, niechże ja dam ślub przynajmniej. Widzisz że jestem choć w tej chwili gotów!

— No — no — *Vade retro* i zostaw mnie samym, odpowiedział mistrz — mam wiele do czynienia. mnóstwo przygotowań.

— Powierz mnie co do roboty! potrafię ci być użytecznym.

— Ty tylko dopomożesz mi ją uwieść — postawisz konie i będziesz przewodnikiem do kapliczki w lesie. A teraz powtarzam ci: *Vade retro*.

To mówiąc Twardowski klasnął na sługi, począł wydawać rozkazy, tych konno, tych wozami w różne strony porzysłał, innych pieszo w miasto. Dwóch diabłów także za jakimiś ingrediencjami polecało. — Ruch nieustanny i przybory trwały w domu mistrza aż do soboty i owych niesporów.

ROZDZIAŁ IX.]

Jako się Twardowski ożenił, i co było na weselu.

Przed kościołem Panny Marji w Krakowie, stała poczwórna kolasa. Konie w niej były kare, bez żadnej odmiany, rosłe fryzy, bogaty na nich szór, woźnica zakapturzony w ciemnej barwie, dwóch obok pacholków konnych. U stopni stał wysoki mężczyzna uwinięty szerokim czarnym płaszczem, w kapeluszu z piórami czarnemi. — Niekiedy zachodził on przed konie, jakby się im przypatrywał, niekiedy znowu stawał na stopniu, a w chwilę pędził pod krużganek kościelny, wyglądając końca nieszpórów.

Był to Twardowski, kolasa czarna miała uwieść pannę Agnieszkę z kościoła. Zmierzchało właśnie, ostatki czerwoności słonecznej dogorywały na zachodzie, w kościele dzwoniło we wszystkie dzwony na *Magnificat*. Liczny tłum bab i dziadów, nie mogących znaleźć miejsca w kruchcie kościelnej, lub nie mających prawa żebrać jałmużny u drzwi, snuł się na placu przed kościołem, napelniając powietrze śpiewem wrzaskliwym i jęklivemi prośby wykrzyknikami, a nawet przekleństwami.

Dalej nieco stali słudzy, konie jezdne i kolasy. Między niemi wszystkimi celował zaprząg i powóz mistrza, już to pięknnością fryzów i kolasy, już dziwacznym wyborem czarnej barwy, która raczej kondukt pogrzebowy niż wesele przypominała.

Skonczył się wreszcie nieszpor, lud tłumnie z kościoła wysypywać się zaczął, Twardowski odepchnięty ode drzwi, niespokojny, z okiem wlepionem w wychodzących, szukał panny Agnieszki w tej ciżbie, z którą mnóstwo ubiorów i twarzy przesuwało się z szybkością

przed nim. Kilka razy omylony chwycił obce osoby i odskakiwał od nich, szukając swojej w innej stronie. Nareście gdy wszystkie tłum wypłynął, i pojedynczo tylko przypóżnieni nabożni wysuwać się zaczęli, postrzegł mistrz między nimi jaśniejące oblicze panny Agnieszki, ożywione, pogodne, jak gdyby w najspokojniejszej chwili życia, jakby nie o krok od wykradzenia, ucieczki i potajemnych ślubów. Wnet poskoczył mistrz za nią, i za długi wiszący rękaw jej sukni, kłaniając się nisko, z lekka zatrzymał, szepcząc:

— Wszystko gotowe!

— Spodziewałam się tego, odpowiedziała spokojnie — jedźmy!

I wiedziona przez mistrza zbliżyła się do kolasy. Słudzy podnieśli ją na rękę i posadzili, Twardowski skoczył na podanego konia, zawrócili w ulicę i polecili czekać.

Chmurno było i coraz chmurzyło się bardziej na niebie. Była to pora wiosenna, ale nie tej zielonej i wesołej wiosny, która duszę napełnia życiem i nadzieją, odmładza starych, dodaje sił młodym; — ale tej smutnej jeszcze i nagiej, która nie ma żadnego wdzięku, nie zielonego, świeżego i łączy jeszcze między zimą a wiosną prawdziwą, podobniejszą do jesieni niż do wiosny. Gdzie niegdzie jeszcze płaty szerokie śniegu białaty na czarnej ziemi, powietrze ciepłe było i wilgotne, niebo chmurne i czarne, wiatr przenikający choć nie chłodny. Droga była szkaradna, ale woźnica uprzedzony o potrzebie pośpiechu nie zważał na to, i wiadomymi sobie manowcami, po pagórkach pędził, nie dbając o błoto bryzgające dookoła, ani na częste przechylenie się kolasy.

Tak w milczeniu lecieli długo, długo — mistrz w ślad za niemi konno gonił i kolasę dościgał. Zaszła czerwona łuna zachodnia, wszedł księżyc, uspokoił się wicher, konie jeszcze leciały; nareście wpadli w zarośla, potem w las, koniom zwolnił biegu woźnica; stanęli u wrót opuszczonej w lesie kapliczki. Tu już błyskało światło i u ołtarza mnich zakapturzony,

w stule, czekał państwa młodych. Twardowski zeskoczył z konia i wprowadził do kaplicy pannę Agnieszkę.

To miejsce nie szczególnie było na obrzęd ślubów wybrane. Opuszczona dawno, smutna, czarna, zrujnowana kaplica. Mury jej przesiękłe były wilgocią, okna potrzaskane od wiatrów i burzy, pełno gratów wałało się na podłodze, ławki były potamane, obrazy podarte szmatami wisiały na ścianach, gdziekolwiek goździem przytrzymane.

Ołtarz brudny ledwie obrus okrywał, a w dwóch drewnianych okapanych lichtarzach paliły się dwie świece, których długie knoty oznajmowały jak długo czekano na nowożeńców. Nie można było wchodzić w te miejsce, oprócz się mimowolnemu smutkowi, jakim przejmowało to opustoszenie, ta śmierć wszystkiego. Na dobitkę jeszcze, zdarty i okapany woskiem całun z białym krzyżem, rozesłany był na stopniach ołtarza, zamiast kobierca. Uderzyło to mistrza, uderzyło pannę Agnieszkę, ale on nie wierzył w żadne wróżby, ona nadto się śpieszyła do ślubu upragnionego, żeby się taką fraszką wstrzymać dała.

Zaledwie stanęli u ołtarza, rozpoczął się ślub z taką szybkością, że odpowiedzi ledwie za zapytaniami zdążyć mogły. Zamiana pierścieni, związanie rąk stulą, wszystko to spletało się jak we śnie. — Chwila — i już znowu Twardewski unosząc na rękę żonę, siadał do kolasy, a konia swego oddawszy słudze, pędził z nią nazad do Krakowa. Piękna Agnieszka, uwinięta szerokim futrem, śmiała się i wesoło wyglądając rychło-li przybędą do miasta, odpowiadała śmiało i swobodnie, bez żadnej oznaki wewnętrznego poruszenia, na pełne gorących żądź zaczepki męża. Już miało świtać, gdy w mgłę dymów porannych ukazały się wieże Krakowa. Wkrótce woźnica jechał już uliczkami przedmieść, a właśnie wśród powszechnej ciszy dzwoniło na Jutrznia, gdy powóz zastanowił się u wrót kamienicy mistrza.

Te były otwarte; ciżba sług stała czekając rozsypana wzdłuż śieni, wschodów, na ulicy. Dopalały się światła oczekiwaniem całonocnem strawione. — Pil-

niejsi pacholcy krzatali się, inni pokotem leżąc drzemali snem porannym. Na górze słyhać było wrzawę wielką. P. Agnieszka spojrzała na męża.

— Cóż to za krzyk? u ciebie są goście?

— Sprosiłem ich na wesele — odpowiedział mistrz z uśmiechem.

Pani Twardowska zarumieniała się z radości i poprawiła zmiętej podróżą i uściskami męża sukni. W tem otwarły się podwoje szeroko, ukazała się wielka sala, wybita czerwonym adamaszkiem ze złotym galonem, wspaniale oświetlona. W pośrodku niej był stół połyskujący od sreber, nad nim sterczały liczne głowy biesiadników, których hałas przybywającej kolasy z opicia przebudził i na drżące nogi postawił.

Powitani okrzykiem wesołym, weszli państwo młodzi. Ale zaledwie pani Twardowska odkryła twarz swą ich chciwym oczom, kilka krzyków dały się słyszeć z tłumu, krzyków gniewu, oburzenia, złości, przekleństw i groźby.

— Agnieszka!

— Ona!

— Moja wychowanica!

— Moja narzeczona! wołali.

Mistrz bowiem wszystkich prosił, a nikomu imienia swej przyszłej żony powiedzieć nie chciał.

Stary p. Stanisław z rozognioną twarzą, przeciskając się, z tłumu gości wyskoczył.

— Mości Panie! krzyknął, to zgroza! to *scandalum!* Waszmość śmiałeś podmówić moją krewną, porwać z mego domu narzeczoną innemu, wpół już jego małżonkę? Waszmość śmiałeś jeszcze jakby na urągowisko mnie tu zaprosić, abym był świadkiem jego rozpusty i na swoje własne upokorzenie patrzył? Dobądź szabli i bij się — jesteś szlachcic.

— Hola! hola! wołali drudzy hamując.

— Stójcie! stójcie! krzyczały kobiety.

Pani Twardowska zdumiona i przerażona cofała się za męża. Przystąpił kupiec *pseudo-* narzeczony.

— Waszmość odważyłeś się następując na *securita-*

tem uczciwego domu, porwać z niego osobę już mnie za *konsensem* jej krewnych przyrzeczoną? — Waszmość mnie porwałeś moją własność jak zbójca — ja się naprzód bić będę — ja, ja — hola, dajcie mi szabli!

— Cicho mieszczaku! ozwał się ktoś z przyjaciół mistrza, nie masz prawa do szabli boś nie szlachcic, na kije chyba z tobą wystąpi z nas który.

Tymczasem spokojniejsi wszczynając się wrzawę starali się zahamować, nie dając się do siebie zbliżać rozgniewanym, rozprowadzając ich. Hałas jednak rósł co chwila. W tem śmiała pani Twardowska wystąpiła z za męża i zawołała do p. Poraja i jego krewniaczka:

— Czego to Waszmość chcecie, i o co wszczynacie wrzawę? Komuż to z was przysięgłam na niewolę, że mnie swoją jak bydlę kupione zowiecie? Jestem-li Waszmości córką, p. Stanisławie, żeś mną bez mej woli chciał rozporządzać? Jestem-li twoją żoną, panie Dominaszku, że się o mnie jak o swoją dopominasz? Co za prawo macie do mnie? jestem sierota; zrobiłam co chciałam — wy wydziedziczycie i rzecz skończona.

— Nie do ciebie mowa, szalona pałko, odpowiedział zajątrzony p. Stanisław, ale do tego co cię porwał. Precz białogłowo do kądzieli i garnków, a ty wystąp z szablą! Przyptacisz mi srodze to urągawisko, na jakieś mnie wystawił.

Mistrz, który, jakby go wcale obelgi groźby nie dotykały, milczał, dotąd uśmiechając się tylko, ozwał się nareszcie:

— Powoli, powoli! Trzebaż wprzód, żebyście potańcowali na mojem weselu. — Hej, grajkwie, a nu w skrzypce!

Tylko co te słowa wyrzekł, wstąpili na ławy grajki z niemiecka ubrani, i jeszcze się p. Stanisław szamotał, jeszcze kłął Dominaszek okropnie, gdy na głos czarodziejski smyczka, klnąc, wrzeszcząc, wywijając kijami i szablami wszyscy przytomni przytrzymując się, próżno usiłując ustać, poszli mimowoli w taniec sza-

lony do koła stołu.

Mistrz ich tak oczarował, że wszyscy, wiele ich tam podówczas było, opętanemi puścili się w skoki, a choć pełni złości, kleli, bić chcieli, popychali się, tańcowali jednak. Zagniewani, zmordowani, bezprzytomni, krecili się z odgłosem czarodziejskiej muzyki, która nie ustawała. Już dzień był biały, a oni jeszcze zwiłali się po sali podkasawszy pół. Nareszcie p. Stanisław wypraszać się zaczął.

— Mistrzu, wołał, każ ustać kapeli, ty nas w śmierć pozamęczasz! do licha! uwolń od tej męczarni. Daruję ci wszystko, noga moja u ciebie nie postanie. — W Imię Boga, każ tej przekłetej kapeli ustać! Dominaszku, przytrzymaj mnie z całych sił.

Dominaszek tańcując chwycił p. Stanisława, ale ledwie się go dotknął, rozlatywali się, każdy w inną stronę, jak dwie rozpedzone i uderzone o siebie piłki.

Mistrz z żoną śmiał się do rozpuku; aż wręście gdy ujrzał, że się dobrze uznouili wszyscy, dał znak. — Ustała muzyka, wszyscy na ziemię popadali, a wielu i powstać nie mogło.

Wnet stół pokrył się misami srebrzystemi, potrawy, dzbanami — rozpoczęła się uczta. Obrażeni jednak lękając się znowu jakiej zemsty, cichaczem pouciekali do domów.

Mistrz z żoną zasiedli pierwsze miejsce za stołem na paradnych aksamitem wybitych krzesłach; otoczyli ich goście, a wśród wesółych wiwatów, trwała biesiada do nocy. Nad zmierzchem zniknęli państwo młodzi, pijacy pozostali u kufłów, obzartuchy poszli się z niestrawności kurować.

Całe miasto uważało, że ta noc była niesłychanie długą; a byli nawet tacy, którzy utrzymywali że czterdzieści godzin trwała. Inni jednak piszą, że nie dłużej nad dobrych trzydzieści. W tym względzie nic stanowczego wyrzec nie ośmielamy się; wiemy tylko, że Twardowskiemu tak się zdała krótka, iż z tej okoliczności cytował ruskie przysłowie.

ROZDZIAŁ X.

Jak Twardowski żył z żoną, jak z rady djabła ją podsłuchał i co potem czynił.

Któż nie zna złotych pierwszych chwil małżeńskiego pożycia, kiedy jeszcze z czary miłości spijają się pierwsze słodycze, kiedy pewien urok tajemniczy, pewne nieobznajomienie się połączonych, nowym są przysmakiem? Któż nie zna tych dni promiennych szczęściem, nadzieją, kiedy się zdaje że życie całe upłynie rozkoszą, weselem, zgodą i miłością? Takie dni są nawet najnieszczęśliwiej dobranego stadła udziałem, bo na brzegu czary, która często ukrywa w sobie tyle goryczy, jest zawsze kropla słodkiego szalu, odurzenia i rezkoszy. Naówczas małżonkowie wzajemnie jeszcze dla siebie zachowują względy, szanują się, pieszczą, o tyle tylko spoufaleni, o ile poufalskość miłości ich jest potrzebna, nie wyzuwają się zupełnie z pewnych form grzeczności, które coś idealnego, nieludzkiego, na pierwsze dni małżeńskich rozkoszy rzucają. Mąż i żona przyglądają się sobie, usiłują się wzajemnie zbadać (bajka to żeby się wprzódki znać można), i w tem pół zaufaniu, pół niedowierzaniu, nie puszczając sobie cugłów zupełnie, o jakże są jeszcze szczęśliwi!! Nie dajże to do myślenia, że człowiek chcący dłuższego szczęścia w małżeństwie, powinien go szukać w uprzedzającym obejściu się i oznakach uczucia, jeśli uczucia prawdziwego nie ma?

Takie, jak wszystkich prawie, były pierwsze dni pożycia Twardowskiego z żoną, oboje byli sobą szczęśliwi. Ona na chwilę zapomniała o swej dumie, o wielkości, sławie i bogactwach, bo pierwiastki gorącej miłości do życia jej wystarczyły; on szalenie zakochany

u nóg jej, całując jej ręce, patrząc jej w oczy, czuł w tych chwilach, że mu nic nie zostawało do życzenia. Wówczas tylko kiedy myśl śmierci w oczy mu zajrzała, kiedy piekło, któremu duszę zaprzedał, przypomniał, chmurzyła mu się twarz i zasepiało czoło. Jednakże gdy jaka namiętność całą swą siłą człowiekiem oładnie, łatwo naówczas obce jej myśli topią się i nikną w tym ogniu. — Twardowski też rzadko, coraz rzadziej myślał o piekle. Szatan w kącie na wszystko poglądał, wszystko widział i uśmiechał się po cichu. Wiedział on, że tak zawsze być nie może. Wiedział on co się działo w głębokich tajnikach duszy pani Twardowskiej, i co za przyszłość gotowała się dla nich obojga.

Uchodziły godziny, dnie, tygodnie, miesiące — cały rok tak upłynął, dopiero ku końcowi jego zmieniać się zaczęła pani Twardowska. Jej charakter stracił pierwsiastkowych dni słodycz, duma i chęć rozkazywania wychodziły powoli na wierzch. Z początku jednak było to niewyraźnie i delikatnie stopniowane. Mistrz ulegał śmiejąc się i żartując, zawsze jeszcze zakochany, a zatem powolny. Czasem tylko, kiedy sam na sam z myślami swemi pozostał, chmurzyło mu się czoło, wracały dawne zadumania chwile. Pani tym czasem rządziła się w domu, traciła pieniądze na zbytki, sadziła się na przepychy, coraz nowe sobie wymyślała zabawy. Wkrótce dom dla niej stał się nudny, nowych zapra gnęta wielbicieli, nowych gości. Starła się zwabić najzacieńszych, aby się jej bogactwom dziwili, starła się o najrozumniejszych, aby ich mądrością swoją zacić, a powoli zapominając o miłości, której tylko jakby dla formy pierwsze dni pożycia poświęciła, oddała się swej namiętności panującej — namiętności blasku i wielkości.

Niepodobna jest opowiedzieć, jak do tego stopniami przyszło, jak się ten przykryty jej charakter rozwinął i wyjawiał, jak zwolna kochanka i żona zmieniała się w panią nieznośną. Twardowski potrzebował spokojności dla myślenia, ona mu rozkazywała bawić pasibrzu-

chów, którzy śpiewali jej pochwały; chciał w ciszy nad badaniami natury pracować, ona go z sobą ciągnęła w świat nudny, na którym sobie tylko szukała pochwał i oklasków. W domu biedny mędrzec nie miał także pokoju. Nie było swobodnej godziny i kąta. Po jego księgach biegały jejmościne psy i papugi, które dla tego mieć chciała, że je miała królowa i wojewodzina. Mistrz musiał ciągle tylko jej służyć.

— Pójdź tam — zrób to i t. p. były wkrótce jedyne jej do niego wyrazami. Z początku słodziły to niby serdeczne wyrazy — drogi — serce — duszo; — potem i od tego się uwolniła, a poczuwszy swą siłę, jak koń który zaczyna od klusa a kończy na czwale, leciała wzięwszy na kiel.

Jest jednak chwila, w której i najpowolniejszy człowiek, obejrzysz się, i najcierpliwszy zniecierpliw i najłagodniejszy oburzy. Ta chwila zbliżała się i dla mistrza, którego tylko dotąd nienasycona miłość trzymała w niewoli. Coraz mniej jednak czuły, coraz smutniejszy, w końcu pozwalał sobie niekiedy się z lekka sprzeciwiać, okazywać nieukontentowanie, lub nie posłuchać małżonki. Potem przyszło do tych nieporozumień kilkogodzinnych, kończących się zawsze wieczorem, gdy piękna żona związywała włosy i kłaść się miała w łóżko. Z tych kłótni krótszych, przyszło do kilkodniowych i całoniedzielnych; a choć świat jeszcze nie widział co się tam działo w tem stadle, choć powierzchownie była zgoda, wewnątrz kipiała wojna i gotowały się burze.

Bo wszystko przychodzi nieznacznie. Tak czas nieznacznie nas starzy, tak boleści nieznacznie nas podjadają, tak miłość nieznacznie nas wikła, tak niezgoda poczyna się z małego, a pożar od iskry. Tak też początkiem wojny domowej były tylko milczenia i dasy, potem krótkie swary kończące się uściskiem wieczornym, potem nareście nieznacznie przyszło do głównych kłótni. Gdy raz przenocowała pod poduszką niezgoda, już zamieszkała w domu. Pomiarkowali oboje że walka być będzie, uzbroili się i nuż do boju!

Ale ciężka była walka z mistrzem! Miał on za sobą

naukę, rozum, język i słowa na rozkazy, czary na pomoc, tysiąc tajemnych sposobów — ona tylko upor nie-wieści i potrząskaną broń swoją, resztki niedogastej dawnej miłości. Ale prędko w tej wojnie domowej — ostatki jej spłonęły — wspomnienie tylko, jak czarny węgiel zostało — więcej szkodliwe niż pomocne. W końcu już tylko widywali się, żeby się kłócić, a djabeł, o! jakże się śmiał wówczas i poklaskiwał!

Raz wszedł on właśnie do komnaty mistrza, gdy ten spocony, rozgniewany, po długiej jakiejś sprzeczce z żoną, zadumawszy się ponuro siedział.

— Dobry wieczór ci mistrzu! rzekł. Dawnośmy się nie widzieli — ale, nowe sitko na kołku. Mógłbym myśleć, mimo twego ożenienia, że cię coś dreczy, tak jesteś smutny i taką widzę w tobie boleść. Miałyżby tak prędko przyjść już złe czasy?

— Jedno nic! jedno nic! odpowiedział Twardowski pocierając czoła — drobnostka, pewne domowe kłopoty, nieoddzielne od małżeńskiego życia, *malum necessarium*.

— Widzę ja wszystko co się dzieje, nie zmyślajcie przedemną, rzekł djabeł śmiejąc się. Czytam w twojej duszy, jak w liście do mnie pisanym. Pozwolisz-że mistrzu przypomnieć, jakie naówczas obiecywałeś sobie szczęście, gdy ja stale odradzałem ci terazniejszych związków?

— Nie myliłem się obiecując sobie szczęście; to są małe przechodzące chmurki.

— Chmurki te, mistrzu, codzień się stają czarniejsze, twoja żona straszniejsza co chwila — wiesz to sam dobrze, na cóż chcesz to ukrywać przedemną.

— Któż ci powiedział, że temu przyczyną moja żona?

— Jeszcze pytania? a! na siódmą otchłań siarczy-
stą, alboż zapomniałeś, że wiem zawsze o wszystkim i nie opuszczam cię nigdy?

— Ha! kiedy wiesz wszystko, rzekł mistrz, no to dajże mi radę.

— Radę? teraz! zapewne! kiedyś się zabrał z nią

na wiekuiste gotąbkowanie! Ale czemuż nie słuchałeś, gdy ci radził wprzódę uwieść ją, wyssać co miała słodczy i rzucić jak brzydką łupinę owocu, który na chwilę chłodził?

— Dla czego? Tak chciałem! i dosyć; miałem w tem moje myśli — mój sposób widzenia rzeczy.

— Zrobiłeś jak chciałeś, a skończyło się jakem ja przepowiedział, rzekł djabeł z wiecznym śmiechem. Teraz czas, żeby się to twoje głupstwo przecie skończyło.

— Jakże się ono ma skończyć?

— Dość hędzie gdy ją po prostu wypędzisz.

— Żebym ja! ja! wypędził żonę z domu! Oszalałeś — cóżby na to ludzie rzekli?

— Ludzie! W czas opatrzyłeś się, że ludzkie gadanie potrzebne ci jest do szczęścia.

— Ależ djable, to by było szkaradnie, wypędzić żonę.

— Jaką żonę?

— Przecież jest moją żoną.

— A tak! bo ja wam ślub dawałem!

Mistrz trochę był o tem zapomniat i uwikłany w życie pospolitych ludzi, przywykł się być uważać jak najprawdziwszym mężem.

Nastąpiła chwila milczenia, po której ozwał się Twardowski:

— W istocie jednak, nie jest ona tak złą jak się zdawać może tobie.

— Jest gorszą niż ty myślisz, odpowiedział szatan — widać tylko że ją jeszcze kochasz. Ha! żyj z nią jeśli chcesz jeszcze, kiedy ci się tak to życie podobało, lecz chcesz-li się o jej cnocie przekonać?

— Ona mnie zdradza! zdradza! ona by mnie śmiała zdradzić! innego by kochała! wrzasnął zapalczywie porywając się z miejsca i lecąc do szatana Twardowski. — To być nie może! to niepodobna!

A djabeł zimno, nie ruszając się z miejsca, odpowiedział.

— Tak jednakże jest. Ona cię zdradza!

— Ty mi to musisz dowieść! to być nie może!

— Tak jest!

— I dla kogoż? mów! mów-że!

— Zwyczajnie, dla świeżego młokosa, odpowiedział djabeł powolnie — trwa to już dobrze od dwóch miesięcy. Dla owego p. Krzystofora, owego wymuskanego komornika królewskiego, w którego głowie tyle jest rozumu, ile w czaszce zdechłego konia.

— To być nie może! to niepodobna! wołał mistrz — pójdę, pójdę! przekonam się i zabiję ją!

— Idź-że, idź! ale pozwól sobie na pożegnanie powiedzieć, że nie widziałem głupszego nad ciebie mędrca. Zamiast czekać przekonania, zamiast powolnie się i rozwaźnie zemścić, dozwolić sobie roskoszy, prawdziwej roskoszy zemsty, ty chcesz żeby ona ciebie zgromiła, płaczem pokonała, ogłupiała i nadal rozumniejsza, związała ci na nowo głowę i ręce do wiecznej niewoli!!

— Cóż mam poradzić? co mam robić? rzekł mistrz, mów, dyktuj — mnie pali.

— Czekaj, wysłuchaj mnie cierpliwie. Udaj (to ci łatwo przyjdzie) że cię dziś wezwano do chorego, wyjedź niby w kilkunastu-milową podróż. Ona niechybnie, jak tylko ty ztąd wyruszysz, wezwie do siebie kochanka. W nocy drugimi drzwiami od ogrodu wkradniesz się do swojej komnaty, będziesz mógł podsłuchać ich rozmowy, i przekonaną na ówczas wypędzisz z domu hańbie.

— Dobrze tak! dobrze! lecz nie chcę jej wpróż widzieć, rzekł Twardowski, bo bym w sobie tajemnicy nie potrafił utrzymać, to mówiąc klasnął na sługę i posłał go z oznajmieniem do pani, że pilno wyjeżdżać musi w drogę na dni kilka.

Chwilka ledwie minęła, gdy szatan ukazał mu przez okno, tylnymi drzwiami wychodzącą z kamienicy służącą i powiernicę pani.

— Oto już idzie po gaszka — rzekł, złapiem ich w półapkę niezawodnie.

Nadeszła przygotowana kolasa, Twardowski ruszył

z domu, a szatan niewidzialny pozostał na czatach.

O! jakże niecierpliwie, odprawwszy konie za miasto, sam w gospodzie pod Florjańską bramą ukryty, oczekiwał oznajmienia! o jak mu z gniewu, z oburzenia, z niecierpliwości serce biło i krew po wszystkich żyłach wrzała! Nareszcie nadleciał szatan, z uśmiechem prawdziwie piekielnej radości na ustach i rzekł tylko:

— Chodźmy!

Noc była pogodna i jasna, sunąc się pod ścianami kamienic, dostali się po cichu do ogródka na tyle mi-strzowskiego dworu. Tu otworzyli furtkę, cicho przeszli ulicę i wkradli się niepostrzeżeni do izby, dotykającej wprost sypialni. Stanęli?

— Gdzież są? spytał drżąc mąż.

— Tu obok, odpowiedział djabeł, słuchaj tylko cierpliwie, przez drzwiczki dójdzie cię ich rozmowa. Dla ucha męża nie ma podobno ciekawszej w świecie, nad jego żony z kochankiem!

Twardowski unosząc ogromną szablę drżącą w jego ręce spotniałej, przysunął się do drzwi bladej, zdyszanej, nieprzytomnej, i słuchał.

W sypialni była taka rozmowa:

— — Nieprawda, nieprawda, panie Krzystoforze! nigdy mego męża nie kochała!

Był to głos pani Twardowskiej, pierwsze te słowa mąż usłyszał.

— Ależ moja Agnieszko (był to głos gacha), dla niego przecie odmówiłaś tak bogatemu Dominaszkwowi, zrzekłaś się po Porajach dziedzictwa! Ja to wiem wszystko! Dałaś się nareszcie wykraść, i to wielka ofiara.

— Żem odmówiła temu głupcowi Dominaszkwowi.

— To nie dziw zapewne, przerwał głos gacha, ale zapisy Porajów! wioski, kamienice, kapitały! sto razy rozumniejsze od Dominaszka! tak rozumne!

— Twardowski był i jest bogatszy, niż Dominaszek i wszyscy Poraje — wyrachowałam się dobrze.

— Przecież wyznaj Agnieszko, nalegał znowu głos

gacha, w pierwszych chwilach, ja patrzałem na was, tyś go widocznie kochała.

— Musiałam dobrze udawać, odpowiedział głos Agnieszki, kiedyś was wszystkich — nie tylko jego jednego zwiodła! Trzeba lepu na ptaki i miłości na podciąganie mężów pod swoje panowanie. — Raz w siodłach, nie tak się łatwo rozwikłają.

— Zaiste! zrzeczna z ciebie niewiasta, na Boga! rzekł p. Krzysztofor ze śmiechem — a twój Twardowski, którego tak wielkim mędrcem i czarnoksiężnikiem głoszą, bardzo głupi, że się na sztukach nie poznał. — Ale któż by się niewieściej udawanej miłości nie dał podejść, gdy ona dumę łechce, a takie jeszcze oczy o niej mówią.

Tu usłyszał mistrz pocałunek, i chciał już drzwi otworzyć, ale go szatan wstrzymał jeszcze.

— Posłuchaj-no jeszcze trochę, rzekł, może się znowu czego ciekawego dowiesz.

W sypialni ciągnęła się dalej przerywana tylko pocałunkami rozmowa.

— Powiedz-że mi, był głos Krzysztofora, czy prócz bogactw Twardowskiego, nic więcej nie skłoniło cię pójść za niego? Starali się o ciebie przecie ludzie bardzo bogaci.

— Słuchaj, trzeba żebym ci się przecie wytłumaczyła, odpowiedziała kobieta. Z tobą muszę być szczerą. Wolałam go od innych *za męża*, bo był razem bogaty, sławny, znaczący. Całe życie śniło mi się bogactwo, sława i wielkość; wszystko byłabym za nie oddała. A że był razem mój mąż bogatym, sławnym i znaczącym, nie wahałam się i chwili, czułam że mi tylko tego do mojego szczęścia potrzeba.

Po chwili:

— Nie wiedziałam że i miłość do życia potrzebna, bom ją przy tobie dopiero poznała.

Tu nowe były pocałunki i uściski.

— Nie rozumiem jednak za co, rzekł mężczyzna, głoszą Twardowskiego wszystkowiedzącym czarnoksiężnikiem, gdy on daje ci się zwodzić tak spokojnie i

niczego się ani domyśla; nie domyśla że ty nie jego, ale bogactw jego i sławy żądałaś, gdyś mu rękę odawiała.

Przypomina mi to przypowieść wielkiego naszego poety, który

ziemię prsemierszył i głębokie morze,

ale ci jej nie powiem całej!

Uśmiechnął się p. Krzysztofor.

Po chwili znowu głos Agnieszki:

— Tak to zawsze wychodzą wielcy mędracy owi, którzy zapatrzwszy się w niebo, nie mają czasu ziemi widzieć. — Zresztą cóż dziwnego, że w nim znalazłam jedno, czego mi było potrzeba, w drugim resztę. Jego jestem żoną, twoją kochanką, jego mam sławę i bogactwa, twoją miłość, nim żyję dla świata, tobą dla siebie. Oba te życia składają jedno dopiero całe.

— A ja zawsze powtarzam swoje, bo się temu wydziwić nie mogę, rzekł gaszek — cóż to za głupi mędrzec!

Tu już dłużej Twardowski powstrzymać się nie mógł, otworzył drzwi z trzaskiem, wpadł do sypialni z szablą podniesioną i dwa ogromne krzyki spłoszonej pary dały się słyszeć.

P. Krzysztofor chwycił za leżącą blisko szablę swoją, ale w ręku swym zdziwiony ujrzał tylko wiszący od rękojeści kawał płótna. Twardowski w gniewnem milczeniu oczyma ich mierzył.

Pani Twardowska, kryła się w łóżko, nurzając głowę pod wezgłowie.

— Ha! nieprawdaż, krzyknął do gacha! — głupi Twardowski — tyś tylko mądry i ona mądra! on głupi, głupi, bo na was czatował; głupi, bo was złapał; głupi, bo was przykładnie ukarze — głupi Agnieszko twój mąż! głupim ja panie niewieściuchu, podwikarzu! Tyś mądry żeś dał się złapać w półapkę! o! tyś dopiero mądry! No! pokaż-że teraz wysoką mądrość swoją i wywiń się z tego — i ty także śliczna pani, tak biegła w oszukiwaniu. — Od ciebie naprzód zacznę.

— Nie jesteś i nie byłaś moją żoną, bo nie ksiądz, ale niewiedzieć kto ślub nam fałszywy dawał. Precz z mego domu nierządnicu — precz! Idź żebraj nędzna po ulicach, lub siądź gdzie pod straganem garnki przedawać, ty coś całe życie o wielkości i bogactwach marzyła. — Idź i spróbuj nędzy! precz z mego domu, nierządnicu paskudna!

Klasnął na sługi, którzy przybiegli.

— Wyrzućcie ją, zawołał, za próg domu, a jeśli się tu więcej pokaże, osmagajcie ją różgami. Nie chcę ci życia odejmować, lepiej cię ukarzę pogardą i nędzą!

Precz nierządnicu! wyrzućcie ją ztąd!

A słudzy porwali ją i wyciągnęli płaczącą za wrota domu. Dawno oni ją nienawidzili, to też ściśle i bez litości dopełnili rozkazu.

— Ty zaś mój miły gaszku, coś się tak! żwawo do szabli porywał, zważając żeś nie tyle winien, masz tylko dwadzieścia lat pokuty, które przeżyjesz w psiej skórze błądząc po ulicach. Tak, w psiej skórze, w skórze parszywego kundla, którego gnać będą kamieniami i odpędzać ukropem od wrót; idź za swoją kochanką, miły gaszku!!

Ledwie to wyrzekł, p. Krzysztofor, zmieniawszy się w obrzydliwego psa, zaszczekał, zawył i uciekł popędzany razami nielitościwych sług. To był początek zemsty Twardowskiego.

ROZDZIAŁ XI.

Jako się mścił jeszcze Twardowski.

Po tej próbie małżeństwa, Twardowski zmienił się bardzo. Zrazu szukał on kobiet, potrzebując ich jeszcze i mniemając, że znaleźć potrafi taką, która go szczerze pokocha. Ale próżne to były nadzieje. Gdy głupcy łatwo bardzo dostać mogli kochanek, które za nimi szalały, i mężów nawet dla nich zwodziły, on nie potrafił znaleźć żadnej, coby go inaczej jak dla jego złota lub sławy kochała. Czemuż to? Bo podobno kobiety lubią głupszych od siebie kochanków, nie czując się z nimi upokorzone. One to bardzo lubią wyższość swoją utrzymać i rozkazywać wszystkiemu, co ich otacza. — Musiał się więc sam oszukując, ograniczać Twardowski tą głupią miłością, zapłaconą, udawaną, która nie nasycy; a jednak chwyta się jej nie jeden, gdy łaknąc namiętności, szlachetniejszego przedmiotu nie znajdzie; tak jak myśliwiec pije wodę z brudnej kałuży, gdy go pali pragnienie, a czystego nie widzi źródła. Tak i mistrz, porzuciwszy żonę, znał tylko potem towarzystwo owych zepsutych kobiet, które złotem kupował. Djabeł śmiejąc się podstawiał mu przed oczy coraz wdzięczniejsze postacie, a kiedy Twardowski smutny nieraz, myślą wszystkie zawody swego życia przypominał, on mu szeptał:

— Wierz mi mistrzu, innej miłości nie ma, chyba dla głupców, co w inną wierzą! Może być przywiązanie nałogowe, namiętność zwierzęca, dziecięcy szal platoniczny; ale tego co ty zowiesz miłością *per excellenciam*, tego nie ma na świecie, jak Feniksa i Syreny, ohociaż Feniksa także i Syreny opisują bardzo uczeni i poważni ludzie. Są to wszystko poetyczne bajki.

Mistrz więc musiał się rad nie rad kontentować, tem co mógł posiadać, to jest najgorszą częścią miłości, miłością bydlęcą. Szatan umyślnie wmaawiał mu że innej nie było, bo się lękał aby prawdziwa miłość, nie uczyniła mistrza enotliwym, tak jak czyni wszystkich istotnie zakochanych.

Długo tak znowu upłynęły lata

Kilka już przeszło od czasu rozvodu mistrza z żoną, gdy on raz wracał do miasta od chorego, otoczony służbą i dworem swoim, jak zawsze skrzywiony i znudzony, nie wyspany, udręczony myślami ciężkimi, które zwykle opanowują głowy ludzi zużytych i znudzonych życiem.

Wjeżdżał właśnie z pocztem swym nu rynek, gdy obróciwszy się bez myśli, ujrzał coś, zastanowił się i gorzko uśmiechnął.

Ujrzał był właśnie Agnieszkę, niegdyś swoją żonę, która w lichej budce, przyklepionej do ściany jakiegoś domu, siedziała smutna, blada, nad stosami garnków.

Okrywała ją podarta i brudna suknia, oczy miała wpadłe, włos poprzylęgał do skroni, usta zsiniały, a z wdzięków dawnych, został tylko straszny wyraz oczów, który jak dawniej kochanków, teraz kupców odstręczał. U nóg jej leżał szkaradny pies bury, niegdyś jej kochanek, którego ona teraz przez litość karmiła...

Na ten widok serce mistrza zawrzało nowym gniewem, nową żądzą zemsty, odwrócił się do sług i rzekł:

— Widzicie tę niewiastę nad garnkami siedzącą? Jest to niecna złodziejka; idźcie i wytłuczcie jej garnki i psa jej objście.

Na rozkaz mistrza pobiegli słudzy z kijami, a wkrótce ulica rozległa się wrzawą przekupki i wyciem burego kundla.

Gdy się to działo, mistrz powolnie przejeżdżał mimo kolasą złoconą, nasycając się płaczem Agnieszki, która poznawszy go, zasłoniła twarz rękoma i padła na ziemię.

Szatan unosił się w powietrzu nad głową mistrza

i poklaskiwał z całych sił.

Odkrywszy ostatnie schronienie biednej Agnieszki w lepiance lichej, ile razy przejeżdżał mistrz tamtędy, tyle razy ludziom swoim, garnki jej wytłukać i psa bić kazał; aż póki przywiedziona do rozpaczy, gdzieindziej się nie przeniosła!

W sercu Twardowskiego niczem nie nasycona gorzała zemsta. Nie tyle mu chodziło o zdradę samą, jak o to, że się dał oszukać. Dla niego było to boleśniejsem nad wszystko. On także był dumny. Nie żałował już potem jej miłości, ale bolał krwawo, że się poniżył i zhańbił w oczach ludzi. Mógłże jej kiedy obrazę swej miłości własnej darować? Jest to jedno, czego dumni przebaczyć nie umieją, nigdy i nikomu.

ROZDZIAŁ XII.

Jako Twardowski przeszłości swej żałował, i z djabłem się kłócił.

Ale wszystko się kończy żalem, mało jest rozkoszy tej ziemi płaczu, którymby prędzej później nie towarzyszyły zgryzoty, za którymi by nie szedł w ślad smutek, Albo się żałuje upłynionych chwil jako postradanego dobra, albo się płacze steranego w boleściach żywota, albo to, co było szczęściem, w nudę się zmieni przesyceniem. Zawsze żal w końcu.

Tak było i z Twardowskim, który niczem nie zaspokojony, ani nauką, ani światem którego używał; tęsknił i żałował że wieczność całą przed sobą zamknął, Począł przeglądać się że zły handel zrobił z szatanem. że nic nie może opłacić duszy i nieśmiertelności. Bo wszystko co otrzymał w zapłacie, było tylko przemijające, z nim ginęło; nie mogło nawet pocieszać przeszłości wspomnienie gdy się żadną nie podpierano przyszłością; a nadchodząca wydawała się czarną i groźną. Póki dalsza była od niego ta przyszłość, nie tak mu dopiekała, nie tak była straszną, lecz co godzina, co dzień zbliżała się; Twardowski drugi już raz widząc siwiejącą głowę, stękał i ubolewał nad krótkością życia ludzkiego. A jednak żył tak długo! Z dzisiejszego stanowiska, wszystko wydawało mu się tak próżnem; nauka tak czezą i małą wobec świata i światów, roskosze tak drobnymi punktami wobec wieczności?

— I toż to życie! mówił — Gdzież nasycenie mądrością, któregom się spodziewał! Marzenia o szczęściu w nauce, do czegoż mnie stanowczego przywiodły? Do żalu za straconą przeszłością. — Do czegoż mnie przy-

wiodła żądza użycia świata? Do przesytu i zniechęcenia wszystkiem!

W głębi serca, choć się tego sam przed sobą wstydił, żal mu było najbardziej — Czego? zgadnijcie.

Oto chwil tych pierwszej młodości, chwil prostej wiary, cnoty i pobożności, owych chwil złotych, w których nie myślał nawet, aby mu życie kiedy tak szumnem a tak gorzkim być miało.

Naówczas zdawało mu się że na zagonie ojców, w zagrodzie cichej, spłynie to życie w pobożnem rozmyślaniu, przechadzkach, cnotliwej miłości, pożyciu z żoną i dziećmi.

Później prawda śmiał się nieraz Twardowski z tego obrazu spokojnego szczęścia i zwał je *szczęściem glutpców*; lecz skosztowawszy wszystkiego, gdy po wszystkim, gorzki tylko smak został mu w ustach, wzdychał przecie za tem życiem; bo to jedno widział równie czystem u źródła jak u ujścia, to jedno nie miało mętów na dnie.

— Nacóżem tak bardzo oddalił się od przeznaczonego mi żywota? mówił do siebie. — Cóżem zyskał na zamianie? zgryzoty. Na grzędzie ojcowskiej byłoby mi tak spokojnie, tak swobodnie, tak cicho! Byłbym się nauczył cenić to, co dziś żadnego na mnie przez przesył wrażeń nie czyni, ciszę, piękny widok świata; byłbym kochał wieś, wiosnę, naturę, byłbym szczęśliwy w ciszy, na poziomie, ale jednostajnie i bez zgryzot ciężkich sumienia. Żona moja byłaby zapewne jak moja matka — aniołem!!

Mimowolnie, Twardowski teraz, coraz częściej wspominał matkę; ile razy to czynił, było mu na sercu, jakby je kto pokropił balsamem.

Ale gdy spojrział potem z tej przeszłości, którą od siebie odrzucił, pod nogi — widział piekło otwarte. Drżał myśląc że tam nie pójdzie z nim nawet wspomnienie matki, ani chwil dziecinnych, bo z potępionym do piekieł idzie tylko zgryzota i pamięć zbrodni.

I znowu, i znowu, mierzył myślą życie ubiegłe, i znowu wracał do tych chwil młodości, chwil religij-

nego zapachu, chwil głębokiej wiary, gdy uczniem jeszcze będąc, składał pobożne pieśni do Matki Bożej i Świętych Pańskich, które dotąd lud pobożny śpiewał po kościołach jeszcze. — Kiedy wspominał na uczucie z jakim to czynił i czyste szczęście jakiego w zapale religijnym doznawał; podwójnie, dziesięćkroć, żałował że te chwile nie miały żadnego związku z dalszem jego życiem, a nic ich się zerwała.

Często i coraz częściej w podobnem dumaniu upływały mu całe noce, jeśli szatan nie opatrzywszy się wcześniej, nie poddał mu na miejsce tych myśli, innego jakiego zatrudnienia, lub chwilowo odurzającą nie opętą go rozkoszą.

Przy schyłku coraz smutniejsze stawało się życie mistrza; czuł zbliżającą się chwilę, w której go szatan miał porwać do piekła. Nieraz mu na myśl przychodziło ratować się czem od tej ostateczności, ale ile razy wspominał na swoje grzechy, tracił zupełnie odwagę. Kamieniem przywalone miał sumienie.

Raz, tak noc całą przedumał Twardowski, porównywając swoje życie jakiego pożądał, z tem które mu los wyznaczył, przekonywając się co chwila, że wola i rozum człowieka nie są mu dostateczne do pozyskania szczęścia, że wybór jaki namiętność czyni, prawie zawsze jest fałszywy, i żał wiedzie za sobą.

Już piał koguty i ranek nadchodził gdy jeszcze mistrz sparty na dłoniach gorące swoje i poorane troskami czoło na poranny chłód wiosenny wystawiał i pełną pierś wciągał powietrze, aby się niem orzeźwić. — Napróżno!

W głowie były płomienie, żar w piersiach, które z trudnością poruszały się, jak stare zardzewiałe zawiasy zużytych wrót.

Pusto było do koła, tylko Maciek pajak snuł sieć swoją w oknie. Mistrz spojrział na niego i rzekł w duszy:

— I on szczęśliwszy odemnie!

— Gdzież moja sława i co mi z niej? — gdzie życie moje i co mi z niego? gdzie moja mądrość, której poświęciłem tyle? Oto w tym czerepie oblażym, który

zowią głową i koroną człowieka, mózg mieszkanie duszy, mądrości, pamięci, uczuć. — Mózg ten jest stara chata, wiatrami i burzą potamana, osuwa się i chyli. Ciasno już w nim duszy i mądrości i nauce, a ta którą zakupił kosztem wieczności mądrość, wkrótce mi uciecie, bo mieszkanie jej będzie niewygodne i ciasne!

Gdybyż choć wspomnienie szczęścia? Ale byłoż to szczęściem, co się niem zwało u mnie? Dziś prócz kilku chwil młodości, wszystkie wspomnienia moje, czarne jak węgiel.

Wtem, gdy tak duma, gdy powietrze chwyta, ranek się wyjaśnił, dzień powstał, mieszczanie pootwierali okna, i pobożne pieśni śpiewać zaczęli.

Wśród ciszy porannej usłyszał mistrz jedną z tych pieśni, pieśń którą był ułożył, będąc jeszcze młodym, na cześć Boga-Rodzicy. — Usłyszawszy ją, tak gorąco przypominał sobie tę ubiegłą młodość wiary i nadziei w niebo, tak gorzko jej pożalował, że załamawszy ręce i spuściwszy oczy, słuchając pobożnej pieśni, która przez otwarte okno, z porannem powietrzem wciskała się — zapłakał!

O! były to łzy gorzkie, nigdy nie widziane na jego wyschłej twarzy, pierwsze łzy od kilkudziesięciu lat — ale łzy rozpaczy!

A pieśń pobożna rozlegała się daleko, płynęła w powietrzu, czysty, spokojny głos jakiegoś rannego pracowitego człowieka nucił ją swobodnie, zaczynając dzień modlitwą.

Jemu musiało być tak lekko — mistrzowi tak ciężko na sercu, tak gorzko, tak okropnie! Łzy wielkie płynęły mu z oczów na suknię, a w niemej rozpaczy, z załamanymi rękoma, stał tak długo — długo, stał i płakał i milczał i myślał o swojej młodości.

Potem nagle, gdy całą tę przeszłość ujrzał przed sobą, ów domek ojca spokojny, owe szczęście wiejskie, życie pobożne i cnotliwe, do których wrócić już nie było można — porwał za okno drżącymi rękami, zatrasnął je i odskoczył. Obrócił się.

Za nim stał szatan.

— Nie ma co mówić, rzekł szatan szydersko patrząc na zaczerwienione oczy mistrza, to była wcale piękna piosenka!

Twardowski obwinał się w milczeniu opónczą, usiadł w krzesło i nic nie odpowiedział. Po chwili djabeł rzekł znowu:

— Ale żart na stronę. Ty się mistrzu bardzo starzejesz i zaczynasz, jak zazwyczaj starzy, żalować lat młodych. Widać że ci już życie obmierzło. Ot wiesz co, weź już łaskę pielgrzymią i idź do Rzymu.

— Ha! tego ci się chce? rzekł mistrz z gniewem, poczekaś jeszcze.

— A wszakże muszę czekać, kiedy tak stoi napisano, że cię w Rzymie dopiero porwać mamy, rzekł djabeł. Ale i waszmości samemu, czy nie zdało by się, że już czas to nędzne życie ukończyć? W istocie w piekle nie jest to już tak bardzo a bardzo źle jak powiadają. No jużciż nie ze wszystkim dobrze, to prawda, na co kłamać, ale jednakże przesadzają znowu, i bardzo przesadzają w opisach.

Mistrz milczał upornie, a świeżo jeszcze wylane łyż i świeże jeszcze myśli o młodości, złością go przeciw szatanowi niecnemu burzyły, któremu przypisywał wszystkie życia swego nieszczęścia.

— Widzę, że waszmość nie w humorze, rzekł szatan. Wielka szkoda! trudno będzie z waszmością dysputować. Ale prawdziwie tak piękna wiosna, tak to piękny i eiekawy ten włoski kraj i stolica dawna świata Rzym, że w własnym waszmości interesie muszę mu, nawet dla jego zdrowia, radzić tę podróż. Waszmość nie uwierzysz ile to jest roskoszy w podróżach. Ja co się ciągle tłukę po świecie, mogę mu zaręczyć, że nic jej nie zrówna. A Włochy, miłościwy panie! Włochy! kraj cudów! a Włoszki! kobiety z lawy Wezuwjuszu! A Rzym mianowicie, Rzym! Rzym! co to za miasto! Wierz mi mistrzu, tak jesteś smutny, tak przybity, że dla ciebie jedynem widzę lekarstwem podróż do Rzymu.

W ciągu tej szyderskiej perory, Twardowski siedział zmarszczony i milczący; porwał się wreszcie i krzyknął księgę w rękę chwytając:

— Na piekło djable, nie nudź mnie więcej i idź precz! Przysięgam że noga moja nie postanie we Włoszech i w Rzymie!

— A! to coś osobliwszego! rzekł szatan; cóż z naszą umową się stanie, w której artykuł XIV, paragraf trzeci stanowi, że cię mamy porwać w Rzymie?

— Radź sobie jak chcesz — odpowiedział mistrz.

— To ostatnie słowo waszmości? spytał djabeł.

— Ostatnie moje słowo — idź precz!

Djabeł grzecznie się skłonił i milczący wyszedł z izby.

ROZDZIAŁ XIII.

Jako djabeł zbudował szlachcicowi karczmę.

Pomimo grzecznego ukłonu, djabeł bardzo zmartwiony wyszedł z izby i skrobał się w głowę mocno, tupał nogami, chrapał, nie wiedząc co począć z sobą. Nie w smak mu bardzo były te żale młodości coraz częściej opanowujące Twardowskiego. Bał się jakiego nawrócenia i rad był przyspieszyć porwanie go, ale nie mógł wymyślić sposobu, jakim by go do Rzymu wyprawił. Co gorzej, świeżo się tak mistrz zaklął, iż do Włoch nie pojedzie! Trzeba było fortem go jakimś zażyć.

— *Ergo!* rozumował sobie djabeł (djabli sobie nawzajem potężnie argumentują), nie będzie w Rzymie, jeśli nie będzie we Włoszech, i *ergo* my go porwać nie będziemy mogli. Co tu począć? W cyrografie nie stoi — *Roma Italiae! Vivat!* Można poszukać drugiego jakiego Rzymu, albo jaką *Roma Polonorum* skomponować. Proszę, co to jest brak ostrożności! Gdyby tylko był dodał: — *Italiae!* nie mógłbym mu dać rady!...

— Tak pomyślawszy i plan swój osnuwszy, rozpuścił szatan skrzydła i poleciał.

Leciał on dość długo, aż go uderzyła nowa karczma na drodze pod Sandomierzem stojąca, jeszcze nie ze wszystkim skończona. Nie miała jeszcze murów, okien, dachu poszytego, goły tylko stał zrąb, a nad nim krokiewki chude.

Koło niej latał na koniu szlachcic, lamentując i krzycząc.

Djabeł zawsze ciekawy, spuścił się wnet ku niemu pod postacią chłopka, wyszedł z za węgła z czapką w rękę, i słuchał skrobiąc się w głowę.

Szlachcic wołał głośno:

— O! przekleci majstrowie! przekłeta hałastro! Daj Boże spotkać się z wami gdzie na drodze, albo gdy tylko przez moją wieś przechodźcie! Pokażę ja wam, co to znaczy ze mnie sobie żartować! Dam się ja wam we znaki i porobię pamiątki po plecach!

Dla tego żem ja raz w termin nie zapłacił ich głupiego jurgieltu, porzucili mi ciesielkę i mularkę i porzeknęli się do stu czartów! Jest-że to sprawiedliwość? A tu mój mieszczanin Sandomierski, któremu karczma najął, żąda zwrotu swoich pieniędzy i załogu, jeśli mu karczma w termin nie stanie! Do stu kaduków! Termin tak blizki! Majstrów ani dostać! Te łotry jeszcze rozgłosili że ja nie płacę!

— Za pozwoleniem jegomości dobrodzieja, rzekł djabeł wysuwając się z miną pokorną. Słyszę narzekanie, że karczma w terminie skończona być nie może. A nie mógłbym ja wiedzieć, kiedy to ten termin?

Szlachcic obejrzał się pogardliwie na chłopca i odpowiedział:

— A tobie chamie co do tego! Może te łotry wyśłali cię tu na szpiegi? Dam ja ci zuchwalcze! Jeszcze śmiesz mi się urągać.

— Niech no się wasza miłość nie gniewa, odpowiedział szatan. Ja jestem wędrujący rzemieślnik, potrzebuję roboty, mam swoją czeładź, mógłbym się o tę robotę ugodzić.

— Ty obdartusie?

— A kiedy termin wasz?

— Kiedy! kiedy! za dwa dni! odparł szlachcic ze złością.

— No — to karczma stanie gotowo, rzekł djabeł śmiało.

— To być nie może!

— Będzie — rzekł djabeł znowu.

— Jakto chamie! tu jest na miesiąc roboty!

— Na godzinę ledwie ściśle biorąc, odpowiedział oglądając się szatan.

— Chyba ci djabli dopomagać będą?

— Choćby i tak, to waszej miłości nic nie szkodzi.

Szlachcic spojrział w oczy mniemanemu chłopu, a ten się uśmiechnął.

— No! a co mi pan za to da? rzekł szatan.

— Co ci dam! he! — Ależ to być nie może żebyś tego dokazał. Wieleż ty masz czeladzi?

— Jedną głowę i dwie ręce, odpowiedział szatan.

Szlachcic coraz bardziej odpowiedziami chłopu zdziwiony, ramionami poruszył, odwrócił się i zawołał:

— To być nie może, żebyś ty to zrobił! Drwiesz ze mnie chamie. Gadaj, wiele masz czeladzi?

— Co waszej miłości do mojej czeladzi, byle jutro karczma była gotowa — rzekł chłop. — Jak nie będzie a zawiodę, dasz mi sto nahajów! zgoda?

— Zgoda! rzekł szlachcic mimowolnie śmiejąc się i po trochu zaczynając się lękać. — Ale ty masz coś minę, jakbyś sobie drwił ze mnie? Może ten łotr mieszożuk cię namówił, na którego mam podejrzenie, że i tamtych majstrów pobuntował, knując tylko żeby gdy karczma w czas nie będzie, załog wziąć odemnie! Ej! tylko ostrożnie wszakże ze mną! ostrożnie!

— Ale o cóż waszmości chodzi, odpowiedział djabeł, przyslij tu swoich przystawów, każ mnie pilnować, a jeśli karczmy nie skończę, dasz mi sto nahajów. I to nie do dwóch dni karcznię ci postawię, ale do jutra rana, niechybnie.

— Toś ty chyba djabeł! zawołał szlachcic.

— Może i djabeł, odpowiedział mniemany chłop, a co waszej miłości w to wchodzić? Szlachcic się przebiegnął niezmacznie, a szatan zakrzusił.

— No! no! więc zgoda, rzekł szatan. — Już ja karcznię dokończę. — Zapłaty nawet za to nie chcę żadnej, tylko jednej rzeczy się od waszmości domagać będę.

— No — radbym wiedział czego za to zechcesz? wybąknął szlachcic oglądając się bojaźliwie.

— Śmiesznej rzeczy, odpowiedział szatan, małej rze-

czy! będziesz się waszmość śmiał, gdy mu to powiem, ale mnie chodzi o osobliwszy zakład.

— Cóż to takiego! tobie o zakład chodzi?!

— Dozwolisz mi karcznię nazwać jak zechcę.

— Ho! a na cóż to tobie? Ja jej imię już dałem, zowie się *Nowinka*.

— Mnie chodzi jak rzekłem o zakład, nazwę ją po swoim, a za to skończenie nic Waszej miłości kosztować nie będzie.

— Jakże ją nazwiesz?

— Jak mi się podoba.

— Przecież trzeba, żebym o tem wiedział, abyś mi w tem jakiego urągowiska nie uczynił, albo na ludzki ze mnie śmiech jej nie przezwiał.

— Oto się waszmość nie bój, nazwę ją bardzo pięknie tak jak się zowie najślawniejsze w świecie miasto.

— Jakież przecie? powiedz mi.

— Nazwę ją — *Rzym*.

— Rzym! Osobliwa! zkądże ta myśl tobie? co to za zakład?

— To moja tajemnica! ale czy zgoda na umowę?

— No — zgoda! Jednakże pamiętaj aby jutro była gotowa, bo ja z siebie nie dam żartować!

— Jutro rano przybywaj tu waszmość do mnie.

— Przybędę!

— Możesz śmiało oznajmić mieszczaninowi, który wynajął karcznię, żeby przybywał! Nie będzie w niej i jednego ćwieczka brakować.

Szlachciec odjechał.

* * *

Nazajutrz rano karczma stała gotowa, pokryta; mury były skończone, okna i drzwi poprawiane, ubite toki w izbach; nawet ogromny ogień palił się na kominie, a przy nim siedział nasz djabeł i grzał się.

Nad drzwiami na tablicy wielkimi literami napisane było: *Karczma Rzym*.

ROZDZIAŁ XIV.

Jako Twardowski smutne pędził życie.

Reszty życia mistrza, były coraz pełniejsze goryczy, coraz smutniejsze. Nie zajmował go i nie wabił świat, którego odmłodzony tak pragnął; nauki, które wyczerpnął do dna. Ponury, z głową zwieszoną, pooraną twarzą, zasepionem czołem, skurczony we dwoje, w czarnej sukni, milczący, był tylko dziwowiskiem dla tłumu, a udręczeniem dla siebie. Z całej przeszłości została mu tylko dwuznaczna sława jego życia, i cudownych leków i czanoksieżkich wiadomości.

Czy to że leczenie zajmowało mu już trudny do przeżycia czas, odrywając go od przykrych dumań, czy dla innych przyczyn, Twardowski nie porzucał do ostatka swoich zatrudnień lekarskich. Mniej już jednakże szafował cudami, więcej leczył zwykłemi sposobami niż szatańską pomocą. Przytem wdzięczność, zapłata, pomnożenie sławy, tak go już mało obchodziły, tak mu były obojętne, jakby w duszy jego żadnego nie obudziły uczucia.

Smutno było patrzeć na niego, bo twarz nawet i postawa, stan duszy malowały. Z każdego zmarszczka pooranej twarzy mówiły zgryzoty i żal przeszłości; a przez wyniosłe, wyschłą i żółtą skórą okryte czoło, widać było co za walki pod niem przewrzały. Od czasu jak odczarowany konał tak powolnie, opuścili go ludzie, stracił tych przyjaciół, którzy tylko jego stołu i dzbanu przyjaciółmi byli. Nikt mu wiernym do ostatka nie pozostał, dawniejsi biesiadnicy, którzy za jego stołem pod niebiosa go wynosili, teraz wstydzili się podać mu rękę, dla tego że wnosząc z powierzchowności, myśleli iż zubożał. Jeden tylko Maciek-pająk, zawsze u

jego okna siatkę przedząc, nie odstępował go, choć mógł gdzieindziej się przenieść.

Jakby się umyślnie przeszłością swoją chciał karać, Twardowski wychodził znowu często na Krzemionki i z skały, która nazwisko szkoły jego miała, spoglądając po okolicy, długie godziny, wsparty na dłoniach, przepędzał. — Wśród tego życia zgryzot, nigdy już nie wróciły znowu te łzy, które raz tylko zrosiły twarz jego, owego pamiętnego ranka, gdy dźwięk pieśni złożonej jeszcze w młodości, doszedł jego serca. Nigdy więcej nie przemówił już do niego. Jednakże kantyczki, w których te pieśni jego zawarte były, nosił Twardowski od niejakiego czasu przy sobie choć ich nigdy nie otwierał. Czasem tylko ścisnął je konwulsyjnie w rękach, jakby się pasował między żądzą szukania w nich pociechy, a jakimś nieopisanym strachem.

Smutne to było życie jego, samotne, całe oddane na łup zgryzotom i rozpaczy, przeplatane straszliwymi myślami o piekle i potępieniu.

Było to konanie, za którym żadnej nie zostawało nadziei — czarne tylko piekło. Znekany starzec przysiągłszy diabłu, że nigdy w Rzymie nie będzie, uspakajał się tem nieco; ale ilekroć wspominał na myśl diabła i milczącą jego zimną rezygnacją przy pożegnaniu ostatniem, lękał się jakiego podejścia!

ROZDZIAŁ XV.

Jaki był koniec mistrza.

Jednego wieczora zastukano silnie do wrót domostwa Twardowskiego i zaczęto wołać:

— Otwórzcie, otwórzcie, na miłość Bożą! Twardowski nie miał nawet sługi jednego tak się był opuścił, poszedł więc sam do wrót.

Zaledwie furtkę odsunął, wpadł człowiek młody i strojny, pięknej twarzy, dobrej miny, ale pomieszany i blady.

Tu mieszka mistrz Twardowski? spytał.

— Tu, i ja nim jestem, odpowiedział starzec. Czego waszmość chcecie odemnie?

— Na miłość Bożą, mistrzu! Ratujcie mego ojca! Jedna nadzieja w tobie. — Jeśli ty go nie wyratujesz, to nikt pewnie!

— Cóż to się stało ojcu waszmości?

— Straszny przypadek go dotknął. Konie go potłukły okropnie. Sprowadzałem doktorów, wszyscy powiedzieli, chyba tu mistrz Twardowski z Krakowa da temu radę, a my nic nie możemy zrobić. Leży już ledwie żywy! Ratuj go na miły Bóg zaklinam! Co tylko żywie chcesz, wszystko ci dam!

Mistrz się uśmiechnął i głową pokiwał.

— Daleko to stąd?

— Dosyć daleko! Pod Sandomierzem. Na odgłos twej sławy pospieszyłem aż tu do ciebie. Porozstawiane konie po drodze. Na Boga, siadaj ze mną i jedź mistrzu!

Twardowski nic nie rzekł na to, wskazał młodemu człowiekowi, aby na niego poczekał i poszedł zabrać co było potrzebne jak sądził dla chorego. W chwilę powrócił z paczką pod pachą i siadł do kolasy, która

jak wichher poleciała. — Konie zdały się ziemi w biegu nie tykać; co kilka mil odmieniali je i po dość długiej podróży, ukazał młody człowiek mistrzowi nową karczmę, na rozdrożu stojącą.

— Oto tu jest mój ojciec! rzekł do Twardowskiego. Stańeli, wyskoczył młodzieniec.

— Pójdę przodem, proszę waszności za mną, proszę za mną. Wszedł do izby, mistrz za nim.

Zaledwie Twardowski próg przestąpił, drzwi się za nim zatrzaśły, szum powstał wielki. Zdziwił się mistrz i szukał oczyma chorego napróżno. W tem z alkierza wysunął się znajomy szatan z cyrografem w rękę, uśmiechający się i wesół.

— Co ty tu robisz? zawołał mistrz.

Szatan w milczeniu podsunął cyrograf i rzekł poważnie, powolnie, patetycznie:

— Ta karczma — *Rsym* się nazywa!

Twardowskiemu na te słowa w głowie się zakreściło, zaszumiło, splatało. Rzucił się naprzód do drzwi, drzwi były zaparte, okien strzegli djabli rojami, komin starym djabłem zatknięto umyślnie. Wszelkie ostrożności przedsięwzięto, niepodobna się było wymknąć. Nie stracił jednak Twardowski przytomności, i w tej chwili ujrawszy w kołysce ledwie półroczne dziecko szynkarki, pochwycił je w mgnieniu oka na ręce i dopiero odetchnął.

— Ha! zawołał, sądziłeś psi synu, żeś już mnie złapał! Poczekasz ruski miesiąc. Nie możesz mnie porwać z tem dzieckiem, ono jest chrzczone i bez grzechu.

— Co? co? syknął szatan.

— Tak! porwać mnie z tem dzieckiem nie możesz — ani się nawet mnie dotknąć.

— Tożem głupi jak bydle, rzekł szatan, zem je tu zostawił! I uderzył się pięścią w czoło.

— No! o włos byłem zgubiony! szepnął Twardowski do siebie.

— Dziwny rozum i przytomność, rzekł szatan zmieniając ton i starając się przypochlebiać. Połóż-że je

już połóż w kołyskę — Nic ci się mistrzu nie stanie — wygrałeś!

— Nie tak jestem głupi, jak ci się zda, odpowiedział Twardowski, przyciskając dziecko do siebie.

Djabeł spojrział i szusnął do alkierza nazad. W chwilię okropny piskliwy głos dał się słyszeć, wybiegła pani szynkarka rozczochrana, z zapalonemi oczyma, z twarzą zapłomienioną, rękami zakasanemi; a ujrawszy dziecko swoje u mistrza, porwała się prosto do niego.

— Co to ty łotrze robisz z mojem dziećciem! Co to jest! krzyknęła, oddaj mi je złodzieju albo cię tym ożogiem w śmierć ubiję!

Mistrz usunął się i rzekł spokojnie:

— Wszakże ci go nie biore, ani mu w twoich oczach mogę co zrobić — słuchaj!

— Ja nic nie chcę słuchać! Czego ja będę słuchała! Oddaj mi zaraz moje dziecko, słyszysz! albo tak cię kropnę...

— Milcz i słuchaj babo, bo je zduszę, jeśli mnie dotkniesz.

— Nie bój się, nie bój, on tylko tak gada, ale on tego nie zrobi, szepnął djabeł szynkarce chcąc ją podjudzić do odebrania dziećcia. Nie udało mu się jednak, bo uspokojona baba zapewnianiem, że się dziecku nic nie stanie, odsunęła się i zdawała chcieć słuchać.

— Sto kop tobie kobieto za pożyczanie mi dziecka, tylko póki wyjdę ztąd i wyjadę na granicę.

— Ot-to! odpowiedziała szynkarka, albo ja ci uwierzę?

— Masz pieniądze, rzekł Twardowski, rzucając jej kieszę.

Ona schyliła się, porwała, spojrziała w środek, schowała i już zamilkła.

Djabeł znowu do alkierza pobiegł i przyprowadził ojca. Ale ten ledwie o swoje dziecko gębę otworzył, żona mu ją zamknęła, pokazując worek i mówić nie dała. Skończyło się na ukłonach i skrobaniu w głowę. Djabłu znów się nie udało. Nie było już sposobu.

— Trzymaj-że sobie dziecko póki chcesz, rzekł, ale

to pewna, że ja cię stąd przez próg nie puszcę i choćby głodem zamorzę.

— Tego nie możesz zrobić, odpowiedział mistrz spokojnie, siadając z dziećciem na ławie. Wiesz dobrze, że ja, i warunki naszego kontraktu i twoją władzę jak daleko się ona rozciąga, znam bardzo dobrze. Nic mi nie wmówisz.

Szatan skrobał się w głowę aż z niej iskry się sypały.

— Bodajem przepadł, rzekł, jeśli kiedy pokuszę się na mędrka. Już mnie twoja dusza cztery razy tyle kosztuje co warta. Jeszcześ mi ją popsuł w ostatku, niebezpiecznymi żałami i lamenty a wspomnieniami młodości.

Com ja stracił czasu! com się napracowałem! a teraz mi się tak wymykasz! Uczciwież to mój mistrzu? I co ci z tego życia? czyżeś nie miał wszystkiego, czego tylko pożądałeś? Czyliżeś go sobie wedle upodobania nie przedłużył? Czyś nie użył życia jak ci się tylko podobało? Czyżem ci jako ostatni sługa nie dopomagał? Cóż ci teraz zostało? strach, żal, zgryzoty. Wszakże to straszniejsze męczarnie od piekielnych, wszak ty tracisz żyjąc, nie zyskujesz — nie lepiej-że, nie uczciwiej, raz już skończyć i mnie zaspekoić a dług oddać?

— Dla czegoż ci tak spieszno kończyć ze mną? rzekł mistrz.

— Bo mi już dojadło, kilkadziesiąt lat jednej duszy pilnować! — Rozmyśl się tylko mistrzu! Wiesz dobrze, że cię z tem dzieckiem nie porwę; ale czy to uczciwie, czy to po szlachecku, tak się wykręcać dawszy słowo? Zrobiłeś ze mną umowę o duszę — to coś ważniejszego niż kontrakt o majątek. Jakżeby cię nazwano, gdybyś złamał umowę raz uczynioną i podpisaną dobrowolnie? — Łetrem bez czci wiary! Fe! Fe! Godziż się to czynić szlachcicowi, bodajby nawet z djabełem?

Twardowski widocznie się mięszał — lice mu się zaczerwieniło, usta podniosły, powoli wstawał z ławy

i patrzył djabłu w oczy. Nie uszło to uwagi szatana, iż jego argumenta skutkowały, dodał więc jeszcze :

— Wiesz, że była umowa dobrowolna między nami, wiesz jaka świętość umowy dla uczciwych ludzi. Zdaje się, że *Verbum nobile, debet esse stabile*.

Na te słowa pokonany Twardowski położył zwolna dziecię w kołyskę i rzekł :

— Masz mnie djable — przekonales!

Ledwie sam sobie djabeł mógł uwierzyć gdy ujrzał skutek swej wymowy.

Tylko co Twardowski dziecię w kołysce złożył; już szatani zatopili w nim szpony i świszcząc przez komin wysoko unieśli.

Gdy po nad ziemią lecieli, Twardowski patrząc na nią raz jeszcze, całą swą przeszłość przypominał. Zwyczajnie gdy się kończy życie, przychodzi ono pożegnać człowieka. Znowu w jego duszy ozwała się młodość szczęśliwa i wspomnienie chwil pobożności i wiary, znowu zadźwięczała mu w sercu owa pieśń do Boga-Rodzicy, którą był ułożył. Na to wspomnienie sięgnął mistrz po kantyczki, które przy sobie miał zawsze i dobywszy z piersi głosu, gdy już ziemia z oczu jego znikać zaczynała, nucić pieśń pobożną zaczął.

W tej chwili jak oparzony djabeł, puścił go nagle i zniknął, a mistrz został zawieszony w powietrzu sam jeden z pieśnią w ustach, i zdało mu się, że słyszy głos nad sobą potężny :

— Zostań tak do dnia sądu!

Otworzył oczy i dziękował Bogu, że go ze szpon szatana wyrwał. Lecz gdy łąą znowu zalane oko ku ziemi spuścił, już jej nie ujrzał przed sobą. Wisiał w białej, jednostajnej, niezmierzonej pustyni; chmury tylko suwały się pod jego nogami, a słońce piekło nad głową! Nie dochodził go głos ziemi, nie widział nic, otaczała go pustynia, w której sam był jeden, z myślami swemi, ciężkimi towarzyszami po takim życiu.

Lecz gdy się modli i zawieszony w powietrzu drży

nad długimi laty, które za karę wisieć tak skazany — uczuł mistrz, że go coś po ręku łechtało.

Był to pajak-Maciek.

Wierny sługa, uczepił się sukni mistrza i los jego podzielił.

Twardowski zawołał go, poznawszy.

— Maćku! ty tu ze mną?

— Zawsze z tobą, twój sługa, odpowiedział pajak.

Odtąd pajak-Maciek, uczepiony do nogi mistrza, pozostał z nim na zawsze. Co rano tylko po długiej nici spuszcza się on na ziemię, czołga po znajomych miejscach, zbiera pokarm wieści, a wróciwszy zasila nim pana, którego wysechł zgrzyzotami i myślami ciężkimi, pożerającymi go jak sęp Prometeusza.

Taki był koniec życia wielkiego mistrza Twardowskiego, którego imię i dzieje dochowały nam podania ludu, skarbnica wszystkich pamiątek, nie mieszczących się w historii pisanej. Z tych podań spisał życie mistrza autor tej książki, na użytek wasz duchowny, którego z serca wam życzy.

Koniec tomu drugiego i ostatniego.

Stanford University Libraries

3 6105 124 432 126



PG

7158

K75 M.

1874

**Stanford University Libraries
Stanford, California**

Return this book on or before date due.

--	--	--

